

JACK L. CHALKER

I POGRAŻY CIĘ
DIABEŁ

Przełożyła
ANNA RESZKA



Wydawnictwo
ALFA

Warszawa
1995

Tytuł oryginału
And the Devil Will Drag You Under
Copyright © 1979 by Jack L. Chalker

Ilustracja na okładce
ESTEBAN MAROTO
Copyright © norma

Opracowanie typograficzne
JANUSZ OBLUCKI

Projekt znaku podserii
RYSZARD Z. FIEJTEK

Redaktor serii i tomu
MAREK S. NOWOWIEJSKI

For the Polish edition
Copyright © 1995 by ALFA-WERO Sp. z o.o.
by arrangement with SPECTRUM Literary Agency
and HELFA Ltd.

For the Polish translation
Copyright © 1995 by Anna Reszka

ISBN 83-7001-891-2

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp. z o.o. — WARSZAWA 1995
Wydanie pierwsze
Skład EDCOM, Warszawa, ul. M. Konopnickiej 6
Druk i oprawa: Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z o.o.
Zam. 26/95

Mojemu ojcu, Lloydowi Allenowi Chalkerowi, który nigdy nie przeczyta tej książki, a zresztą i tak by mu się nie spodobała, oraz mojej matce, Nancy Hopkins Chalker, która może ją przeczyta, ale nie będzie zachwycona. W podzięcie za to, że pozwolili zwariowanemu dziecku na dziwactwa i zostanie pisarzem. Ci, którzy lubią moje książki, nigdy się nie dowiedzą, ile zawdzięczam tym dwojgu.

Spis treści:

| | |
|---------------------------|-----|
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 5 |
| GŁÓWNA LINIA + 1130 | 21 |
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 53 |
| GŁÓWNA LINIA + 1502..... | 55 |
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 81 |
| GŁÓWNA LINIA + 1302..... | 83 |
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 111 |
| GŁÓWNA LINIA + 2000..... | 114 |
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 144 |
| GŁÓWNA LINIA + 1076..... | 146 |
| GŁÓWNA LINIA + 2076 | 198 |
| EPILOG | 214 |

GLÓWNA LINIA + 2076

Gdy zbliża się koniec świata, ostatnie chwile spędź w barze.

Mały człowieczek wyjrzał przez lekko oszronione okna i nachmurzył się. Choć niedawno minęło południe, na dworze było ciemno, a czerwone światło nadawało otoczeniu złowieszczy wygląd. Kwiaty z mrozu ugięły promienie światła, pogłębiając czerwień, która nabrała barwy wina.

To nasunęło mężczyźnie pewne skojarzenie. Odwrócił się do lady.

- Następna podwójna - rzucił wysokim, zgrzytliwym głosem ze śladem obcego akcentu wskazującego na europejskie pochodzenie.

Dostał szkocką, przyjrzał się jej krytycznie, powąchał i pociągnął łyk. Rozejrzał się po lokalu.

Pustawo. Bar znajdował się blisko uniwersytetu, ale od czasu Wypadku zawieszono wykłady. Kręcili się tu teraz tylko badacze rozpaczliwie próbujący zatrzymać lub odwrócić to, co się wydarzyło, albo - w najgorszym razie - stawić czoło temu, co szybko się zbliżało... zbyt szybko, według rozeznania małego człowieczka. Niektórzy przeżyją, by jeszcze żyć przez pewien czas. Niektórzy, lecz bardzo niewielu.

I nie potrwa to długo.

Ci tutaj... ta garstka. Przyjrzał się im uważnie. Paru starych pijaków; kilkoro mężczyzn i kobiet w średnim wieku, o zmęczonym wyglądzie, niektórzy w fartuchach laboratoryjnych. Siedzieli w milczeniu, starając się na chwilę oderwać od wytężonej pracy. Wiedział, że najchętniej zasnęliby kamiennym snem, ale byli na to zbyt zmęczeni.

Kto zresztą mógłby teraz spać? pomyślał.

Żaden z gości nie nadawał się jednak do jego celów. Nie takich ludzi potrzebował, nie takich musiał mieć. Martwiło go, że od wielu dni wysyłał wezwania, lecz bez rezultatu. Osoby odpowiadające jego wymaganiom znajdowały się gdzieś niedaleko. Wyczuwał ich aury. Oczywiście nie były doskonałe, ale na pewno wystarczające.

Westchnął, wysączył szkocką i pogrzebał w kieszeni. Przedmiot, który z niej wyjął, zdawał się płonąć własnym życiem - był to wielki, szlachetny, idealnie oszlifowany kamień.

Położył go przed sobą na ladzie i wpił w niego wzrok. Pogładził kamień, jakby pieścił ulubione zwierzątko. Barman rzucił zaintrygowane spojrzenie na przedmiot i dziwaczego gościa.

Mężczyzna wyczuł zakłócenie. Powoli oderwał oczy od błyszczącego klejnotu i przesunął je na ciekawskiego barmana. Ten zrobił niewinną minę i wrócił do czyszczenia szkła. Mały człowieczek z powrotem skoncentrował się na kamieniu. Otworzył umysł. Tak, czuł ich, jin i jang, pierwiastek męski i żeński. Blisko, bardzo blisko, ale jeszcze nie tutaj. Skupił się, przywołując ich oboje.

Nie byli doskonali, o nie, ale powinni się nadać. Nadadzą się... jeśli się tu zjawią.

Porywisty, lodowaty wiatr omiatał ulice Reno w stanie Newada. Kobieta zadrżała i szczerzej otuliła się płaszczem, próbując ochronić się przed zimnem. Niewiele pomogło.

Wiedziała, że nie powinno jej tu być. Nie miała pojęcia, dlaczego się tutaj znalazła ani dokąd się wybiera, lecz szła, walcząc z wiatrem i zimnem, nie patrząc na drogę.

Czuła się jak zamroczona, umysł miała przytępiony. Wcześniej postanowiła skończyć ze wszystkim nad morzem, nad Pacyfikiem, którego fale rozbijają się teraz o Sierra Nevada. Wewnętrznie była już przygotowana. Znalazła się jednak w otoczonym górami i pustynią Reno, które utraciło dawne znaczenie. Większość ludzi wyjechała, chowała się w domach lub modliła w kościołach o ratunek. Chociaż nigdy nie była religijna, zastanawiała się, czy się do nich nie przyłączyć. Rozwiała się wszelka nadzieja, została tylko wiara.

Wyszła z dość wygodnego pokoju w opuszczonym motelu, żeby znaleźć jakiś kościół.

Szybko zapomniała o swoim postanowieniu. Wędrowała bocznymi uliczkami i zaułkami rozległego miasta o niskiej zabudowie, zmierzając do jakiegoś nieznanego

celu. Wydawało się, że nogi same ją niosą.

Ruch uliczny zamarł i tylko od czasu do czasu przejeżdżały pojazdy wojskowe. Słychać było tylko wycie porzuconych zwierząt, gdzieś tam przemknął szczur.

Skręciła za róg i nagle poczuła całą siłę wiatru. Pochyliła głowę, starając się ochronić twarz przed szczypiącymi podmuchami.

Chciała wiedzieć, dokąd idzie i po co.

Był silnym, uderzająco przystojnym mężczyzną ubranym jak drwal. On również nie miał pojęcia, dlaczego się tutaj znalazł. Pamiętał, że wybierał się do Nowej Zelandii. Mówiono, że to największa szansa. Przygotował się do podróży, załatwił sobie miejsce w służbowym samolocie i wsiadł w Denver w luksusowy sportowy samochód, żeby pojechać na lotnisko.

Nie dotarł tam jednak. Jak we śnie pojechał dalej i poprzedniego dnia zjawił się tutaj.

Maszerował teraz omiatany wiatrem ulicami, po których wały się śmieci. Nikogo już to nie obchodziło. Nie wiedział, dokąd zmierza.

Wiatr smagał go i uderzał. Mężczyzna postawił kołnierz, żałując, że nie spakował maski narciarskiej. Ledwo co widział, jakby zjeżdżał na nartach bez gogli.

W pewnym momencie z impetem wpadł na jakąś kobietę. Oboje przewrócili się, mamrocząc pod nosem przekleństwa, które zaraz przerodziły się we wzajemne przeprosiny.

Poderwali się tak szybko, że żadne nie zdążyło zaoferować drugiemu pomocy.

- O, przepraszam - wykrzyknęli jednocześnie i roześmiali się.

Nagle kobieta przestała się śmiać i na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Wie pan - powiedziała ze zdumieniem - po raz pierwszy od Wypadku słyszę śmiech.

On również spoważniał i uklonił się.

- Jestem Mac Walters.

- Jill McCulloch.

Rozejrzał się.

- Hej! Wygląda na to, że ten mały bar jest otwarty! Zajrzyjmy tam i odsapnijmy trochę - zaproponował i dodał: - O ile nie ma pani nic ważnego do załatwienia.

Zaśmiała się sucho.

- A czy ktokolwiek ma coś pilnego w tych dniach? Chodźmy.

Szybko przeszli przez ulicę i ruszyli w stronę baru, mijając po drodze kilka pustych sklepów. Mały napis nad drzwiami głosił: „Latarnia Morska”.

Gdy weszli i zamknęli za sobą drzwi, przywitał ich ciepły podmuch. Elektryczność stała się rarytasem. Znalezienie miejsca, gdzie wszystko działało i wyglądało normalnie, równało się znalezieniu garnka pełnego złotych monet. Choć takie miejsce nie miało prawa istnieć, jednak istniało. Nie pytali o nic, tylko znaleźli pustą wnękę i wyczerpani usiedli naprzeciwko siebie.

Barman zauważył ich.

- Co ma być? - zawołał.

- Podwójny burbon i woda - odkrzyknął Walters i spojrzał na kobietę, która właśnie zdejmowała ciężki, obsyty futrem płaszcz. Jest piekielnie ładna, stwierdził.

- Szkocka z wodą - powiedziała, a on przekazał zamówienie barmanowi.

Dostali drinki po niecałych dwóch minutach. W tym czasie siedzieli, zerkając na siebie.

Była niska - mierzyła nie więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów, może mniej - ale wydawała się wyjątkowo... silna. Szukał odpowiedniego słowa. Doszedł do wniosku, że jest umięśniona jak gimnastyczka albo tancerka. Krótko obcięte włosy pasowały do owalnej twarzy o dziecięcym wyglądzie. Ma zielone oczy, zauważył nagle.

On również był obserwowany. Przy swoich dwóch metrach wzrostu nie miał na sobie grama tłuszczu. Cieszył się doskonałą kondycją. Wyrazistą, przystojną twarz okalała gęsta ruda broda i długie, lecz dobrze utrzymane włosy identycznego koloru.

Podczas gdy ukradkiem przyglądali się sobie nawzajem, ich z kolei obserwował mały człowieczek o dziwnym wyglądzie siedzący na stołku barowym. Kobieta chyba to wyczuła i spojrzała na niego przelotnie. Odwrócił wzrok i podniósł do ust szklanekę, ale zdążył zauważyć wyraz jej oczu. Oboje mają udęczone spojrzenie. Zdają sobie sprawę z sytuacji. Stracili nadzieję.

Piosenka w radio skończyła się.

- Potężne powodzie ogarnęły Środkowy Zachód. Wielką Równinę zakryło morze, jak w czasach prehistorycznych - mówił spiker do szybko topniejącej liczby słuchaczy.

- Przygotowano schronienia dla uciekinierów, ale drogi są zablokowane. Ludzie wpadli w panikę i znaleźli się w pułapce jak na niżej położonych terenach.

Punkt dla Reno, pomyślał z zadowoleniem mały człowieczek. Ocean nie dotrze do Gór Skalistych. Sięgnął do kieszeni po papierosa, znalazł pustą paczkę i zaklął pod nosem. Zabawni są ci ludzie, pomyślał. Pieniądze nadal są dla nich ważne, chociaż

świat się kończy. Westchnął, wstał i podszedł do automatu. Pogrzebał w kieszeniach. W końcu wymacał ćwierćdolarówkę. Ostatnią. Wsunął ją do otworu, pociągnął za rączkę i nawet nie spojrzał na obracające się tryby. Rozległo się szcęknięcie zapadek i na małą tackę wysypało się dziesięć ćwierćdolarówek. Zgarnął je obojętnie, podszedł do automatu z papierosami i wsunął do niego cztery monety.

Nagle przyszło mu do głowy, że tę samą sztuczkę mógł zrobić z automatem do papierosów i nikt by nic nie zauważył. Reakcja obronna, doszedł do wniosku. Nigdy nie rób tego, co oczywiste.

- ... asteroida uderzy w ciągu następnych sześćdziesięciu dwóch lub osiemdziesięciu czterech godzin - mówił spiker. - Uważa się, że niektórzy przeżyją zderzenie, nawet na obszarach niezbyt odległych od miejsca, gdzie spadnie kosmiczny pocisk. Lokalne oddziały obrony cywilnej będą rozdawały ulotki z instrukcjami, jak postępować w czasie katastrofy i później. Prosimy jak najszybciej odbierać je wraz z odpowiednim sprzętem w miejscowych punktach pierwszej pomocy.

Mały człowieczek zachichotał. Znał sytuację. Asteroida leciała w stronę Ziemi jak pszczoła do miodu. Znajdowała się na kursie kolizyjnym i nabierała szybkości. Mówiono, że może uderzy w Księżyc, ale obliczenia szybko wykazały, że to złudna nadzieja. Co i tak nie miałyoby znaczenia, o czym dobrze wiedział. Groźna planetoida, wyraźnie widoczna na niebie, była nie większa od Księżyca, lecz odcinała ciepło i światło oraz powodowała silne pływy na Ziemi. Bezpośrednie uderzenie w satelitę, wytrącające go z orbity, miałyoby takie same skutki.

Najgorsze, że ludzie sami do tego doprowadzili. Ogromna asteroida przelatująca blisko Ziemi. Co za smakowity kąsek! Polecieć, odkryć na niej wielkie złoża mineralne. Nazwali ją Sezamem. Kierowała się ku Słońcu po pechowej parabolicznej orbicie, która zaprowadziłaby ją zbyt blisko płonącej kuli. Całe bogactwo spłonęłoby na popiół. Czyż nie lepiej było podjąć wyzwanie i uczynić z niej drugiego satelitę splądrowanej Ziemi. Miała się znaleźć na tyle daleko od niej, by nie wyrządzić szkód, lecz na tyle blisko, żeby można ją było łatwo i tanio eksploatować.

Wystarczy rozmieścić na niej kilka specjalnych super-bomb, zsynchronizować detonacje, a minie Słońce i zawróci. Następne ładunki wyhamują ją i „zaparkują”. Po prostu.

Po prostu. Tylko że nie wszystkie bomby wybuchły. Zaprojektowano je i skonstruowano każdą z osobna, ale nie można było ich przetestować. W dodatku dobrano krytyczne wartości, bez żadnego marginesu. Głupi optymizm zemścił się. Nie

udało się. Nie mogło się udać. Pierwsze eksplozje odniosły skutek. Asteroida przemknęła obok Słońca i zawróciła z ogromną szybkością. Czas włączyć hamulce. Oo! Nie działają? Więc ci głupcy polecili, żeby ręcznie odpalić bomby!

Niektóre rzeczywiście wybuchły. Niektóre, ale nie wszystkie. Wystarczyło, żeby ta przekłeta skalna bryła skierowała się prosto na Ziemię. Gdyby znajdowała się w odległości kilku milionów kilometrów, efekty grawitacyjne byłyby dokuczliwe, ale niegroźne. Bogactwa naturalne zrekompensowałyby je z nadstatkiem.

Teraz jednak asteroida zamieniła się w pocisk i chociaż mknęła do celu z szybkością tysięcy kilometrów na sekundę, wydawała się poruszać równie wolno, jak kule wystrzelone przez pluton egzekucyjny sunęłyby w stronę skazańca.

To nie miało teraz znaczenia. W radiu powiedzieli: trzy, cztery dni. Wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że nikt w to nie wierzy, także goście tego baru. Zostały godziny. Dzień, najwyżej dwa. Ziemia już zaczęła drżeć i pękać. Niewiele z niej zostanie, zanim jeszcze nadleci planetka.

Barman zażądał dwóch dolarów, zanim poda mu kolejnego drinka. Mężczyzna westchnął, wstał i podszedł do trzech automatów. Miał sześć ćwierćdolarówek, ale nie potrzebował ich. Wsunął monetę do pierwszego i, nie czekając na rezultat, do drugiego. Zanim włączył się trzeci, w drugim pojawiły się trzy dzwonki, a w pierwszym trzy wisienki.

Mężczyzna wrócił do baru z garścią ćwierćdolarówek i wysypał je na ladę. Lekko przestraszony barman potrząsnął głową z niedowierzaniem i nalał podwójną whisky dla małego człowieczka i dla siebie.

Nawet nowo przybyli zwrócili uwagę na jego pokaz. W razie wygranej rozlegał się dzwonek, więc trudno było nie usłyszeć prawie jednoczesnego brzęczenia trzech automatów.

Mężczyzna obrócił się na stołku, spojrzął na nich i uśmiechnął się. Wziął drinka, zeskoczył ze stołka i podszedł do ich wnęki.

- Mogę się przysiąść na chwilę? - zapytał z sympatią.

Wahali się przez sekundę, zerkając najpierw na niego, a potem na siebie. Jednak oboje byli zafascynowani, równocześnie zaś mogli oderwać myśli od rzeczywistości na zewnątrz. Wzruszyli ramionami.

- Dlaczego nie? Proszę siadać - powiedział Mac.

Przesunął się, robiąc mu miejsce obok siebie, naprzeciwko Jill.

Mężczyzna wyglądał jak włóczęga - mały, drobny, ze zmierzwioną siwą brodą i w

poplamionym garniturze, który mógł być kiedyś brązowy. Z pewnością w nim spał. Śmierdział whisky i papierosami.

- Jesteście z uniwersytetu? - zapytał ich miłym głosem, lekko akcentując sylaby. Nie bełkotał mimo ogromnych ilości alkoholu, które w siebie wlał.

Jill potrząsnęła głową.

- Ja nie. Nawet nie wiem, skąd się wzięłam w tym zwariowanym mieście.

Mac skinął głową.

- Ja również.

Przedstawili się oboje.

Mały człowieczek sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Jestem Asmodeusz Mogart - oznajmił i wyciągnął z kieszeni papierosa, ignorując wyraźny niesmak Jill. Spojrzał na nich poważnym wzrokiem.

- Wiecie, że został nam tylko jeden dzień - powiedział cicho, rzeczowym tonem. - I wiecie, że nikt nie przeżyje.

Oboje wzdrygnęli się mimowolnie, nie tylko z powodu pewności siebie i autorytatywności, z jaką mówił. Jego słowa przypomniały to, co na krótko udało im się wyrzucić z myśli.

- A pan jest z uniwersytetu? - zapytał Walters doszedłszy do wniosku, że stan nieznajomego można łatwo wytłumaczyć ostatnimi wydarzeniami.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Tak, w pewnym sensie. Choć nie w takim jak inni tu obecni.

Jill uniosła brwi.

- O? Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze tu pracuje.

Wyszczerzył się, ukazując brzydkie, pożółkłe zęby, które nie przypominały ludzkich. Były spiczaste i zakrzywione do środka. Jill uznała, że jest to najbardziej odpychający człowiek, jakiego widziała w życiu.

- Na pewno nie słyszeliście o mnie - powiedział Mogart. - Zresztą lepiej byście nie wymieniali mojego nazwiska. - Spoważniał. - Posłuchajcie, zrobilibyście wszystko, żeby ocalić świat? Zwłaszcza gdyby to był jedyny sposób, by uratować własne życie?

Spojrzeli na niego zdziwieni.

- O co panu chodzi?

Mały człowieczek zamyślił się na chwilę, potem wysączył drinka i zmiażdżył szklankę nogą. Barman nic nie zauważył. Jill i Mac obserwowali, jak Mogart podnosi z podłogi długi odłamek szkła i bez wahania nakłuwa nim kciuk. Bez oznak bólu

przyciskał szkło, aż pojawiła się kropla krwi.

Oboje gwałtownie wciągnęli powietrze.

- Prawdziwa niebieska krew, jak widzicie - rzucił Mogart lekkim tonem. I mówił prawdę. Jeśli nie zrobił kolejnej sztuczki, jego krew naprawdę była niebieska. Nie granatowa, lecz błękitna jak niebo.

Uniósł rękę i odsunął długie siwe włosy, odsłaniając uszy. Były małe, prostokątne i przylegały do czaszki, a górna część małżowiny miała kształt litery S. Nie wyglądały na ludzkie. Przypominały uszy diabła lub chimery.

Mac Walters odsunął się trochę od dziwnego mężczyzny, niemal przyciskając się do ścianki działowej. Jill tylko wpatrywała się w nowego znajomego z przestraszonym i fascynacją.

- Mam również ogon - oświadczył. - Ale wybaczcie, nie rozbiore się. To wystarczy, by wam udowodnić, że nie jestem człowiekiem. Chyba was przekonałem?

- Kim... czym... pan jest? - zapytała Jill.

Mężczyzna polizał zraniony kciuk.

- Już wam powiedziałem. Asmodeusz Mogart. Przynajmniej w tym tygodniu. - Spojrzał ze smutkiem na pokruszone szkło. - Jak mogliście się domyślić, jestem alkoholikiem. To wiele komplikuje. - Westchnął, zastanowił się, czy nie zamówić następnego drinka, na razie zrezygnował i mówił dalej. - Możecie mnie uważać za emerytowanego profesora uniwersytetu. Behawiorystę badającego waszą małą uroczą cywilizację.

- Ale nie z ziemskiego uniwersytetu - zauważył Walters. - Jest pan tutaj po to, by obserwować koniec świata?

Ta kwestia stała się nagle najważniejsza dla obojga ludzi, znacznie ważniejsza od tego, kim jest mały człowieczek.

Posmutniały Mogart wzruszył ramionami.

- Nie, nie. Zostałem zwolniony. Piłem. Wybuchł skandal. Zostawili mnie tutaj, ponieważ brałem udział w tworzeniu tego poligonu doświadczalnego.

- Poligonu? - zapytała Jill niecierpliwie.

Skinął głową.

- Tak. Wydział Prawdopodobieństw. Wystarczy przedstawić ciekawą hipotezę, a oni skonstruują działający model. Na przykład wasz świat. Jeden z setek, które zrobili. Może nadal robią. Wypadłem z obiegu.

Mac Walters był przerażony.

- Skonstruować? Wszechświat?

- O tak - odparł Mogart niedbale. - Twierdzą, że to łatwe. Potrzeba mnóstwa danych, komputerów i paru innych rzeczy, ale to nie jest trudne. Tylko kosztowne. - Westchnął ciężko. - W tym cały problem. Zbudowali cały wszechświat, nie tylko tę małą planetę. Odłożyłem dumę na bok i próbowałem z nimi rozmawiać o jej ratowaniu. Nawet odbyłem podróż, po raz pierwszy od nie wiem ilu stuleci. Nic ich to nie obchodzi. - Spojrzał na nich kolejno. - Wyobraźcie sobie, że macie kolonię szczurów i obserwujecie ją. Czy gdyby jeden ze szczurów zdychał, nie potraktowalibyście tego jako część eksperymentu?

Jill McCulloch potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Nie mogę w to uwierzyć. Zbliża się koniec świata, a ja siedzę w barze i rozmawiam z wariatem.

Mały człowieczek usłyszał jej komentarz, ale zignorował go.

- Widzicie, mam dylemat. Zostać tutaj i zginąć z wami czy wrócić do domu.

- To ma być problem? - spytał Mac. Przyszło mu do głowy, że on sam nie ma wyboru.

Człowieczek ze smutkiem pokiwał głową.

- Wyślą mnie do jakiegoś miłego, spokojnego miejsca, ale nie będzie tam alkoholu. Ani kropli. - W jego głosie zabrzmiał ton żalu nad sobą, a w ciemnych, skośnych oczach błysnęły łzy. - Nie zniósłbym tego. Więc widzicie, że muszę spróbować trzeciego wyjścia.

Spojrzeni na niego z ciekawością, wyczekująco. W innych okolicznościach szybko by uciekli, uznawszy Mogarta za pijaka o bujnej wyobraźni albo wariata, za jakiego go zresztą w głębi duszy uważali. Jednak w innych okolicznościach nie byłoby ich tutaj i na pewno nie zaprosiliby go do stolika. Kiedy świat się kończy i znika wszelka nadzieja, człowiek siedzi w barze, słucha pijanego szaleńca i traktuje go poważnie. Nic to nie szkodziło, a poza tym im również trochę szumiało już w głowach.

- Jakiego wyjścia? - zainteresowała się Jill McCulloch.

Mały człowieczek na chwilę się zamyślił, lecz nagle ożywił się.

- Tak, tak - wymamrotał przeprasząc. - To dlatego nie zrobiłem nic wcześniej. Za dużo drinków, wiele straconego czasu. Teraz nie mogę już dłużej wybrzydząć i szukać najlepszych ludzi. Muszę wprowadzić jak najwięcej danych do mojego, hm, nazwijmy go tak, komputera i zrobić wszystko co możliwe. Wysłałem wezwanie i oto jesteście. Rozumiecie?

Nie rozumieli.

Spojrzał na Jill.

- Ile ma pani lat? Proszę mi coś o sobie powiedzieć. - Jego dłoń powędrowała do kieszeni. Wyglądało to tak, jakby dotykał jakiegoś przedmiotu lub pocierał go.

Jill stwierdziła nieoczekiwanie, że ma ochotę mówić.

- Mam dwadzieścia pięć lat. Urodziłam się w Encino w Kalifornii i większość życia spędziłam w Los Angeles. Mój ojciec był kiedyś członkiem ekipy olimpijskiej, więc postanowił, że ja również będę gwiazdą. Większą niż on, gdyż nigdy nie zdobył medalu. Odkąd pamiętam, trenowałam gimnastykę. Śmierć mojej mamy - miałam wtedy zaledwie siedem lat - tylko zwiększyła determinację ojca. Miałam specjalną opiekę, specjalne szkoły, trenerów, wszystko. W wieku czternastu lat omal nie dostałam się do reprezentacji, wzięłam udział w mistrzostwach Stanów Zjednoczonych. W wieku osiemnastu lat zdobyłam brązowy medal. Wkrótce jednak straciłam zapal. Ojciec pogodził się z tym. Wstąpiłam na Uniwersytet Kalifornijski na wydział wychowania fizycznego, gdyż tylko na tym się znałam. Może zostałamby trenerką, wychowała złotą medalistkę. Jednak szybko mi się znudziło. Zajmowałam się sportem prawie od urodzenia. Rzuciłam go, kiedy miałam dwadzieścia lat, i zajęłam się tańcem dyskotekowym, kupiłam małe mieszkanie blisko oceanu i większość czasu spędzałam na pływaniu, surfingu i wręcz objaniu się.

Mogart pokiwał głową.

- Widzę, że zachowała pani doskonałą kondycję.

- O tak. Kiedy robi się coś przez całe życie, staje się to drugą naturą.

Mogart odchylił się na oparcie i zamyślił się. Szukał kogoś młodego, sprawnego fizycznie, bystrego i odważnego. Ta dziewczyna wyglądała na właściwą osobę. Nadal trzymając rękę w kieszeni, zwrócił się do Maca.

- A pan?

Teraz Walters miał okazję się wygadać.

- Od dziecka pragnąłem być piłkarzem. Pracowałem na to, trenowałem, robiłem wszystko, żeby wspiąć się na szczyt. Mój ojciec był górnikiem z Zachodniej Wirginii. Widziałem, co życie zrobiło z nim i z mamą. Nie chciałem tego samego. I naprawdę dopiąłem swego. Silny zespół z Nebraski przyjął mnie na obrońcę. Byłem dobry, naprawdę dobry. Ale po tym, jak mój przyjaciel został ranny na boisku i powiedziano mu, że nigdy nie będzie grał, zająłem się czym innym. Skończyłem handel. Zwerbowali mnie Eagles i grałem z nimi i z Broncos przez prawie pięć lat, aż

nabawiłem się kontuzji kolana. Lekarze powiedzieli, że grozi mi kalectwo, jeśli nie wycofam się ze sportu. Zacząłem więc rozglądać się za pracą. Kerricott Corporation, wielka sieć restauracji i hoteli, złożyła mi propozycję. Przyjąłem. Z czasem zostałem zastępcą dyrektora. Piąłem się w górę i wtedy wydarzyło się to właśnie. Zamierzaliśmy w parę osób polecieć do Nowej Zelandii, ale jakimś cudem znalazłem się tutaj.

Mogart wyglądał na niezwykle zadowolonego. Kolejny strzał w dziesiątkę.

- Nigdy byście tam nie dolecieli - pocieszył go. - Nie mielibyście gdzie zatankować po drodze. Większość wysp zniknęła pod lawą wulkaniczną albo pod wodą. Tak samo Nowa Zelandia. Już jej nie ma. - Wyprostował się. - A co z pańskim kolanem?

- W porządku - odparł Walters bez wahania. - Myślę, że w porę się wycofałem.

- Macie rodziny? - wypytywał dalej Mogart.

- Byłem kiedyś żonaty - odparł Walters. - Rozwiedliśmy się półtora roku temu. Ona chyba już nie żyje. Nie wiem, co się dzieje w Zachodniej Wirginii. Nie mogłem uzyskać połączenia ze znajomymi, którzy mieszkają na wschód od Gór Skalistych. Myślę, że wszyscy zginęli.

Mogart spojrział na Jill McCulloch.

- A pani?

Powoli zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tato nie chciał się ruszyć. Zanim się zdecydował na cokolwiek, było już za późno. Fale pływów. Miałam tylko jego. A teraz nie żyje. - Ostatnie słowa wypowiedziała ledwo dosłyszalnie, jakby dopiero teraz dotarło do niej ich znaczenie.

- Znaie się na broni? - spytał Mogart.

- Dobrze sobie radzę ze strzelbą. Gdy miałem kilkanaście lat, trochę polowałem z łukiem na jelenie - powiedział Walters.

- Może to śmieszne - zaczęła Jill z wahaniem - ale jestem dobra w szermierce. To była dodatkowa dyscyplina, dzięki której wyrobiłam sobie refleks i szybkość.

- Zabiliście kogoś? - naciskał Mogart.

Oboje byli zaskoczeni.

- Oczywiście, że nie! - obruszyła się Jill.

Mac potraktował to jako żart. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Sądziecie, że potrafilibyście? Gdyby to mogło powstrzymać katastrofę? - Mogart mówił poważnym tonem, w napięciu czekając na odpowiedź. Oboje uświadomili sobie, że pytanie nie jest czysto teoretyczne.

- Ja... nie jestem pewna - odparła kobieta.

- To zależy - oświadczył Walters. - Gdyby ktoś próbował mnie zabić, może potrafiłbym.

Mały człowieczek westchnął i zapalił następnego papierosa. Miał ochotę na drinka, ale nie odważył się go zamówić.

- No dobrze, nie o to tutaj chodzi. Choć istotnie zabicie kogoś może okazać się konieczne, zwłaszcza gdybyście sami znaleźli się w niebezpieczeństwie. - Urwał, popadając w zamyślenie. Po chwili kontynuował: - Posłuchajcie. Oto jak wygląda sytuacja. Wicie już, że Uniwersytet zajmuje się tworzeniem wszechświatów. Szczegóły techniczne byłyby dla was czarną magią. Myślę, że wyglądam jak typowy diabeł i demon tego świata. Uważajcie więc to wszystko za całkowitą magię. Wasza nauka zajmuje się odkrywaniem praw natury, ale prawa te zostały określone przez Wydział Prawdopodobieństw. Nie są wszędzie takie same. Nie bierzcie więc niczego za rzecz oczywistą i traktujcie jak magię. Zresztą co to za różnica.

Sięgnął do kieszeni wyświechtanego płaszcza, wyjął jakiś przedmiot i położył na stoliku. Był to wielki kamień, gigantyczny rubin, doskonale oszlifowany i lśniący, prawie jakby płonął wewnętrznym ogniem.

- To urządzenie... wzmacniacz... nie, wróc, kamień magiczny - wyjaśnił Mogart. - Łącznik między światami i zarazem pojazd o wielkiej mocy. Dzięki niemu dysponuję ogromną siłą. Zmuszam ludzi, by działali wbrew swojej woli, zmieniali zdanie, robili z siebie pośmiewisko, przenoszę się, gdzie chcę. Jednak ma zbyt duże ograniczenia. Nie jest dość potężny, by wykonać naprawdę duże zadanie.

- Wystarczy, że podważa teorię prawdopodobieństwa - zauważył Walters, wskazując głową na automaty do gier.

Mogart uśmiechnął się.

- Ależ nie! Wy zakładacie, że grą na automatach rządzi przypadek. Większość ludzi tak uważa. A przecież jest to tylko system zapadek uruchamianych przez wrzucane monety. Działają tu zwykłe prawa mechaniki. Wykorzystuję je i w ten sposób wygrywam dziewięć na dziesięć razy.

- Psychokineza - stwierdziła Jill. - Widziałam to kiedyś w telewizji.

Mogart skinął głową.

- Jeśli tak pani woli. Próbowałem wyhamować naszą nieprzyjazną asteroidę. Jednak efekt okazał się zbyt mały jak na obiekt o takiej masie.

- A nie można zwiększyć mocy, łącząc umysły większej liczby osób? - podsunął Walters, nawet nie zastanawiając się nad tym, że przyjął za dobrą monetę wszystko,

co powiedział mały człowieczek.

Mogart pokręcił głową.

- Nie, nie. Im więcej źródeł, tym mniejsza moc wyjściowa. Umysły musiałyby być zestrojone, a to jest niemożliwe, chyba że zebraloby się kilku osobników będących moimi wiernymi kopiami... a ja jeden to już i tak za dużo dla ludzi. Nie, potrzeba tylko większego wzmocnienia. Kamień jest za słaby, żeby wykonać zadanie.

- Więc potrzeba więcej kamieni - wtrąciła Jill. - Ile?

- Pięć - odparł Mogart. - To znaczy jeszcze pięć. Mamy tu do czynienia z postępowaniem geometrycznym. Dwa połączone kamienie mają dziesięć razy większą moc niż jeden. Trzy kamienie dziesięć do drugiej i tak dalej. To dobre rozwiązanie. Nikt nie ma dość mocy, by zmienić zasady rządzące światem, nie mówiąc o wszechświecie, ale jeśli dzieje się coś niedobrego, możemy połączyć siły.

- A koniec świata to nie jest nic złego? - spytał Walters z niedowierzaniem.

Mały człowieczek westchnął.

- Koniec waszego świata, waszej planety, tak. Ale to tylko jeden świat w ogromnym wszechświecie, jeden z wielu. Planety i słońca umierają przez cały czas. Katastrofa musiałaby być o wiele straszniejsza, byśmy stworzyli zespół. Mamy więc problem. Jak zdobyć wystarczającą ilość kamieni, by zapobiec zderzeniu? Nie dostanę ich z Uniwersytetu. Wydział Prawdopodobieństw strzeże ich dobrze. To oznacza, że musimy je zdobyć od innych badaczy działających w terenie.

- To znaczy ukraść - skwitowała Jill.

- Może to pani tak określić.

- Czy na Ziemi żyją inni przedstawiciele pańskiej rasy? - zapytał Mac.

- Nie, zwykle przypada jeden na jedną cywilizację, a wasza nie jest szczególnie ważna. Dlatego wyznaczili mnie do tej pracy. Nie możemy zdobyć kamieni od poważanych naukowców. Woleliby zniszczyć swoje małe światy niż oddać klejnoty. Poza tym chroni ich służba bezpieczeństwa Uniwersytetu. Nie, musimy zwędzić je takim wyrzutkom jak ja.

- Wyrzutkom? - powtórzyła Jill pytająco.

Skinął głową.

- Tym, którzy, wpadli w kłopoty i zostali zesłani do odległych i mało ważnych miejsc, gdzie nie mogą spowodować wielu szkód. Większość decyduje się na wygnanie zamiast wiecznej emerytury albo wykasowania pamięci. - Spojrzał na nich poważnym wzrokiem. - Nie umieramy. Osiągnęliśmy to eony temu. Nie umieramy i nie

rozmnażamy się. I tu mamy problem. Ci, którym macie ukraść kamienie, są nieśmiertelni. Mogą was zabić, ale wy nie możecie zabić ich.

- Więc jak... ? - zaczęli oboje jednocześnie, nie kończąc pytania.

- Co gorsza, musimy to zrobić nie raz, co i tak jest wystarczająco trudne, lecz pięć. I nie możemy pozwolić sobie na porażkę. Czas nie będzie problemem. Na niektórych światach biegnie z taką samą szybkością jak tutaj, na niektórych szybciej, na innych wolniej. To dobrze, gdyż inaczej nie zdążylibyśmy. Katastrofa jest bliska, więc musimy się ograniczyć do światów, gdzie czas biegnie znacznie szybciej niż tutaj. Powiedzmy, że tutejsza godzina powinna równać się całemu dniowi tam. W ten sposób zostaje nam kilkadziesiąt możliwości. Gdy weźmiemy pod uwagę tylko wyrzutków i miejsca, gdzie nie dzieje się nic ważnego i gdzie nie ma ochrony, liczba możliwości zmniejszy się do pięciu. Pięciu! Musimy dostać się na każdy z tych światów i ukraść magiczny klejnot. W żadnym wypadku nie możemy pozwolić sobie na - porażkę, gdyż nie będziemy mieli dość mocy, żeby pozbyć się tej cholernej asteroidy. A ponieważ czasu jest niewiele, możemy liczyć tylko na siebie. Mogę pomóc, ale wy dwoje musicie wykonać całą robotę. Nie ma nikogo innego i mało prawdopodobne, by ktoś taki się znalazł.

Mac Walters głośno przełknął ślinę. Jill McCulloch odniosła wrażenie, że cała rozmowa jest nierzeczywista.

- Zgadzacie się spróbować? - spytał Mogart.

Walters skinął głową.

McCulloch westchnęła, nie wierząc ani jednemu słowu obcego.

- Dlaczego nie?

- A teraz jeszcze jedna sprawa - powiedział mały człowieczek. - Uznacie ją pewnie za kolejne dziwactwo. Uwierzcie jednak, że to konieczne. - Wziął klejnot do ręki i wyciągnął przed siebie. - Ty pierwsza, młoda damo. Połóż rękę na kamieniu... nie, dłonią do spodu, na mojej. Właśnie. - Jego ton zrobił się dziwny, a głos brzmiał głucho jak ze studni. - Powtarzaj za mną - polecił. - Ja, Jill McCulloch, z własnej woli przyjmuję *geas* i wszystkie obowiązki, które na mnie spoczną. Oddaję się pod rozkazy Asmodeusza Mogarta i przyjmuję jego znak.

Zmarszczyła się lekko. Przysięga jak z *Draculi*. Jill odniosła dziwaczne wrażenie, że sprzedaje duszę. Mimo to powtórzyła niejasne słowa.

- Co się stało, już się nie odstanie - zakończył Mogart. - Przypieczętuujemy to krwią.

Nagle poczuła palenie w dłoni, jakby ktoś wbił w nią mnóstwo igieł. Drgnęła

zaskoczona i próbowała ją cofnąć, ale nie mogła. Ręka była jak przyrośnięta.

- Koniec - oznajmił Mogart i Jill poczuła, że ręka jest wolna. Przyjrzała się jej uważnie. Widniało na niej coś w rodzaju tatuażu: mały pięciokąt, a w środku dwa stylizowane kozie rogi. Wokół lśniły kropelki krwi, które szybko wyschły, a ból minął.

- Teraz pan, panie Walters - powiedział Mogart, zwracając się do mężczyzny, który wpatrywał się w dłoń Jill z mieszaniną zdumienia i lęku.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał Mac nerwowo.

- To konieczne - odparł Mogart chłodno. - Dzięki klejnotowi będziecie mogli przenosić się na inne planety i utrzymywać ze mną stały kontakt. No dalej! Co ma pan do stracenia? Poza tym najważniejszy jest czas!

Walters z lekkim wahaniem położył rękę na kamieniu. Wypowiedział przysięgę, poczuł palenie, a na dłoni pojawił się taki sam znak jak u kobiety.

Mogart uśmiechnął się i schował klejnot do kieszeni.

- Jestem jedynym źródłem - zaintonował cicho. - Ci dwoje są moimi wasalami i niech tak pozostanie, jak długo będę ich potrzebował. - Zamyślił się na chwilę, a potem powiedział: - W porządku, zreasumujmy. Musimy zdobyć pięć kamieni, a mamy bardzo mało czasu. Najlepiej będzie, jeśli się rozdzielicie. Gdy zdobędziecie klejnot, wystarczy, że wypowiecie moje imię, a znajdziecie się tutaj. To powinno ułatwić zadanie. Nie będziecie musieli się martwić o powrót. Nie mając kamieni, poszkodowani nie będą was mogli ścigać. Jeśli będziemy mieli szczęście, ostatnie zadanie wykonacie wspólnie.

- Czy to znaczy, że będziemy działali sami? - spytała Jill. - Nie jako zespół? Myślałam, że my oboje....

- Nie ma czasu - przerwał jej Mogart. - Nie będziecie jednak sami. Nie mogę fizycznie ruszyć się z tego miejsca, chyba że do domu, na Główną Linie. Możecie mnie jednak wezwać w każdej chwili. Poznacie język danego poziomu i parę innych rzeczy potrzebnych, żeby nie rzucać się w oczy i nie zginąć z powodu nieznaności miejscowych warunków. Każdy posiadacz klejnotu może w dowolnej chwili dowiedzieć się o miejscu pobytu innego właściciela. Ponieważ jesteście ze mną związani, was to - również dotyczy, więc nie będziecie mieli trudności ze znalezieniem kamienia. Chodźcie!

Wstali od stolika, a Mogart w tym czasie wszedł za ladę, wziął szklanekę i sam sobie nalał podwójną szkocką.

Oboje zerknęli nerwowo na barmana. Wyglądał jak wrośnięty w ziemię. Oczy miał

szeroko otwarte, lecz nic nie widział. Mac podszedł do niego i przyjrzał mu się z bliska.

Barman był jak żywy posąg.

- Nic mu nie jest - Mogart uprzedził pytanie Maca. - To chodzi o nas. Zaczęłam nas przyspieszać, gdy tylko oddaliście się pod moje rozkazy. Musimy dostosować się do tempa upływu czasu na właściwych poziomach. - Wychylił zawartość szklaneczki i zakaszał. Wyszedł zza baru.

- W porządku. Jeszcze chwila. - Wziął kawałek kredy z tablicy za barem, rozsunął stoliki robiąc miejsce pośrodku pomieszczenia i skinął na nich.

- Stańcie blisko siebie - polecił. - Nie przekraczajcie linii, którą narysuję - ostrzegł. - Pochylił się i narysował wokół nich pięciokąt. Wszyscy troje znaleźli się w jego środku. Potem wyprostował się i spojrzał na nich. - Gotowi? - zapytał.

Nie zdążyli odpowiedzieć. Wszyscy goście i bar powoli zaczęli rozplýwać się w nicości. Otoczyła ich szarość, która wydawała się namacalna. Podłoga zniknęła. Mieli wrażenie, że unoszą się w powietrzu. Od czasu do czasu migaly im przed oczami jakieś obrazy, ale nie na tyle długo, by się zorientowali, co przedstawiają.

- W waszym świecie jest teraz osiemnasta piętnaście dwunastego sierpnia - rozbrzmiało im w głowach, jakby Mogart przesyłał myśli bezpośrednio do mózgów. - Pamiętajcie, że najważniejszy jest czas. Nawet jeśli na innych światach będzie szybciej, nie zatrzyma się na Ziemi. Im prędzej zdobędziecie klejnoty, tym lepiej. Jedno niepowodzenie oznacza, że wszystko stracone.

- Dokąd najpierw się udamy? - spytała Jill. Nadal uważała, że to jakiś dziwny sen.

- Wybierzemy linie czasowo najbardziej zbliżone do naszych - wyjaśnił Mogart nic nie wyjaśniając.

- Nie jestem pewien, czy chcę... - zaczął Mac Walters, ale było już za późno. Pojawił się jeden z owych migających obrazów, a on sam poczuł, że coś go wpycha w głąb z wielką siłą.

Kilka sekund później Jill McCulloch poczuła takie samo pchnięcie.

To, czego chcecie, nie ma najmniejszego znaczenia, pomyślał Mogart z satysfakcją. Najważniejszy jest czas. Gdy tylko zaczną, będzie mógł wrócić do baru i nalać sobie kolejnego drinka.

GLÓWNA LINIA + 1130

Zolkar

1

Opadła jak z wielkiej wysokości, ale potoczyła się łagodnie po miękkiej chłodnej trawie. Wstała i rozejrzała się.

Znajdowała się na skraju lasu, obok drogi z ręcznie ciosanych kamieni prowadzącej do miasta, które wyglądało jak z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Brakowało tylko pustyni. Wieże i minarety były tam jedynymi wysokimi budowlami, wzniesionymi, podobnie jak wszystkie domy mieszkalne, z cegły suszonej w słońcu.

Była to spokojna okolica. Nad drzewami latały ptaki, szumiał wiatr, od czasu do czasu zabrzęczał owad, ale poza tym panowała cisza.

Naprawdę ładny widok, pomyślała.

Usłyszała czyjeś kroki. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Mogarta. Przynajmniej miała nadzieję, że to Mogart. Był nagi. Z irytacją stwierdziła, że ona również jest naga.

Wyglądał teraz znacznie bardziej obco i przerażająco. Z czoła wyrastały mu dwa rogi, które prawdopodobnie były tam przez cały czas, tyle że ukryte pod gęstą grzywką. Miał nieludzką, demoniczną twarz i krótki, zadziwiająco muskularny tors. Ze zdumieniem zauważyła, że brakuje mu pępka.

Od pasa w dół porastało go ciemnoniebieskie futro przetykane tu i ówdzie siwizną. Dwie potężne zwierzęce nogi kończyły się kopytami. Ogon, zwinięty wcześniej pod ubraniem, był długi i kręcony, a na końcu miał błonę w kształcie strzały. Długie palce i pazury nadawały dłoniom groźny wygląd.

- Nie bój się - powiedział łagodnie. - Nie mam dość mocy, by przenosić z jednego świata na drugi przedmioty martwe, w tym niestety ubrania. Może to i dobrze. Teraz widzisz mnie takim, jaki jestem naprawdę. Dzięki temu będziesz wiedziała, kogo szukać. Dla ciebie wszyscy wyglądamy identycznie. Musisz się rozglądać za kimś podobnym do mnie.

Wciąż nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że śni.

- A co ze mną? - spytała zaniepokojona. - Nie mogę pójść goła do miasta. - Umilkła na chwilę, zaskoczona nowym spostrzeżeniem. - Jesteś przezroczysty - rzekła.

Potwierdził skinieniem.

- Ty też. Jesteśmy trochę przesunięci w fazie w stosunku do tego świata. Celowo. Jesteśmy jak duchy. Nikt nas nie widzi ani nie słyszy. Chodźmy do miasta. Po drodze opowiem ci co nieco o tym dziwnym miejscu. Nie musisz się obawiać, że kogoś spotkamy. Zapewniam cię, że nas nie widać.

Nie miała wyboru. Ruszyła przed siebie.

- Miasto nazywa się Zolkar. Jesteśmy na Ziemi, więc nie powinniśmy mieć problemów.

- Twój kolega mieszka w Zolkarze? - spytała.

- Tak. Nie odważę się zbliżyć do niego, bo wyczuje moją obecność, a to byłoby fatalne w skutkach. Na pewno jest w Zolkarze. Klejnoty przyciągają się jak magnesy. Jest tutaj. Wiem to, ponieważ trafiliśmy właśnie tu.

- Co to za miejsce?

- Bardzo ładne - odparł. - O ile pamiętam, na Wydziale Filozofii toczono wielką dyskusję, czy istnieje wrodzone poczucie moralności i czy można wykształcić u ludzi etyczne zachowania. Ten świat stanowi eksperyment poświęcony tym zagadnieniom. Co wiesz o islamie?

Wzruszyła ramionami.

- Niewiele. Gdyby nie drzewa, to miasto wyglądałoby jak miasta na Bliskim Wschodzie.

- Leży mniej więcej w tym rejonie co kalifornijskie San Jose - powiedział. - A tutejsza wiara przypomina islam, tak jak spokrewnione są judaizm i chrześcijaństwo. Mają ze sobą więcej wspólnego niż z buddyzmem. Reguły są proste, za grzech uznawane jest mniej więcej to samo, co w twoim świecie. Zasad współżycia społecznego uczy się od kołyski. Różnica polega na tym, że jeśli u siebie popełnisz

grzech, czujesz wyrzuty sumienia, a tutaj zostajesz natychmiast ukarana przez boga. Jest to klasyczny eksperyment z wykształcaniem odruchu Pawłowa. Boska sprawiedliwość jest wymierzana wszystkim jednakowo. Doskonale sprawdza się to w praktyce. Upuść złotą monetę, a wszyscy rzucą się, żeby ci ją zwrócić. Nie ma tu strachu i napięcia dręczącego waszą cywilizację. Właściwie jest tu bardzo nudno i dlatego zarzucono ten projekt badawczy.

Przystanęła w pół kroku.

- Masz na myśli, że każdy uczynek uznawany za niewłaściwy zostaje ukarany?

Kara spada jak grom z jasnego nieba?

- Otóż to. Uniwersytet zsyła tutaj najbardziej niegodziwych spośród nas.

Jill doszła do wniosku, że wcale jej się to nie podoba.

Mogart wyczuł jej niechęć.

- Potrzebujemy klejnotu i nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy. Musisz to zrobić.

Potrząsnęła głową w oszołomieniu.

- Ale jak mam ukraść klejnot, skoro nie ominie mnie kara?

Wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że coś wymyślisz. Przekonasz się, że ludzie tutaj też grzeszą, zwłaszcza młodszy, ale niedługo. Nadmierna duma czyni cię niezdolnym do kłamstwa, próżność jest gwarancją brzydoty. Surowość kary wzrasta przy kolejnych grzechach. Początkujący złodziej może najwyżej stracić kilka palców.

Zadrżała.

- Czy można jakoś uchylić boski werdykt?

- O tak - odparł lekko. - Jeśli są jakieś ofiary, trzeba wyznaczyć im grzech i błagać o wybaczenie. Muszą wybaczyć. Brak miłosierdzia lub współczucia grozi odpowiednią karą bożą. Jeśli nie ma ofiar, trzeba okazać prawdziwą skruchę i poprosić boga o przebaczenie. Gdy popełni się trzy razy taki sam występki, jest się napiętnowanym na całe życie.

Na drodze przed sobą zobaczyli brodatego wieśniaka idącego obok wozu zaprzęzonego w ogromnego bawołu. Jill przypomniała sobie, że jest naga, i zwołała.

- Powiedziałem ci, że nie należymy do tego świata - zbeształ ją Mogart, chwycił pazurami za ramię i pociągnął ze sobą.

Mówił prawdę. Wieśniak nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Mijając go, Jill pomachała mu dłonią przed oczami. Ani zwierzę, ani człowiek nie zauważyli ich.

Nabrała pewności siebie.

Jednak, gdy weszli do miasta i zobaczyła obce budynki i egzotyczne stroje mieszkańców, ogarnął ją lekki niepokój. To nie był jej świat ani jej rasa. Nawet gdyby miała dużo czasu, nie potrafiłaby działać tutaj śmiało i bez zwracania na siebie uwagi.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie powagę sytuacji. Poczula się jak szpieg w obcym kraju, szpieg-amator źle przygotowany do niebezpiecznej misji.

- Nie sądzę, żeby mi się udało - mruknęła.

- Nie martw się - powiedział Mogart z pewnością siebie. - Nie zostawię cię samej.

O, widzisz? Miejsce, którego szukamy!

Skręcili za róg i Jill zobaczyła niemal opustoszałą ulicę jedno - i dwupiętrowych domów z popękanej cegły.

Mogart sprawiał wrażenie, że wie, dokąd idzie. Musiała mu zaufać. Przy dziewiątych drzwiach zatrzymał się, odwrócił do niej i uśmiechnął szeroko, ukazując ostre, pożółkłe zęby.

- Chodź za mną. - I wszedł przez drzwi nie otwierając ich.

Przez chwilę stała oniemiała. Nagle ukazała się dłoń, chwyciła ją za ramię i wciągnęła do środka. Jill nic nie poczuła. Przeniknęła przez drzwi, jakby ich nie było, i znalazła się w domu.

W głębi pokoju z klepiskiem zamiast podłogi znajdował się toporny kominek, a na hakach wisiały migoczące lampy, które śmierdziały oliwą. W kącie stały dwa drewniane łóżka ze słomianymi materacami, a pośrodku pomieszczenia niski drewniany stół, wokół którego leżały grube maty ze słomy.

Na matach siedziało dwoje dzieci. Chłopiec mający na sobie taką samą luźną szatę jak wieśniak spotkany na drodze chrupał jakieś słodycze, jakby orzeszki ziemne oblane stwardniałą melasą. Brudny i rozczochrany, wyglądał na dziesięć czy jedenaście lat. Wokół niego krążyło kilka much, ale nie zwracał na nie uwagi. Dziewczynka była może o rok starsza. Zaczynała dojrzewać. Miała bardzo długie włosy. Bardziej dbała o siebie niż chłopak, choć obojgu przydałaby się porządna kąpiel.

- Kim oni są? - spytała Jill.

Mogart uśmiechnął się.

- Chłopiec ma na imię Gaha'auna, co oznacza Cień Miasta, a dziewczynka Ma'houdea, czyli Jasna Gwiazda Nocnego Nieba. Są sierotami. Utrzymują się z żebrania. Miłosierdzie to cnota, więc nigdy nie głodują, chociaż mieszkają tu biedni

ludzie, a los potrafi być ciężki dla tych, którzy nie mają rodziny, nieważne z jakiego powodu. Dzieci cieszą się większą swobodą niż dorośli, których role są wyraźnie określone. Zwłaszcza mali żebracy są ponad wiek rozwinięci i doświadczeni życiowo.

- To rodzeństwo?

Mogart zachichotał.

- O nie. Można ich nazwać partnerami. To mieszkanie stoi od pewnego czasu puste, więc się wprowadzili. W społeczeństwie, gdzie grzech jest od razu karany, niepotrzebne są zamki i inne zabezpieczenia, więc pomieszkają tutaj, dopóki ktoś nie wynajmie pokoju. Gospodarz o nich wie, ale ponieważ nie ma najemcy, postąpiłby źle, gdyby ich wyrzucił.

Skinęła głową w zamyśleniu.

- Wiedzą, po co tutaj jestem?

- Mniej więcej - odparł Mogart. - Już wcześniej korzystałem z ich usług. Sam nie mogę się tu pojawić, bo nie pozwoli na to klejnot mojego kolegi. Gdy więc czegoś chcę, a produkują tutaj, na przykład, wspaniałe wino, potrzebuję pomocy.

- No dobrze. Widzę, że nie mam wyjścia, prawda? - westchnęła Jill.

- Tak, jeśli mamy ocalić nasz piękny świat - potwierdził ze smutkiem. - Bierzmy się do działania. Czas płynie tutaj szybciej niż u nas, ale i tak najwolniej z pięciu poziomów. Tutejszy dzień równa się naszej godzinie, a liczy się każda sekunda.

Chłopiec poruszył się niespokojnie.

- *Sama'har du ting zwong* - powiedział rzeczowym tonem do dziewczynki.

- *Frum du tossiang, jir zwa* - odparła z lekkim napięciem w głosie.

- Nie rozumiem ani słowa - stwierdziła Jill. - Jak sobie poradzę?

Mogart uśmiechnął się.

- Integracja. Nie mogę przenieść cię tutaj cieleśnie, gdyż nie pozwalają na to prawa fizyki. I oczywiście nie zdołasz w tak krótkim czasie nauczyć się języka. Musisz więc zintegrować się z kimś tutejszym, w tym wypadku z dziewczynką. Będziesz w pełni kontrolowała jej ciało i umysł.

- A co się stanie z nią? - spytała Jill zaniepokojona tą perspektywą.

- Straci świadomość. Będziesz miała ograniczony dostęp do jej pamięci, czyli do takich podstawowych rzeczy jak język. Mogą do ciebie docierać od czasu do czasu obrazy z przeszłości i strzępki wiedzy, ale pozostaną poza twoją kontrolą. Gdy zdobędziesz klejnot, wypowiedz moje imię. Dziewczynka obudzi się, a ty wrócisz na nasz poziom. Zapewniam cię, oboje zostaną dobrze wynagrodzeni. - Umilkł na chwilę.

- Czas nas goni. Nasz pan Walters jest w innej rzeczywistości. Lepiej sprawdzę, co u niego, bo może mieć kłopoty.

Mogart podszedł do stołu. Jill dopiero teraz zauważyła leżące na nim małe onyksowe kostki. Było ich kilkadziesiąt. Demon wbił w nie spojrzenie i skoncentrował się.

Nikły ogieniek w kominku nagle rozbłysnął, a przez pokój przeleciał podmuch wiatru. Dzieci spojrzały na siebie. Dziewczynka wyglądała na przestraszoną.

Kostki zaczęły się przesuwać jak żywe i tworzyć wzór na stole. Jill domyśliła się od razu, co przedstawia.

Pięciokąt.

- *Du grimp zworken ka mugu* - powiedział chłopiec.

Dziewczynka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pięciokąt. Jeden z jego nie zamkniętych jeszcze wierzchołków znajdował się dokładnie na wprost niej.

Jill McCulloch współczuła dziewczynce. Rytuał był na tyle niesamowity, by śmiertelnie wystraszyć każdego, nawet jeśli znało się Mogarta. Dzieci tylko czuły wiatr, widziały ogień i poruszające się kostki.

- Wiatr i ogień są spowodowane przesunięciem w fazie - wyjaśnił rzeczowo czarodziej, demon, wygnany profesor czy kimkolwiek był Mogart. Zerknął na przerażoną dziewczynkę i westchnął. - Hmm... cóż, nienawidzę tego robić, ale...

Sięgnął pod futro i wyjął klejnot. Podsunął go dziewczynce pod oczy.

- Wstań! - rozkazał. - *Dugou!*

Dziewczynka posłuchała. Patrzyła pustym wzrokiem i poruszała się chwiejnie jak ożywiony trup. Oczy miała utkwione w klejnocie, którego według Jill na pewno nie widziała. Pokaz takiej siły był niepokojący, a jednocześnie dodawał otuchy. Mogart powiedział, że każdy klejnot wzmacnia dziesięciokrotnie moc innego. Sześć wystarczyłoby, żeby zmienić tor asteroidy.

- Wejź do pięciokąta! - polecił Mogart, odsuwając się, żeby jej zrobić miejsce. Dziewczynka zrobiła krok do przodu, weszła na stół i stanęła wewnątrz figury. Kostki nie zamknęły się za nią.

Mogart odwrócił się do Jill.

- Twoja kolej - zawołał cicho. - Wejź przez otwór. Myślę, że wszyscy się zmieścimy.

Jill weszła na stół jakby pozbawiona własnej woli.

Onyksowe kostki zamknęły się za nią. Jill próbowała zrobić krok w tył, lecz

stwierdziła, że nie może uciec z pięciokąta. Był jak kamienny mur.

Zobaczyła, że chłopiec nadal siedzi, obserwując wszystko z zainteresowaniem i bez strachu.

Mogart przesunął się i stanął w tym samym miejscu co dziewczynka. Był to dziwny widok. Nie stopili się ze sobą, choć tworzyli osobliwą dwugłową istotę.

Dziewczynka otworzyła usta. Wydobył się z nich potok słów w języku, którym wcześniej rozmawiały dzieci. Nie był to jednak jej głos ani też Mogarta, lecz ich zlepek. Efekt był upiorny, jakby przemówił nieboszczyk, ale chłopiec nie wyglądał na przestraszonego. Skinął głową i odpowiedział dziewczynce. Przez parę minut Mogart prowadził za jej pośrednictwem dialog z chłopcem. Jill nic nie rozumiała. Wreszcie odsunął się od dziewczynki i spojrzał na Jill.

- Podejź i dotknij jej - polecił cicho.

Jill zawahała się.

- Chyba mi się to nie podoba... - zaczęła, ale stwierdziła, że wykonuje polecenie.

- Pamiętaj. Będziesz mogła wrócić do mnie, jeśli zdobędziesz klejnot - usłyszała ostrzeżenie Mogarta. - W przeciwnym razie zostaniesz tu na zawsze.

Poczuła silny wstrząs, jakby z dużym impetem wpadła na ścianę. Poczuła silny ból głowy. Zemdląca.

Ogień przygasł, a wiatr ustał. Rozległ się ostry, lecz niezbyt głośny trzask i kostki skoczyły nagle we wszystkich kierunkach, obijając się o gliniane ściany. Chłopiec uniósł rękę, żeby zasłonić się przed nimi.

Na stole leżało nieruchome ciało dziewczynki.

2

To były dziwne sny, ale jakby znajome. Już kiedyś jej się śniły, dawno temu, w dzieciństwie i na progu dojrzewania. Pojawiały się w nich obce rzeczy, ale jednocześnie powtarzały się stałe elementy.

Niektóre sny były przyjemne, inne koszmarne, wiele erotycznych. Ciskała się, ledwo sobie uświadamiając, że śni.

Potem jeden zaczął dominować: świat, gdzie ryczały bizona, ludzie wyglądali jak amerykańscy Indianie, a mały śmieszny diabełek Mogart kazał jej ukraść jakieś klejnoty, które miały zapobiec katastrofie.

- Obudziłaś się? - dobiegł ją chłopięcy głos, w którym już zaczynały pobrzmiwać męskie tony.

Jill McCulloch ocknęła się i otworzyła oczy. Bolało ją całe ciało. Czowała się, jakby przez wiele godzin spała na betonie.

Pokój z klepiskiem, pokój z suszonej na słońcu cegły, stwierdziła ze zdumieniem. A na plecionej macie siedzi jakiś chłopiec i chrupie słodycze. To nie jest sen, uświadomiła sobie z narastającym przerażeniem.

Usiadła niepewnie i potrząsnęła głową. Zobaczyła, że leży na stole! Nic dziwnego, że czuję się taka rozbita. Spojrzała na siebie, żeby się utwierdzić w podejrzeniach.

Chude nogi i ręce, niemal pozbawione ciała, czerwono-brązowa skóra. Znajdowała się w ciele dziewczynki! Była tą dziewczynką!

- Jak... jak długo spałam? - wykrztusiła ze ściśniętym gardłem. Czowała się nieswojo. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Godzinę, może dwie. Nie byłem pewien, czy to wszystko się naprawdę wydarzyło.

Uświadomiła sobie, że rozumie, co on mówi. Sama również posługiwała się tym językiem, jakby był jej ojczystą mową. Brzmiał w jej uszach naturalnie. Z angielskiego pozostały jej w pamięci tylko okruchy, głównie rzeczowniki. Takie słowa, jak „samolot” i „elektryczność” i trochę innych, które nie miały tutaj odpowiedników.

- Wiesz, że nie jestem... hm, tą dziewczynką - wyjąkała próbując nawiązać rozmowę.

Skinął głową.

- Jasne. Wiedziałem od razu, jak otworzyłaś usta. Zachowujesz się też inaczej.

- Nie jesteś... zdziwiony? - spytała zdumiona jego rzeczowym tonem.

- Potrząsnął głową.

- Nie. To już, niech pomyślę, tyle razy w tym roku.

Uniósł trzy palce, a Jill zorientowała się, że chłopiec nie umie liczyć. Z przestrawieniem stwierdziła, że ona również nie potrafi, choć owa umiejętność kryła się gdzieś w zakamarkach umysłu.

Zrozumiała, że jest teraz małą żebraczką. Wiedziała tylko to co ona. Musiała pogodzić się z ograniczeniami. Cała jej własna wiedza była na razie niedostępna.

- A tamci? - spytała. - Też korzystali z jej ciała?

Pokręcił głową.

- Nie. Z innych. Ona jest ze mną od niedawna. Pamiętaj jednak, że dla wszystkich jesteś teraz nią, więc przyzwyczaj się do tego.

- Po co oni przychodzili? - zaciekawiała się, zdumiona jego postawą.

Wzruszył ramionami.

- Po różne rzeczy. Jeden po wino. Drugi po jakieś nasiona. Nie wiem, czego szukał trzeci. Wszyscy oni to tylko kłopot.

Uniosła brwi.

- Miałeś jakieś problemy?

Potwierdził skinieniem.

- Byli głupi. Nie wiedzieli, jak się zachować. Same z nimi kłopoty. Myślę, że ty będziesz najgorsza.

- Ja? Dlaczego? - Poczwała się urażona.

- Musisz zdobyć klejnot Świętego Starca, a nigdy nie słyszałem, żeby duchowny coś komuś dał. Zawsze chcą tylko brać. Pewnie Święty Starzec nie wie, że tutaj jesteś i chcesz mu zabrać klejnot, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Więc możesz się rozluźnić - powiedział z westchnieniem. - Musisz najpierw nauczyć się wielu rzeczy, a przekonasz się, że trzeba na to dużo czasu.

Niepokój Jill wzrósł.

- Co masz na myśli?

Chłopiec zachichotał.

- Święte Przymierze mówi, że nie można wziąć czegoś, co należy do kogoś innego, bez jego zgody - wyjaśnił cierpliwie. - To znaczy, że jeśli Święty Starzec nie zechce ci dać klejnotu, nie dostaniesz go w żaden sposób.

Odetchnęła lekko i mruknęła pod nosem.

- Zobaczymy. - Rozejrzała się. - Gdzie moje ubranie? Chciałabym wyjść i rozejrzeć się.

Chłopiec zaniósł się śmiechem.

- Wiedziałem! O Boże! Jakie głupie są dziewczyny!

- Co masz na myśli? - warknęła ze złością.

- Święte Przymierze - odparł. - Domyślam się, że w świecie duchów lub tam, skąd pochodzisz, jest inaczej, ale tu jest Zolkar. Musisz przestrzegać Świętego Przymierza. Chcesz czy nie. Kiedyś jedna męzatka wyszła na ulicę bez zasłony, kiedy mąż wyjechał z miasta. Ukarał ją Duch Święty. Patrzę, a ona nie ma nosa, ust ani niczego! Zaczęła się dusić. Zrzuciłem na nią od razu woalkę, ale nie okazała skruchy. Głupia, rozumiesz?

Jill ścisnęło w żołądku.

- I co się z nią stało?

- Oczywiście umarła - powiedział chłopiec z rozbawieniem. - Jak długo można żyć nie oddychając?

- W porządku, osiągnąłeś cel tą historyjką. Zrobię, co mi powiesz. Ja tylko poprosiłam o jakieś ubranie...

- No właśnie. Jesteś dziewczyną! A dziewczyny nie noszą ubrań. Kiedy stajesz się kobietą, jakiś mężczyzna bierze sobie ciebie za żonę. Wtedy zakładasz ubranie i zasłonę i nikt oprócz twojego męża i jego rodziny nie ogląda ciebie inaczej. Taki jest system, rozumiesz? Tak to działa.

Była wstrząśnięta. Najwyraźniej kobiet nie traktowano tutaj jak ludzi, lecz jak przedmioty. Jeszcze gorzej niż w haremie.

Chciała jak najszybciej wydostać się z tego świata.

- A jeśli jest zimno? - spytała próbując zapanować nad oburzeniem.

Wzruszył ramionami.

- Wtedy oczywiście nie wychodzisz. W tych okolicach nie zdarza się to często, a na pewno nie teraz, kiedy dni są długie. Nocą się ochładza i dlatego jest tutaj kominek. Ale prawie zawsze jest wilgotno. Jutro będzie ciepło, nawet gorąco. Nie zmarzniesz.

Tyle że będę paradować nago, pomyślała ponuro.

- Więc mogę wyjść tak jak teraz?

Skinął głową.

- Jeśli chcesz. Ale to głupie. Po zmierzchu robi się chłodno. Poza tym będzie padało. Niedawno słyszałem grzmoty. Zresztą ulice są o tej porze puste. Można spotkać tylko dorosłych, którzy pracują w nocy. Lepiej rozejrzeć się rano. Teraz tylko się przeziębisz. Powinnaś się przespać. Łóżko jest tam. Jutro ci wszystko pokażę. - Ziewnął.

Wstała z westchnieniem i podeszła do łóżka. Okazało się niewiele wygodniejsze od stołu. Poza tym nie była śpiąca, lecz nie miała nic innego do roboty. Chłopiec miał rację.

Średniowieczny seksizm i kara boska, pomyślała potrząsając bezradnie głową. Nigdy jeszcze nie miała takiego poczucia beznadziejności.

Próbowała zasnąć, ale przed oczami wciąż stawał jej ojciec. „Nigdy się nie poddawaj”, powtarzał. „Niewytrwali zawsze przegrywają.”

To jednak zupełnie co innego niż otrzymanie dziesiątki za ćwiczenia wolne,

tatusiu, odpowiedziała mu w myślach, ale on wpatrywał się w nią i dodawał otuchy mówiąc, że jest najlepsza i może dokonać wszystkiego.

Wreszcie zapadła w sen ze wspomnieniem zmarłego ojca.

- Obudź się! - zawołał chłopięcy głos.

Jęknęła cicho i stwierdziła, że chętnie by jeszcze pospała.

- Która godzina?

- Po wschodzie słońca - odparł chłopiec. - Już jasno. Wkrótce na ulice wyjdą mieszkańcy i przekupnie. Zaczyna się dzień.

- Chyba wolałabym zacząć dzień trochę później - wymamrotała i odpłynęła w sen.

Nagle w głowie usłyszała donośny głos, ojcowski i zarazem besztający, lecz zupełnie nie przypominający ludzkiego: „LENIUCH!” I poczuła, że przebiega przez nią prąd. Nie było to bolesne, choć nigdy w życiu nie otrzymała tak silnego bodźca.

Rozbudziła się natychmiast i dosłownie wyskoczyła z łóżka. Czowała się jak nakręcona sprężyna, pełna energii i nieco zagubiona. Nie wiedziała, co ma zrobić. Lekko przestraszona, powiedziała bardziej do siebie niż do chłopca:

- Co się ze mną dzieje?

Chłopiec uśmiechnął się.

- Witaj w Zolkar - powiedział wesoło. - Nie wiem, jak jest w świecie, z którego pochodzisz, ale tutaj trzeba postępować tak, jak nakazuje Święte Przymierze. Nie martw się. Zaraz ci przejdzie. To tylko pierwsze upomnienie. Następnym razem będzie gorzej.

Niezbyt ją pocieszył. Ten pierwszy przejaw Boskiej Woli przeraził ją i wprowadził w ponury nastrój. Co to za miejsce? Co za życie?

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował chłopiec i ruszył do drzwi.

Poszła za nim zadowolona, że ma jakiś cel.

Chociaż było dopiero pół godziny po wschodzie słońca, na ulicach kręciło się sporo ludzi. Powietrze przepełniał odór ekskrementów, wyschłego błota i śmieci wymieszany z egzotyczną wonią świeżo pieczonego chleba i innymi kuchennymi zapachami.

Ociepliło się. W nocy przeszła burza. Jej ślady widać było wszędzie w postaci kałuż, błota i plam wilgoci na murach, ale kiedy słońce zaczęło przygrzewać, powietrze zrobiło się jak w łaźni parowej. Skoro nagości nie uważano za coś zdroźnego, Jill miała się lepiej niż chłopiec, który musiał nosić grabą szatę. Mogła najwyżej ucierpieć

jej skromność.

Jednak nieśmiałość szybko ją opuściła, kiedy skręcili za róg i ruszyli główną ulicą pełną długowłosych mężczyzn w ciężkich strojach i kobiet ubranych w kolorowe, lecz workowate płócienne suknie i woalki, a właściwie kawałki materiału zasłaniające nos i usta jak czarczafy. Wszystkie wyglądały jak rabusie z westernów. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, a ostatnie obawy rozwiały się, kiedy zobaczyła inne nagie dziewczynki.

Zapał, z którym poderwała się z łóżka, przygasł. Mogła teraz myśleć jaśniej.

- Dokąd idziemy? - zapytała chłopca.

- Przed siebie - odparł wskazując ręką. - Do takiego sklepiku. Tylko się nie odzywaj. Ja będę mówił. Chyba nie chcesz popełnić następnych błędów, zwłaszcza publicznie - ostrzegł.

Nie zamierzała tego robić. Nie miała też najmniejszej ochoty, by usłyszeć znowu ów niesamowity głos.

Przed sklepem zebrała się grupka dzieci. Wszystkie tworzyły pary. Rozpiętość wieku wynosiła od sześciu do jedenastu lat. Jill stwierdziła, że ma trudności z liczebnikami. Kiedy myślała „pięć” albo „sześć”, umysł podpowiadał: „w tym samym wieku co córka mojej przyjaciółki Cathy”. Uzmysławiała sobie wiek, ale nie potrafiła wyrazić go liczbami.

Wyglądało na to, że dzieci ich poznały.

- Nie odzywaj się, jeśli nie będziesz musiała - uprzedził ją chłopiec.

- To też są sieroty-żebracy? - szepnęła.

Skinął głową.

- Zdarza się. Nie ma w tym nic wstydliwego.

- Nie powiedziałam, że jest - odparła, lekko zaskoczona jego reakcją.

Dołączyli do gromadki. Jill umilkła i nie robiła dalszych komentarzy. Czowała się trochę nieswojo. Powoli narastało w niej zniechęcenie. Nic nie szło tak, jak powinno. Wszystko co mówiła lub robiła, okazywało się niewłaściwe. Z każdą chwilą cel wydawał się jej coraz bardziej nieosiągalny.

Chłopiec przywitał się z kolegami, zwracając się do nich po imieniu. Byli tutaj starymi bywalcami i dobrymi znajomymi. Dziewczynki na ogół milczały i zachowywały się potulnie, co irytowało Jill, ale zarazem stawiało ją w dogodnej sytuacji. Nie miała okazji się zdradzić.

Zwróciła uwagę na zabawną rzecz. W języku zolkariańskim imiona były bardzo

długie i obrazowe. Nie znano tu jednak przydomków ani zdrobnień. To sprawiało, że rozmowy brzmiały humorystycznie.

- Hej, Cieniu Miasta! Słyszałem, że dobrze ci poszło wczoraj na ulicy Dziewięciu Tysięcy Bawołów! - zawołał puciołowaty ośmiolatek.

- Nieźle, Szumie Bagiennych Traw - odpowiedział Cień Miasta. Rozejrzył się. - Widzę, że nie ma Kwiatu Długich Ciemnych Wzgórz.

Gruby Szum Bagiennych Traw skinął głową.

- Wiesz, jak to jest. Jakiś człowiek przechodził tu kilka dni temu i zaproponował, że się nią zajmie. Powiedział, że wygląda jak jego zmarła córka czy ktoś tam. Kto potrafi ich zrozumieć?

- Kogo? - spytał Cień Miasta.

- Dorosłych - odparł grubasek. - Popracuję z Kwiatem Pomarańczowego Zachodu Słońca. Zobaczymy. Wolny Wiatr Czarnej Ziemi szybko dorasta. W każdej chwili może rzucić takie życie i zostać udziałowcem.

I tak dalej. Padały wymyślne imiona, lecz rozmowa, choć całkiem zwyczajna, toczyła się na innym poziomie kulturowym. Słowa były takie same, ale ich znaczenie inne.

Dzieci przychodziły tutaj z powodu sklepiku prowadzonego przez starszego mężczyznę o imieniu Skrzydlaty Tancerz Tabunu Bawołów. Handlował głównie słodyczami i kanapkami. Ponieważ na tym świecie nie znano lodówek, przechowywanie jedzenia było niemożliwe. Zamiast wyrzucać, właściciel rozdawał je następnego ranka biednym dzieciom, okazując dobroć i miłosierdzie bez żadnych kosztów. Czasami nie zostawało mu nic z poprzedniego dnia, ale żebrzące dzieci miały swoje sposoby, żeby się tego zawczasu dowiedzieć.

Kanapki śmierdziały zjełczałym tłuszczem. Jill odmówiła, kiedy ją poczęstowano. Kłopot polegał na tym, że nie wiedziała, czy kanapki są naprawdę zepsute, czy mają tak pachnieć. Okazało się, że nie ma to znaczenia. Inne dzieci pochłonęły je z zadowoleniem, a ona dostała garść ciastek i rożków, które smakowały wyśmienicie, tyle że były twarde i nieświeże. Nie zwróciła na to uwagi. Gdyby umierała z głodu, nawet kanapki wyglądałyby apetycznie.

Jasna Gwiazda Nocnego Nieba, w której ciele teraz przebywała, jadła jak ptaszek. Jill szybko się nasyciła. Zaspokojenie głodu trochę więcej czasu zabrało Cieniowi Miasta.

- W porządku, teraz chodźmy poszukać twojego klejnotu - powiedział wreszcie.

Wstali, lecz następne piętnaście minut zabrało im pożegnanie się ze wszystkimi dziećmi o długich imionach, życzenie im dobrego dnia i szczęścia. W końcu udało się im wyrwać. Gdy znaleźli się na ulicy, Jill zaczęła wypytywać młodego przewodnika.

- Zauważyłam, że wszystkie dzieci trzymały się parami. Dlaczego?

- Mężczyźni po prostu nie przystoi żebrać, jeśli nie jest kaleką - wyjaśnił Cień Miasta. - To oznacza, że żebrać muszą dziewczynki. Ale one nie mogą dotykać ani wydawać pieniędzy, więc łączą się w pary z chłopcami.

Kolejne wariactwo, pomyślała.

- A jeśli ktoś nie może znaleźć partnera albo dorasta jak twój przyjaciel? Głodujecie?

Chłopiec zachichotał.

- Czy Szum Bagiennych Traw wygląda na zagłodzonego?

Musiła przyznać, że pulchnemu chłopcu raczej przydałaby się dieta.

- Czasami dziewczynek jest więcej niż chłopców i tak jest dobrze, ponieważ więcej ich zarabia na jednego. Jeśli chłopiec zostaje bez partnerki, przechodzi do niego wolna dziewczynka. W ten sposób dostałem ciebie, to znaczy Jasną Gwiazdę Nocnego Nieba. No, wiesz, co mam na myśli.

Skinęła głową, wyczuwając jego zakłopotanie. Wiedziała, że gdyby chłopiec nie miał doświadczenia w kontaktach z osobami z innych światów, nigdy by sobie nie poradził z taką rozmową.

- A jeśli jest więcej chłopców niż dziewczynek? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli wszystko idzie dobrze, składamy się, żeby pomóc tym, którzy są sami, no i zawsze są takie miejsca jak tamten sklepik. Jeśli sytuacja jest naprawdę zła i komuś grozi głód, może podjąć Ryzyko.

Szli teraz szeroką główną ulicą. Jill zobaczyła, że jest to naprawdę spore miasto i liczy co najmniej dziesięć tysięcy mieszkańców. Kierowali się w stronę najwyższego budynku, wieży w kształcie piramidy.

- Ryzyko? - powtórzyła chcąc trochę poznać nową kulturę.

Skinął głową ponuro.

- Modlić się do Ducha Świętego o boskie miłosierdzie.

- I otrzymujecie je? - spytała zafascynowana.

Na jego twarzy pojawił się sardoniczny uśmiech.

- O tak. Tylko że czasami nie to, czego się człowiek spodziewa. Jeśli zostaniesz

uznany za wartościowego, otrzymujesz to, o co prosisz. Jeśli nie... cóż, znam facetów, którzy padli martwi na miejscu lub zamienili się w bawoły albo nawet w dziewczyny!

Nie spodobał się jej wyraźny niesmak, z jakim wymienił ostatnią możliwość. Powiedziała mu to, a on tylko wyszczerzył się i wzruszył ramionami.

Westchnęła przypominając sobie, że rozmawia z małym chłopcem - o czym łatwo było czasami zapomnieć, obserwując jego dorosłe zachowanie - i zmieniła temat.

- Co się dzieje, kiedy dorastacie? - zapytała. - Zdaje się, że nie możecie już żebrać.

Potwierdził z żalem.

- Dorosłość oznacza, że trzeba się zawsze zachowywać godnie, czyli trzeba podjąć uczciwą pracę. Jeśli nie możesz jej znaleźć albo nie nauczysz się handlu, bo jest to trudne, jeśli się jest sierotą, zostajesz udziałowcem i pracujesz na ziemi pana za część zbiorów.

Pamiętała to z historii własnego świata. Feudalizm w czystej postaci. Biedni sprzedawali się bogatym za żywność, ubranie, dach nad głową i opiekę. Taki los czekał większość chłopców. Zasmuciła ją myśl, że bystre i niezależne istoty dobrowolnie zakuwają się w łańcuchy na resztę życia. Z tonu Cienia Miasta domyśliła się, że jest to przygnębiająca lecz pewna przyszłość, o której się nie mówi. Jednak raz poruszona sprawa nie dawała jej spokoju.

- Wy, dziewczyny, macie łatwiej - stwierdził z rozdrażnieniem. - Zjawia się jakiś facet, zabiera was do siebie i zapewnia wam wszystko, a wy tylko musicie dać mu dzieci. Zresztą zawsze pozostaje jeszcze służba kościelna. Ale nie dla chłopców. Na nas ciąży obowiązek.

Jill uznała, że jest to sytuacja, w której nie ma wygrywających.

Dotarli do skweru świątynnego. Był to ogromny trawiasty park z czterema ścieżkami zbiegającymi się przed świątynią, wielką piramidą zbudowaną z kamiennych bloków, do której prowadziły setki stopni.

Zatrzymali się po drugiej stronie.

- Główna świątynia Ducha Świętego - oznajmił chłopiec przyciszonym i pełnym czci głosem.

- Tam pracuje ten człowiek, który ma klejnot? - zapytała go, sama ogarnięta lękiem. Bezskutecznie próbowała wyobrazić sobie wznoszenie tak potężnej budowli tylko siłą mięśni.

Chłopiec skinął głową.

- Pracuje tam i mieszka, podobnie jak starsi kościoła i Kobiety Ducha.

Przyjrzała się świątyni.

- Trudno uwierzyć, że ktoś tam może mieszkać.

- Nie jest tak źle, jak myślisz - odparł. - Nigdy nie byłem w środku. Pod parkiem jest wielki zamek, który sięga w głąb ziemi na tyle samo, na ile świątynia wznosi się w górę. Ma pełno pokoi i krętych korytarzy. To chyba część wielkiej jaskini albo czegoś w tym rodzaju. Słyszałem, że jest tam zimno i wietrznie.

Westchnęła. Na domiar złego człowiek, którego szukała, mieszkał w prawdziwej twierdzy o nieznanych rozmiarach, pociętej labiryntem przejść. Doszła do wniosku, że nigdy nawet nie znajdzie demona z klejnotem. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- Wspomniałeś o dziewczętach udających się na służbę do kościoła. I o Kobietach Ducha, które tu mieszkają. Co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że dziewczynka, która miała już krwawienie, ale jeszcze nie wzięła jej żaden mężczyzna, może podejść do jednych z czterech drzwi i oddać się kościołowi. Zostanie przyjęta. Nikt nie wie, co się dzieje potem, ponieważ nikt ich więcej nie ogląda.

Z wielu powodów nie była to pocieszająca wiadomość. Przez chwilę miała pomysł, żeby się zgłosić - przynajmniej mogłaby wejść do środka i zorientować się w sytuacji - ale dziewczynce brakowało do dojrzałości jeszcze parę miesięcy albo rok. Co powiedział Mogart? Jeden tutejszy dzień równa się godzinie na ich poziomie. To z pewnością za mało czasu. Zresztą i tak nie wytrzymałaby tu roku. Oczywiście, jeśli nie znajdzie rozwiązania, będzie musiała spędzić tutaj znacznie więcej czasu. Gdy sobie to uświadomiła, ogarnęła ją niecierpliwość. Zaczęła myśleć intensywnie.

- Wiesz, kogo szukam? - zapytała z determinacją.

- Oczywiście. Świętego Starca, władcy świątyni. Nikt u nas nie ma włosów na twarzy, a on ma ich mnóstwo. Jest w połowie człowiekiem, a w połowie kimś innym. Stąd wiemy, że jest Świętym Starcem.

Ten opis pasował do Mogarta, który powiedział, że dla ludzi przedstawiciele jego rasy wyglądają tak samo.

- A skąd to wszystko wiesz? Widziałeś go? - naciskała z ciekawością.

- O tak. Wychodzi, żeby odprawiać msze i południowe modlitwy. - Chłopiec nagle zorientował się, dokąd ona zmierza swymi pytaniami. - Nie ma ustalonego tygodniowego porządku nabożeństw - dodał. - Codziennie w południe odbywa się msza na placu. I tak nic ci z tego nie przyjdzie.

- Dlaczego? - zapytała bojąc się rozczarowania.

- Bo musisz się modlić - odparł pogardliwym tonem, dając jej do zrozumienia, że zadała głupie pytanie.

Nie odpowiedziała. Zastanawiała się, jak zbliżyć się do demona w czasie południowej ceremonii.

- On udziela audiencji - oznajmił nagle chłopiec.

- Audiencji? Zwykłym ludziom? - Obudziła się w niej nadzieja.

Skinał głową.

- Nigdy nie byłem na żadnej, bo można do niego pójść tylko wtedy, gdy ma się problem zbyt wielki, żeby go samemu rozwiązać. Prawie wszyscy je mają, więc jest tłum chętnych, ale on zwykle rozmawia tylko z paroma osobami.

Przeszkody, pomyślała. Zawsze przeszkody. Te jednak można było przezwyciężyć. Żałowała tylko, że nie ma więcej czasu.

- Chciałabym przyjść tutaj na południowe nabożeństwo - oświadczyła.

Wzruszył ramionami.

- W porządku, ale to oznacza kłopoty. Możemy tu zostać i żebrać, żeby nie marnować czasu.

Okazało się, że żebractwo jest podobnym zajęciem we wszystkich kulturach. Jill była brudna, ale Cień Miasta znalazł błotnistą kałużę i musiała się w niej wytarzać.

- To się zmyje - pocieszył ją. - Im gorzej wyglądasz, tym więcej uzbierasz.

- Myślałam, że dawanie jałmużny to obowiązek - zauważyła wstając z ziemi.

- Bo tak jest - potwierdził - co nie znaczy, że trzeba samemu doprowadzić się do nędzy. Daje się tyle, na ile można sobie pozwolić, czyli zwykle raz dziennie. Wiesz, ilu żebraków jest w mieście takiej wielkości? - Po chwili dodał z naciskiem: - Zwłaszcza wokół Świątyni?

Zrozumiała. Do południa będzie musiała pracować w okolicy, gdzie jest największa konkurencja. Trudno zignorować żebrzące dziecko, kiedy się jest w pobliżu świątyni, tak więc zapowiadała się ostra rywalizacja.

Ku własnemu zaskoczeniu radziła sobie znakomicie mimo braku wprawy. Żebranie było szczególnie trudne w społeczności, gdzie nie można przekonująco kłamać bez narażania się na karę. Chłopiec uprzedził ją, że nawet najmniejsze kłamstwo pociąga za sobą konieczność mówienia przez długi czas samej prawdy.

Na szczęście nie miała żadnych kłopotów. Błoto i słońce sprawiły, że wyglądała naprawdę żałośnie, zwłaszcza po wizycie w toalecie. Przekonała się, że w budynkach

są wypełnione wapnem dziury w ziemi i że nie wynaleziono tu papieru toaletowego. Pracujący i zamożni obywatele nosili przy sobie specjalne ściereczki, które później prali. Biedni natomiast musieli chodzić brudni, zanim udało im się dotrzeć do rzeki lub znaleźć jakąś wodę.

Widząc potencjalnego ofiarodawcę, ruszała do pracy. Podbiegała do niego i nieszczęśliwym głosem zaczynała lamentować, że nie ma co jeść i on jest dla niej ostatnim ratunkiem. Zwykle słyszała w odpowiedzi: „Przykro mi, ale nie mogę dać ci nic więcej oprócz błogosławieństwa”, co było zolkariańskim odpowiednikiem odmowy. Często jednak dostawała pieniądze, nawet więcej niż się spodziewali oboje.

Cień Miasta trzymał się z boku, obserwując jej poczynania. Nagabywany rzucał jedną lub kilka monet na ziemię. Nigdy nie dawał ich dziewczynce. Był to znak dla Cienia Miasta. Wychodził z ukrycia, zbliżał się powoli, zbierał niedbale pieniądze i chował do kieszeni, jakby znalazł je przypadkiem, idąc ulicą.

Ten rytuał pozwalał chłopcu zachować godność. Kobiety oczywiście nie miały żadnej godności, której musiałyby chronić.

Nadeszło południe.

Właśnie dostała drobną monetę od przechodnia, kiedy usłyszała za sobą głośnie trąbienie, jakby zagrała wielka orkiestra złożona z rogów. Podskoczyła i obejrzała się. We wrotach świątyni stali jacyś mężczyźni i dęli w coś, co wyglądało jak gigantyczne muszle, wydobywając z nich tony, które niosły się na całe miasto.

Chłopiec przybiegł do niej natychmiast.

- Dość pracy - oznajmił. - I tak zebrałaś więcej niż zwykle przez cały dzień. Teraz musimy się modlić. - Spojrzał na nią z poważną miną. - Na pierwszy dźwięk rogu musisz się zatrzymać. W chwili kiedy zabrzmie drugi, padasz na brzuch, twarzą do ziemi. Potem powtarzasz to co wszyscy i robisz to co oni. Nie wolno ci robić niczego innego. Tak nakazuje Święte Przymierze!

Zrozumiała, że to nie żarty.

Zagrzmiała druga fanfara. Zobaczyła, że wszyscy przechodnie kładą się twarzą do ziemi. Cień Miasta położył się obok niej, żeby mogła go widzieć i słyszeć.

Rozległ się donośny głos, który brzmiał jak wzmocniony elektronicznie.

- Chwała Duchowi Świętemu, który jest zawsze przy mnie - zaintonował głos, a tłum powtórzył to kilka razy. Jill również.

- Należę do Ducha Świętego, który jest moim Panem i mistrzem - kontynuował głos.

I znowu litanie powtórzono kilkakrotnie.

- Istnieję tylko po to, by wypełniać Jego wolę - dobiegła następna fraza. Cała pieśń wyrażała całkowite poddanie się. Na szczęście była piękna. Stanowiła doskonały rytmiczny utwór poetycki.

- Chwała Duchowi Świętemu, którego wola jest moją wolą.

Zaczęła powtarzać wers, lecz nagle urwała i gwałtownie nabrała powietrza. Rozpoznała ten głos, choć z nienaturalnym pogłosem rozbrzmiewał nad całym miastem. Oczywiście!

Asmodeusz Mogart!

- Dokończ pieśń! - syknął chłopiec. - Pośpiesz się! Teraz następna linijka! Musisz nadażać!

- Ale ty nie rozumiesz - szepnęła w odpowiedzi. - On...

- Za późno - westchnął.

Głos zaintonował nową frazę.

3

Modlitwa dobiegła końca, ale nie dla Jill. Wciąż jeszcze podniecona próbowała wstać. Na próżno. W jej głowie zagrzemiał nieludzki głos: „SKRUCHA!”

Nie mogła się podnieść.

- Cieniu Miasta! Co się dzieje? Co mam zrobić? - zawołała z paniką w głosie.

Chłopiec ukucnął nad nią.

- Musicie być wszyscy bardzo głupi - westchnął. - Nie potrafisz powtórzyć paru prostych słów.

- Daj sobie spokój z obelgami - jęknęła. - Co mam teraz zrobić?

Znowu westchnął.

- Nie wiem. Zasada jest taka, że trzeba odmawiać modlitwy, aż się w nie uwierzy, okaże posłuszeństwo i szczerą skruchę. Nawet nam zajęłoby to wiele dni. Nie jestem pewien, czy tobie coś pomoże. Czy potrafisz w pełni zaakceptować Święte Przymierze?

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Nie, nie potrafiłaby. Ten Bóg, Duch Święty czy ktoś taki wydawał się nieczuły jak maszyna. Prawdopodobnie był czymś w rodzaju kosmicznego komputera. Mógł zaakceptować tylko całkowitą uległość, ponieważ tak został zaprogramowany. W dodatku potrafił przejrzeć ją na wylot.

- Więc mam tak leżeć na środku ulicy? - jęknęła.

Chłopiec zastanowił się.

- Cóż, jest jeden sposób. Od czasu do czasu ludzie wpadają w podobne kłopoty, chociaż nie dlatego, że są równie tępi jak ty. Takie rzeczy się zdarzają i trudno się czuć winnym, kiedy nie popełniło się błędu. Wtedy trzeba udać się do kogoś, kto ma moc.

- Moc?

Skinął głową, chociaż nie mogła tego zobaczyć.

- Tak. Da ci jakiś wywar do wypicia, po którym zrobisz się śpiącą, a potem powie, jak powinnaś się czuć, i tak się stanie.

Hipnoza, pomyślała. Może zadziała!

- Posłuchaj - powiedziała. - Może to jest sposób. Ten stan później minie i my...

- Nic z tego - uciął. - Jeśli minie, znowu będziesz leżała plackiem na ziemi. Gdy się chce, żeby ustąpił ból głowy czy coś podobnego, wystarczy spojrzenie takiego człowieka, ale kiedy wypijesz wywar, to już zostaniesz w takim stanie.

Zrozumiała. Jeśli dzięki hipnotyzerowi uwierzy w system i zaakceptuje go, będzie chciała w nim żyć. Jako dobra zolkariańska dziewczynka będzie czekała niecierpliwie, aż ktoś ją weźmie do siebie, a ona urodzi mu dzieci.

Nic z tego.

- Nie ma innego sposobu? - jęknęła.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie istniałby żaden problem, gdybyś była jedną z nas. A tak, jedyna rzecz, jaką możesz zrobić, to podjąć Ryzyko.

- Ryzyko? - powtórzyła i zaraz przypomniała sobie, że oznacza to zwrócenie się bezpośrednio do Ducha Świętego, ale bez gwarancji, że problem zostanie rozwiązany.

- Co mam Mu powiedzieć? - spytała trochę wystraszona.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Powiedz Mu prawdę. Może wybaczy ci niewiedzę, ale niezbadane są Jego ścieżki. Może uczyni cię Zolkarianką i będzie po kłopocie.

Nie dla mnie, pomyślała ponuro.

- Nie ma innego sposobu?

- Nie. Musisz to przemyśleć.

Zrobiła tak, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

- Naprawdę nie ma wyboru? - spytała jeszcze raz.

Potwierdził to z żalem.

Religia nie odgrywała dużej roli w jej życiu. Niezbyt pobożny ojciec-katolik rzadko prowadził ją do kościoła czy na lekcje religii, nie chcąc odrywać jej od ćwiczeń gimnastycznych. Później zaczęły się zawody i treningi. Chodziła do kościoła zwykle na Wielkanoc i Boże Narodzenie, a najbardziej religijna stała się w ostatnich latach, kiedy to przed zawodami odmawiała kilka modlitw i składała przyrzeczenia. Teraz musiała modlić się do Boga, a nie potrafiła wziąć tego poważnie.

Ułożyła sobie w myślach, co ma powiedzieć, wzięła głęboki oddech i stwierdziła, że jest gotowa. Poczula się tak samo, jak tuż przed startem w ważnych zawodach, tyle że teraz była znacznie bardziej bezradna, gdyż wynik nie zależał od jej wysiłku. No dalej, powiedziała do siebie. O Duchu Święty, wysłuchaj mojej modlitwy, zaczęła zamykając oczy. Potrzebuję twojej pomocy. Jestem tutaj obca, pochodzę z innego świata, przebywam w nie swoim ciele. Nazywam się Jill McCulloch. Mój świat wkrótce zginie od uderzenia wielkiego księżyca. Sami nie możemy go już wyhamować. Potrzebujemy pomocy waszego Świętego Starca. Przysłano mnie tutaj, żebyś go poprosiła o tę pomoc, ale nie wiem, jak do niego dotrzeć. Słowa modlitwy pominęłam z rozpacz, bo kiedy usłyszałam jego głos, mogłam myśleć tylko o swoim domu, któremu grozi straszliwe niebezpieczeństwo, a tylko ten człowiek może nas uratować. Czy wybaczysz biednej cudzoziemce, której zależy na ocaleniu własnej rasy? Tylko Ty, Duchu Święty, możesz mi wybaczyć i pomóc. Błagam o ratunek.

Zamilkła, czekając na jakiś znak. Nic się nie wydarzyło. Zaniepokoiła się. Czy w takim zamkniętym systemie jak ten można zaakceptować coś, co pochodzi z zewnątrz, nie mówiąc o zrozumieniu tego czegoś?

Nagle uświadomiła sobie, że coś się dzieje. Poczula palenie na plecach i zobaczyła, że wokół niej rozgorzała niezwykle jasna złota poświata, poza którą była ciemność.

- SĄD! - rozległ się głos, z tym że teraz wydawał się normalny, choć nie mniej potężny i nieludzki. - KOBIETO, WYŚLUCHAŁEM TWOJEJ PROŚBY!

Jill poczuła, że narasta w niej napięcie. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Wszystko było możliwe.

- ZAJRZAŁEM W TWÓJ UMYSŁ I STWIERDZIŁEM, ŻE JEST NAPRAWDĘ OBCY - oświadczył Duch Święty. - NIE NALEŻYSZ DO MOJEGO ŚWIATA! TO MUSI SIĘ ZMIENIĆ!

Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Jestem zgubiona, pomyślała.

- WYŚLUCHAJ MOJEGO WYROKU. UWALNIAM CIĘ OD KARY. MOŻESZ POSZUKAĆ OSOBY, KTÓREJ POTRZEBUJESZ, ALE PODCZAS POBYTU NA TYM

POZIOMIE MUSISZ WYPEŁNIAĆ WSZYSTKIE POSTANOWIENIA ŚWIĘTEGO PRZYMIERZA! WSZYSTKIE! ŹLE ZROBIŁAŚ ZAMIESZKUJĄC CIAŁO MOJEJ SŁUŻKI. OTRZYMASZ WŁASNĄ POSTAĆ. RZEKŁEM!

Przeżycie było tak silne, że mimo racjonalizmu poczuła nabożny lęk.

- Proszę! - zawołała. - Pomożesz mi? Jeśli Święty Starzec nie zechce współpracować, nie będę mogła mu niczego zabrać wbrew jego woli. - Zorientowała się, że ostateczne stwierdzenie nie brzmi jak jej własne.

- JEST SPOSÓB, BY ROBIĆ SAME DOBRE UCZYNKI - powiedział Duch Święty. - MOŻNA GO ZNALEŹĆ, UCZĄC SIĘ ŚWIĘTEGO PRZYMIERZA.

I nagle wszystko wróciło do poprzedniego stanu. Jill stwierdziła, że znowu może się ruszać. Spojrzała w górę i zobaczyła, że chłopiec gapi się na nią zdumiony. Opuściła wzrok. Znajdowała się w znajomym dwudziestopięcioletnim ciele. Była naga. Obok chwiejnie wstawała na nogi Jasna Gwiazda Nocnego Nieba.

Chłopiec szybko doszedł do siebie.

- Ty jesteś tą kobietą, która była w jej ciele? - domyślił się.

Skinęła głową. Chłopiec rozejrzał się z przestraszeniem.

- Chodź! - ponaglił ją. - Musimy się schować!

- Co... ? - Nagle zrozumiała. Naga i całkiem atrakcyjna, znajdowała się w publicznym miejscu w godzinach szczytu, a przecież obowiązywało ją teraz Święte Przymierze. Każdy mężczyzna mógł podejść do niej i powiedzieć, żeby z nim poszła, a ona musiałaby posłuchać. - Dokąd? - zapytała niespokojnie.

Rozejrzał się.

- Na tyły tamtych budynków. Jest tam uliczka zastawiona pojemnikami na śmieci. Chodź!

Puścił się biegiem, a Jill i wciąż jeszcze oszołomiona dziewczynka za nim.

Czarne włosy miała zawsze krótko ścięte. Teraz stwierdziła, że sięgają prawie do ziemi, więc musi dźwigać na głowie dwa dodatkowe kilogramy. Ponieważ nie była do tego przyzwyczajona, przeszkadzały jej.

Dotarli do bocznej uliczki i przez dłuższą chwilę łapali oddech.

- Musimy się tu ukrywać do zmroku - oznajmił chłopiec. - Nie możesz tak się pokazać na ulicy. Jesteś bardzo dobrze zbudowana i masz egzotyczną urodę. Nawet gdyby nikt nie wziął cię na żonę, musiałabyś spełnić każde żądanie dorosłej osoby z wyjątkiem seksu.

Zrozumiała, co chłopiec ma na myśli. Wszyscy uznaliby, że ukarał ją Bóg. W tym

przekonaniu utwierdziłby ich jej egzotyczny wygląd; tutejsi ludzie przypominali Indian. Nikt nie czułby się ani trochę winny, wykorzystując ją, a wielu uległoby pokusie, by zrobić z niej niewolnicę. A musiała być teraz posłuszna jak miejscowe kobiety.

- Dokąd potem pójdziemy? - zapytała.

- Na razie do domu - odparł.

Potrząsnęła głową.

- Nie mam po co tam wracać. Byłabym jak w więzieniu. To, czego szukam, jest w świątyni.

- Myślisz, że to zdobędziesz? - spytał chłopiec sceptycznie. - Jeśli naszemu Świętemu Starcowi nie spodoba się twój Święty Starzec, to koniec.

Westchnęła i usiadła na ziemi.

- Może, ale tam jest odpowiedź. Tak powiedział Duch Święty. Rozwiążę problem studiując Święte Przymierze.

Chłopiec i dziewczynka zachichotali.

- To typowa odpowiedź dla wszystkich, którzy mają kłopoty.

- Może - przyznała - ale mam wrażenie, że tam naprawdę jest odpowiedź. Tylko muszę ją znaleźć.

Zaczęli się zastanawiać. Włamanie oczywiście nie wchodziło w grę. Jill musiała być czysta jak łąza. Nie mogła naruszyć Świętego Przymierza, nawet gdyby była gotowa ponieść konsekwencje. A jeśli zrobiłby to ktoś inny, zostałyby z miejsca ukarany. Za kradzież groziła utrata ręki, a za ucieczkę - nogi.

Mieli nie lada orzech do zgryzienia.

Czas uciekał. Godzina z każdym zolkariańskim dniem. Poza tym ona sama była teraz chodzącą bombą zegarową i nie mogła się pokazać publicznie.

Chłopiec wziął kilka monet wyżebranych przez nią rano i wrócił z chlebem domowego wypieku, musztardą i plasterkami mięsa. Smakowało to okropnie, ale byli głodni jak wilki, więc nie zostawili ani okruszyny.

Nadal jednak pozostawał nie rozwiązany pierwszy problem. Jak można pod rządami Świętego Przymierza zdobyć coś, czego właściciel nie chce oddać?

I wtedy przyszła jej do głowy odpowiedź.

- Oczywiście! - zawołała i strzeliła palcami. - Jestem naprawdę głupia, Cieniu Miasta, że nie dostrzegłam tego od początku.

Nie zrozumiał. Co więcej, wstrząsnął nim fakt, że kobieta wpadła na pomysł,

którego on nie rozumiał.

- Gdybym mogła dostać się do Świętego Starca, porozmawiać z nim choćby przez chwilę, zdobyłabym klejnot - oświadczyła z pewnością siebie.

Chłopiec rozchmurzył się trochę.

- Ale jak zamierzasz do niego dotrzeć? Już miałaś dosyć kłopotów, a teraz... - zawiesił głos.

Miał rację. Nieważne jak w końcu rozwiąże problem zdobycia klejnotu, najpierw musi dotrzeć do demona. Jedna rzecz na raz, pomyślała.

- Święty Starzec również musi przestrzegać Świętego Przymierza, prawda? - spytała.

Dzieci skinęły głowami.

- Oczywiście - odparł chłopiec. - To jedyny człowiek bez grzechu.

- Więc mój plan się powiedzie. Jeśli tylko dostanę się do świątyni.

- Nie wiem jak - powiedział chłopiec ponuro.

Chwileczkę! Może stwarzam trudności tam, gdzie ich nie ma. „Ucz się Świętego Przymierza”, powiedział Duch Święty. Przymierze! To jest klucz. Spojrzała na Cień Miasta.

- Ile Mogart ci płaci? - zapytała.

Uniósł brwi.

- Kto?

- Mój, hmm, szef. Duch. Jaką masz otrzymać nagrodę?

- Wszystkie onyksowe kostki użyte podczas ceremonii mają zamienić się w złote - odpowiedział chłopiec z westchnieniem. - Ale tylko wtedy, gdy wrócisz z klejnotem. - Spojrzał na nią z dziwną miną. - Nie rozumiesz? Mając tyle złota, mógłbym się zająć handlem i pozostać wolny!

Skinęła głową. Zrozumiała teraz, ile cała sprawa dla niego znaczy. Wiedziała, że pomoże jej bez względu na wszystko. Jedna rzecz nadal ją niepokoiła.

- Cieniu Miasta, dlaczego Wielki Duch pozwala ci kontaktować się z innymi duchami i służyć im? To chyba wbrew tutejszym zasadom.

Zachichotał.

- Tak, gdybyśmy sprzedawali własne dusze albo dokonywali czynów niezgodnych ze Świętym Przymierzem. A my jesteśmy tylko przewodnikami.

Istotnie. Święte Przymierze zawierało ściśle określone reguły, lecz nie uwzględniało niczego, co nie mieściło się w doświadczeniu jego autora, czy był nim

Duch Święty, czy też Wydział Uniwersytetu zajmującego się tworzeniem światów. W tekście nie wspomniano o duchach, więc to, co robił chłopiec, było dozwolone.

Westchnęła.

- Wkrótce zapadnie zmierzch. To dla mnie najlepsza pora. Załatwimy sprawę, zanim skończy się noc.

- Jak zamierzasz dostać się do świątyni? - zapytał chłopiec.

Uśmiechnęła się.

- Zamierzam wspiąć się po schodach, podejść do wielkich drewnianych drzwi i zapukać. - I przedstawiła mu resztę planu.

- To może się udać - stwierdził po chwili zastanowienia. - Musimy więc zapewnić ci ochronę, dopóki tam nie dotrzesz.

Skinęła głową.

- Potem idźcie do domu. Jeśli mi się nie uda, nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Jeśli mi się powiedzie, dopilnuję, żebyście dostali złoto.

Dziewczynka, która przez cały dzień nie powiedziała ani słowa, ale z ich rozmowy domyśliła się wszystkiego, westchnęła.

- Pozostaje nam tylko poczekać do zmroku. - Potem położyła się na ziemi i zasnęła. Cień Miasta i Jill McCulloch obserwowali ją przez chwilę.

4

Zapadł zmierzch. W bocznej uliczce było już tak ciemno, że ledwo widzieli siebie nawzajem. Omal się nie poranili, przechodząc przez góry śmieci, żeby wydostać się na ulicę.

Chłopiec szedł pierwszy. Wyjrzał za róg i odwrócił się do Jill.

- W porządku, idziemy. Jest tylko paru przechodniów.

Wolałaby, żeby nie było nikogo, lecz wzięła głęboki oddech i wyszła śmiało na ulicę, kierując się na drugą stronę do małego parku. Dzieci podążały za nią w pewnej odległości.

Nagle zauważył ją jakiś mężczyzna i zawołał:

- Hej, ty tam!

To był znak dla dziewczynki, która podbiegła do niego i zaczęła żebrać.

Jill przyśpieszyła kroku, słysząc za sobą błagania dziewczynki i protesty

mężczyzny. Dotarła do ciemnych schodów. Ruszyła w górę, nawet nie próbując zgadnąć, jak daleko jest do pochodni migoczącej przy bramie. Wydawało się jej, że idzie bez końca. Nie miała pojęcia, ile pokonała stopni. Raz czy dwa musiała przystanąć, żeby złapać oddech. Przez cały czas robiła sobie wyrzuty, że straciła kondycję.

Kiedy już wydawało się jej, że nigdy nie dotrze na szczyt, nagle znalazła się na szerokim, płaskim podeście przed ciężkimi dębowymi drzwiami zdobionymi złotem. Obejrzała się, żeby po raz ostatni spojrzeć na miasto i park. Nie mogła odróżnić żadnych szczegółów, choć samo miasto jaśniało światłami tysięcy mieszkań. Było rzeczywiście duże. Miała nadzieję, że dzieci dotarły do domu.

Kości zostały rzucone. Nie mogła się teraz wycofać. Nie ma odwrotu, pomyślała z determinacją, podeszła do drzwi i zastukała z całej siły. Bębniła przez chwilę, aż przestraszyła się, że nikogo nie ma w świątyni. W końcu usłyszała jakieś szcęknięcie po drugiej stronie. Tuż nad nią odsunęła się niespodziewanie mała płytka i ukazał się otwór.

- Córko, jakim prawem domagasz się wpuszczenia o tej porze do najświętszego miejsca? - zapytał rozgniewany gruby głos.

- W imię miłosierdzia, łaski i Ducha Świętego - odpowiedziała wyzywającym tonem. - Zostałam skierowana tutaj przez samego Ducha Świętego w bardzo pilnej sprawie dotyczącej życia niezliczonych ludzi. Muszę uzyskać audiencję u Świętego Starca.

- Jego Świątobliwość udziela audiencji w malsoty. Przyjdź wtedy.

- To sprawa nie cierpiąca zwłoki i sam Duch Święty skierował mnie tutaj - nie rezygnowała Jill. - Mówię prawdę, jak nakazuje Święte Przymierze. To kwestia życia i śmierci wielu ludzi. Nie może czekać do malsoty. Żądam, by mnie wpuszczono!

Ale mu powiedziałam! Poczula się lepiej, przekonana, że jest na właściwej drodze.

Jednak drzwi pozostały zamknięte.

Usłyszała wewnątrz pytające głosy i stłumione odpowiedzi mężczyzny, ale nie mogła odróżnić słów. Zadowolona, że przejęła inicjatywę i już nie jest bezradną ofiarą, nie zamierzała czekać na rezultat ich kłótni.

- Czy stróż świątyni ma tak mało szacunku dla Świętego Przymierza? - krzyknęła w otwór. - Czy to możliwe, by w najświętszym miejscu przebywały osoby, którym brak miłosierdzia i współczucia dla innych? Jeśli tak, niech cię porazi Duch Święty, gdyż takie życie jest gorsze niż śmierć!

Mężczyzna spuścił z tonu.

- W porządku, w porządku, zaczekaj - powiedział gderliwie.

Usłyszała, że majstruje przy zasuwach. Nagle drzwi otworzyły się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach i uderzył ją prąd chłodnego powietrza.

Mężczyzna był ubrany nie w zwykłą szatę, jakie widziała u mieszkańców miasta, lecz w ciemnoczerwoną, wyszytą złotą i srebrną nicią, i nie nosił sandałów, tylko ciężkie, wysokie buty. Na głowie miał kaptur z tego samego materiału co szata, który zakrywał mu twarz.

- Wejdz, córko. Zobaczymy, co się da zrobić - powiedział.

Tajemnicza postać, ciemność i chłód za drzwiami sprawiły, że serce zaczęło jej bić mocniej. Mimo to weszła pewnym krokiem do środka, z głową uniesioną do góry.

Mężczyzna był ogromny. Musiała zadrzeć głowę, żeby zajrzeć pod kaptur, ale nie zobaczyła wiele. Na twarzy miał chyba czarną maskę.

- No więc - odezwał się tym samym burkliwym tonem - o co właściwie chodzi? Jak masz na imię, córko, i jaki jest powód tak niekobiecego zachowania i nieskromnej nagości?

- Nazywam się Jill McCulloch. Pochodzę z innego świata. Przybywam z misją ocalenia mojej rasy. Może mi w tym pomóc tylko Święty Starzec. Każda minuta jest dla nas cenna. Muszę jak najszybciej zobaczyć się z Jego Świątobliwością!

Zakapturzony mężczyzna nie reagował przez chwilę, potem westchnął.

- Dobrze. Twoje słowa przeczą wszelkiej logice i rozsądkowi, ale muszą być prawdą, skoro przemawiasz w imię Ducha Świętego. Jego Świątobliwość teraz medytuje. Przekażę mu twoje słowa. Decyzja będzie należała do niego. Nie mogę zrobić nic więcej. Chodź za mną.

Nie miała innego wyboru jak posłuchać go.

Wielkie drzwi zamknęły się za nią same, a ich huk odbił się echem we wnętrzu. Jill żałowała, że nie może obejrzeć samej świątyni.

Ruszyli ciemnym, wilgotnym korytarzem oświetlonym przez małe pochodnie. Gdy zeszli po kilku stopniach i wkroczyli do małego pomieszczenia, temperatura jeszcze się obniżyła. W środku znajdował się barłóg ze słomy, niewielki kominek, który dawał niewiele ciepła, i nic ponadto.

- Obiecuję, że zaczekasz tutaj - powiedział mężczyzna.

Skinęła głową.

- Będę tutaj siedziała, dopóki nie zobaczę się ze Świętym Starcem - odparła

buntowniczo i położyła się na łóżku. Kiedy mężczyzna wyszedł, odetchnęła głośno i próbowała przykryć się gęstymi włosami.

No i jestem w środku. Teraz muszę brnąć dalej.

Pomimo chłodu i atmosfery tego miejsca zmogło ją napięcie i przeżycia długiego dnia. Zapadła w lekki sen.

Nagle wyczuła, że ktoś jest w pokoju, i obudziła się. W drzwiach stał mężczyzna ubrany podobnie jak odźwierny. Na twarzy również miał maskę, ale był trochę niższy. Jill zauważyła, że świeczka prawie się wypaliła, a ogień w kominku zgasł. Nie potrafiła jednak stwierdzić, jak długo spała.

Utraciła trochę pewności siebie, ale nie poddawała się. Chciała za wszelką cenę wydostać się jak najszybciej z tego zwariowanego świata.

- Jego Świątobliwość przyjmie cię - oznajmił mężczyzna, odwrócił się i wyszedł.

Szybko ruszyła za nim. Zimne kamienie ziębiły jej stopy jak lód.

Weszli w labirynt korytarzy. Im niżej schodzili, tym robiło się zimniej. Nie miała pojęcia, dokąd idą, ale była pewna, że nabawi się zapalenia płuc, jeśli potrwa to trochę dłużej.

W końcu dotarli do małych drzwi. Przewodnik zatrzymał się i zapukał cicho trzy razy. Dopiero teraz zastanowiła Jill nieobecność innych ludzi - nie spotkali po drodze nikogo - i brak jakichkolwiek odgłosów.

Mężczyzna zapukał znowu. Usłyszeli stłumioną odpowiedź, którą przewodnik wziął za zgodę. Otworzył drzwi i wszedł. Jill ruszyła za nim przez mroczny przedsionek i nagle znalazła się w dużym pokoju stanowiącym pełny kontrast z tym, co do tej pory widziała w Zolkarze. Było to przestronne pomieszczenie z kominkiem, w którym buzował ogień, dywanami na podłodze i ścianach, wygodnymi meblami, miękkimi fotelami i stolikami na podwyższeniach. Wyglądał jak sala konferencyjna szacownej firmy. Nie pasował do tego miejsca.

Przewodnik wziął jej zdumienie za ignorancję.

- Siada się na tym - powiedział wskazując na obite czerwona tapicerką fotele. - Wybierz sobie jeden, zajmij miejsce i czekaj.

Wzruszyła ramionami. Było tutaj znacznie cieplej, choć i tak za chłodno jak na jej gust. Wybrała duży fotel obok kominka. Rozluźniła się i poczuła swobodniej niż do tej pory. Odwróciła się, żeby zapytać, jak długo będzie czekać, i stwierdziła, że mężczyzna zniknął. Została sama.

Rozejrzała się. Naprawdę była sama? Miała dziwne wrażenie, że jest

obserwowana.

Wtem otworzyły się drzwi naprzeciwko niej i do pokoju wszedł mały mężczyzna. Miał na sobie wyszywaną złotem szatę, białą i miękką jak jedwab oraz wysokie buty. Poruszał się zabawnie. Chociaż nie widziała jego twarzy, po wzroście i sposobie chodzenia poznała od razu, że to ten, kogo szuka.

„Ucz się Świętego Przymierza”, powiedział jej Duch Święty. Postąpiła zgodnie z nakazem i znalazła się tutaj. Żeby tylko powiódł się jej plan!

Mężczyzna zbliżył się i zajął fotel naprzeciwko niej.

- Przysłał cię Mogart - stwierdził.

Jego słowa wytrąciły ją na moment z równowagi, ale szybko się opanowała. Miał głos taki sam jak Mogart, lecz trochę cichszy i sympatyczniejszy. I bardzo dobrze.

Skinęła głową.

- Tak.

- Żebyś ukradła mi klejnot - stwierdził raczej niż zapytał Święty Starzec.

- Po klejnot - przyznała - ale nie chcę go ukraść. Chcę, żeby mi go pan dał z własnej woli.

Demon zachichotał.

- Dlaczego miałbym to zrobić? Od tysięcy lat Mogart próbuje zebrać ich tyle, żeby wydostać się z tej waszej żalösnej planety. W swoim czasie zdobył kilka, ale za mało. I nigdy nie udało mu się ich zatrzymać. Jest wyrzutkiem i łotrem, moja droga. Z nudów sprowadził na wasz świat liczne nieszczęścia - opętania, demonizm, kult szatana, co tylko chcesz. To on stoi za tym wszystkim. Ma potężny umysł, ale przekroczył granicę między wielkością a szaleństwem, przekroczył ją tysiąclecia temu. Nie, moja droga, nie potrafię sobie wyobrazić okoliczności, w jakich mógłbym dać mu kamień. Zresztą tylko w ten sposób mogę wrócić do Uniwersytetu.

- Nie uważam, żeby nasz świat był tak żalösny - powiedziała. - I nie chciałabym spędzić życia w takim miejscu jak Zolkar.

- Dlaczego nie? Po co w ogóle ludzie żyją? Trochę szczęścia, trochę miłości, satysfakcji z dokonań i już ich nie ma. Przez miliardy lat próbowaliśmy stworzyć doskonale społeczeństwo. Przyznaję, że Zolkar nim nie jest, ale i tak ma przewagę nad innymi. Wszyscy tutaj wiedzą dokładnie, czego się mogą spodziewać, znają swoją rolę i miejsce w społeczności. Są tak wychowani, że to akceptują. Nie ma tutaj dwóch rzeczy, które są plagami waszego świata - strachu i niepewności. Nie znam ani

jednego miejsca na innych poziomach, gdzie można bezpiecznie spacerować po ulicach w środku nocy. Czy twój świat z ciągłymi wojnami, nieszczęściami, przemocą, tyranią jest dużo lepszy? Czy ludzie u was nie szukają rozpaczliwie Boga i nie są zagubieni, bo nie istnieją ustalone zasady? Co jest złego w Zolkarze?

Nie musiała się nad tym zastanawiać.

- Panuje tu zupełny zastój.

Demon skinął głową.

- To jeden z błędów, które staramy się naprawić. Lecz wasze stechnicyzowane społeczeństwo zmierza do tego samego, co jest znacznie gorsze. Ludzie zamieniają się w owady albo, co bardziej prawdopodobne, w maszyny. Nie wychwalaj przede mną swojej cywilizacji. Nie uważam jej za raj. Nawet bez Mogarta mielibyście tam piekło.

Zostawiła tę uwagę bez odpowiedzi. Sprzeczenie się na tematy filozoficzne nie posuwało sprawy do przodu.

- Wracając do klejnotu... wzmacniacza - powiedziała. - Jest pan związany Świętym Przymierzem podobnie jak wszyscy?

- Oczywiście. Klejnoty i wiedza zapewniają nam przewagę na każdym świecie, ale obowiązują nas miejscowe prawa. - W jego ton zaczął się wkradać niepokój, jakby wyczuwał pułapkę, ale był zbyt zaciekawiony, żeby jej uniknąć.

Uśmiechnęła się w duchu. Nabierała pewności, że plan się powiedzie!

- Mój świat ginie - oznajmiła posępnym tonem. - Za kilkanaście godzin, a tutejszych dni, w Ziemię uderzy gigantyczna asteroida. Już teraz niewiele zostało z cywilizacji, a wkrótce będzie za późno. Próbowano wszystkiego i wszystko zawiodło. - Opowiedziała mu historię spotkania z Mogartem w barze w Reno i o tym, jak postanowił zdobyć wystarczającą liczbę klejnotów, by zatrzymać asteroidę.

Kiedy skończyła, Święty Starzec milczał przez jakiś czas. Wreszcie odezwał się.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że taka liczba klejnotów wystarczy, by zrobić każdą rzecz? Mogart powstrzyma katastrofę, ale jednocześnie dostanie klucz do Nieba. Cena może okazać się wysoka.

- Wysoka? - wybuchnęła. - Jak wysoka? Moi przyjaciele i krewni zginęli, mój świat czeka katastrofa! Na całej planecie zostało może parę tysięcy ludzi, może milion, i czeka ich straszna śmierć. Czy możesz sobie wyobrazić coś gorszego dla mnie niż zagładę planety i ludzkości?

Demon westchnął.

- Nie, nie mogę - przyznał. - Ale jestem pewien, że Mogart tak.

- Jeśli on jest tak groźny, dlaczego ty sam nas nie uratujesz? Z pewnością potrafiłbyś to zrobić.

- Każdy by potrafił, mając sześć wzmocniaczy - zgodził się demon. - Nawet ty, gdybyś wiedziała jak ich użyć. Jednak nie mogę tego zrobić. Jestem przypisany do Zolkaru i Uniwersytetu, podobnie jak Mogart do waszego świata. A ta katastrofa to drobiazg wobec ogromu Wszechświata, którego wy stanowicie nieskończenie małą cząstkę.

Przeraziła się.

- Twierdzisz, że obowiązuje cię Święte Przymierze, a tak lekko skazujesz na śmierć miliony. Mówisz, że to nie ma znaczenia. Niech umierają. To ma być moralność Ducha Świętego i Świętego Przymierza? - Zerwała się podniecona. - Myślę, że nie! Dasz mi klejnot, bo musisz! Mając go może zginiemy, ale bez niego umrzemy na pewno! Dasz mi go albo będziesz odpowiedzialny za śmierć tych wszystkich ludzi! Dasz mi go, ponieważ nie masz innego wyboru!

Stała przed odzianą na białą postacią, czekając. Rzuciła wszystko na jedną szalę.

Demon westchnął, wstał i przyjrzał się jej.

- Byłabyś niezłym filozofem. Mogart dobrze wybrał. Oczywiście masz rację. Muszę oddać klejnot. Zaczekaj tutaj. Przyniosę go.

Wyszedł, a ona wstrzymała oddech. Nie miała nawet odwagi usiąść. Uwierzy w jego słowa, kiedy zobaczy klejnot, kiedy dostanie go do ręki.

Święty Starzec wrócił z małym cedrowym pudełkiem. Zbliżył się do niej. Pazurzastą dłonią otworzył wieczko. W środku na aksamicie leżał lśniący klejnot, który pulsował niezemskim ogniem.

Wyciągnęła rękę. a on powiedział:

- Pamiętaj, bywają losy gorsze niż śmierć. Może się o tym przekonacie.

- Zaryzykuję - odparła i wzięła kamień do ręki. Palil, ale ścisnęła go mocno. - Zwrócę go, jeśli będzie to możliwe - obiecała.

Roześmiał się.

- Nie grozi mi z tego powodu bezsenność. Nie jest tak źle. Nie opuszczałem tej świątyni od ponad wieku.

- Powinieneś - odparła. - Wyjdź na ulice i zobacz, jak żyją zwykli ludzie, zwłaszcza poddani feudałów i żebrzące dzieci. Jesteś tutaj zamknięty od tak dawna, że zaśniedziałeś. Nawet w ramach Świętego Przymierza jest miejsce na spore zmiany i ulepszenia. Może powinieneś pokusić się o niektóre.

Wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Przemyślę to.

Zacisnęła w dłoni palący klejnot i skoncentrowała się.

- Zabierz mnie do Asmodeusza Mogarta! - rozkazała i zniknęła.

GLÓWNA LINIA + 2076

Asmodeusz Mogart był pijany, niezbyt mocno jak na swoje możliwości, ale i tak nikt nie mógłby mu dorównać. Nie miało to jednak znaczenia. Bar w Reno wciąż jeszcze istniał, ale on sam był przesunięty nieco w fazie, tak że czas biegł dla niego znacznie szybciej. Dzięki temu miał swobodny dostęp do zapasów alkoholu, a nieliczni klienci przypominali postaci z zatrzymanego filmu. Było to złudzenie, o czym dobrze wiedział, ale złudzenie przyjemne.

Uczucie błogostanu zakłóciła trzeźwa myśl. Nagle dostrzegł ironię własnego losu. Był nieśmiertelny, przebywał na tym poziomie od początku jego istnienia, a teraz starał się wykorzystać ostatnie cenne minuty i godziny życia na umierającej planecie. Nie pozostało mu nic innego. Albo tym dwojgu młodym ludziom się uda, albo przyjdzie na niego koniec. Nigdy nie wróci, by poddać się tej ich wyrafinowanej lobotomii, nigdy! Uśmiechać się do wszystkich, opiekować zwierzątkami, być szczęśliwym, nie myśleć, nie czuć...

- Nigdy! - wrzasnął i nalał sobie następnego drinka.

Nagle rozległ się huk, jakby korek wystrzelił z butelki. Mogart obejrzał się przestraszony i zobaczył kobietę - nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska - stojącą w środku pięciokąta namalowanego na podłodze. Zupełnie jakby wcale się stamtąd nie ruszała. Przez chwilę tkwiła nieruchomo niczym trójwymiarowa fotografia, potem nagle ożyła i spojrzała na niego.

- Mam go! - zawołała z dumą i rzuciła mu klejnot.

Mogart osłupiał. Tyle przypadkowych czynników, pomyślał, a jednak udało się! Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

- Ktoś cię ściga? - zapytał z niepokojem.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nikt. Zdobyłam go uczciwie, bo tylko tak można postępować w Zolkarze.
Obudziła się w nim nadzieja.

- Ale to dopiero drugi - powiedział bardziej do siebie niż do kobiety. - Musimy zdobyć jeszcze cztery. Trzy nie wystarczą.

Jednocześnie spojrzeli na zegar za barem.

Była dziewiętnasta czterdzieści pięć ostatniego dnia.

Mogart westchnął i schował kamień do kieszeni.

- Ruszajmy. Nie mamy czasu do stracenia - stwierdził i podszedł niepewnie do pięciokąta, w którym stała kobieta. Zataczał się lekko. Musiała go przytrzymać.

- Wszystko w porządku? - spytała z troską.

Zachnął się.

- Jak nigdy! - oświadczył trochę za głośno. - Ruszajmy!

Oboje zniknęli z baru.

Światu pozostało dziewięć godzin i piętnaście minut.

GLÓWNA LINIA + 1502

„Tutaj”

1

Mac Walters poczuł pchnięcie i nagle wypadł z próżni, w której był zawieszony, na jasne światło słoneczne. Czuł się lekko zamroczony. Spadł na twardą, gliniastą ziemię. Minęło kilka sekund, zanim się pozbierał i wstał.

Nie było to najatrakcyjniejsze miejsce na tym świecie. Pagórkowate, suche, porośnięte z rzadka pustynną trawą i bylicami. Panował nieznośny upał. Ani jedna chmurka nie chroniła przed promieniami słońca. Mac stwierdził ze zdziwieniem, że jest nagi. Czuł się zupełnie osamotniony, bezbronny i zagubiony we wrogim, obcym otoczeniu.

Co mam teraz zrobić?

Rozejrzył się. Nad najbliższym skalistym wzgórzem krążyło kilka ptaków. Od czasu do czasu nurkowały, znikając z pola widzenia.

Wyteżył słuch. Nic. Nic oprócz odległych ptasich skrzeków i ledwo słyszalnego syku, którego nie potrafił zidentyfikować. To nie węże, doszedł do wniosku. Coś naturalnego, jak wiatr, choć w tej suchej, spieczonej słońcem okolicy nie było najmniejszego powiewu.

Mogart powinien był mnie uprzedzić, czego mam się spodziewać. Jak miał znaleźć klejnot, nie mówiąc o wydostaniu go od właściciela? Nie dostrzegł na razie śladu człowieka.

Postanowił zobaczyć, skąd wzbijają się w powietrze ptaki. Ziemia dziwnie ugięła się pod stopami, wcale nie jak twarda glina. Między rzadkimi kępami trawy

przebiegały jaszczurki, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Coś tu jest nie tak. Próbował się zorientować w czym rzecz...

Znajdował się w połowie drogi do wzgórza, kiedy zauważył z przestraczem, że nie rzuca cienia.

Niedbale kopnął bosą stopą mały kamyk. Kamyk nie poruszył się, a jeśli nawet, to niewiele, jakby stopa przeszła przez niego na wylot.

O co tutaj, u diabła, chodzi? zdziwił się, lekko zaniepokojony.

Czuł, że teren się wznosi, czuł przyciąganie ziemskie, choć w lekki, nierzeczywisty sposób. Zbocze nie było strome. Dotarł na szczyt w ciągu paru minut.

Okazało się, że syczący dźwięk, który wcześniej słyszał, to szum niewielkiej rzeki płynącej meandrami przez wyschniętą ziemię. Była to stara rzeka, płytka i spokojna. Wypływała z wielkiego pęknięcia w czerwonej skale po jego lewej stronie, toczyła się wąwozem jakieś dziesięć metrów poniżej otaczającego terenu i znikła w oddali. Nie mógł dojrzeć wszystkich zakrętów i zakoli.

W wąwozie rosło sporo drzew i bagiennej roślinności. W tej pustynnej okolicy życie czepiało się miejsc, gdzie była woda, i rozwijało się niezwykle bujnie.

Ruszył w dół do rzeki. W tym miejscu miała jakieś sto metrów szerokości i wyglądała na mulistą, ale sądząc po wystających gdzieniegdzie skałach, nie miała więcej głębokości niż po uda. Postanowił, że nie będzie ryzykował, dopóki nie zostanie do tego zmuszony. Nie wiadomo, co kryje się pod mułem.

Okazało się, że wzdłuż brzegu biegnie coś w rodzaju szlaku częściowo zarośniętego zielskiem. Idąc nim zauważył, że nie zostawia śladów w postaci zdeptanej trawy, a palce przenikają rośliny na wylot. Minął sadzawki, nad którymi brzęczały ważki i inne owady. Ptaki, które fruwały nad rzeką, prawdopodobnie miały gniazda na niskich drzewach o gęstym listowiu, rosnących nad brzegami.

Ani ptaki, ani owady nie zwracały na niego uwagi.

W pewnym miejscu szlak zakręcał i prowadził z powrotem w stronę czerwonego kanionu. Mac zatrzymał się, nie wiedząc co począć. Czuł się zagubiony i bezradny.

Jak mam się wziąć do działania, skoro nic nie wiem. Co robić?

Stał tak niepewny i rozgoryczony, kiedy usłyszał głos wołający go po nazwisku.

- Walters! Mac Walters! Gdzie jesteś?

Nie można było nie rozpoznać tego piskliwego tenoru. Mogart.

- Tutaj! Jestem tutaj! - odkrzyknął. Zauważył, że nawet jego krzyk nie zakłóca spokoju żyjących tutaj istot.

- Zostań tam! Idę do ciebie! - odpowiedział Mogart.

Walters wzruszył ramionami i czekał. To było przynajmniej coś.

Dotarcie na wzgórze zajęło niezdarnemu Mogartowi znacznie więcej czasu niż Waltersowi. Gdy się pojawił na szczycie, stało się jasne, że nie jest człowiekiem. Określenie „demon” najlepiej pasowało do tego dziwnego małego osobnika. Był to demon w bardzo kiepskiej kondycji. Walters doszedł do takiego wniosku, kiedy Mogart zbliżał się do niego sapiąc i dysząc ciężko po niewielkim wysiłku.

- Przykro mi, że nie mogłem tu być od początku - przeprosił demon. - Trochę czasu zajęło mi przemieszczenie twojej partnerki. Na szczęście nie musiałeś czekać zbyt długo.

- Według mnie strasznie długo - powiedział Walters gderliwie. - Co teraz robimy? Wygląda na to, że jestem duchem.

- Na razie tak - przyznał Mogart, wyjaśniając mu istotę czasowego przesunięcia w fazie, podobnie jak wcześniej Jill McCulloch. - Chodźmy tą ścieżką.

Maszerowali przez jakiś czas kanionem, którego ściany wznosiły się nad nimi coraz wyżej. Rzeka natomiast zwężała się i robiła głębsza.

- Co to za świat? - zapytał Walters.

Mogart westchnął.

- Ziemia. Ten sam wzorzec. Z tym, że ta mała planeta wcale nie znajdowała się w pierwotnym projekcie, który dotyczył zupełnie innego gatunku - istot żyjących na Wenus. Ponieważ Wydział Prawdopodobieństw potrzebował Wenus, musiał stworzyć cały system planetarny, tak że życie wyewoluowało tutaj raczej niezgodnie z planem. Stanowiło to duży problem. Naukowcy obawiali się, że mieszkańcy osiągną poziom techniczny umożliwiający loty kosmiczne, co groziłoby zakłóceniem projektu Wenus. Dokonano więc pewnych biologicznych zmian, żeby zatrzymać ich na danym etapie rozwoju. A, oto oni. Przekonasz się na własne oczy.

Zatrzymali się i spojrzeli w górę wąwozu. W szerokiej rozpadlinie, obok niewielkiego wodospadu po drugiej stronie rzeki stała grupka ludzi. Opaleni na ciemny brąz przez ostre słońce, mogliby pochodzić z rasy śródziemnomorskiej lub semickiej. Wszyscy byli krępej budowy, twardzi i muskularni. Wyglądali na silnych, choć Walters przewyższał o głowę najwyższego z nich. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli mocno owłosione ciała, a brody mężczyzn, choć niezbyt długie, były niezwykle gęste i przypominały lwie grzywy. Obrazu dopełniały długie i zmierzwione włosy, lekko przygarbiona postawa i brak ubrań.

- Wyglądają jak stado małp - stwierdził Walters.

Mogart skinął głową.

- Tak, ale to inteligentne małpy. Posługują się prymitywnym językiem, lecz potrafią przekazywać dość złożone myśli. Mają własną kulturę i wierzenia religijne. Używają prostych narzędzi. Z powodu instynktu, który wy utraciliście, zatrzymali się na tym poziomie. Wprowadziliśmy też dziedziczenie cech społecznych i kulturowych.

Walters skinął drętwą głową. Czuł lekkie mdłości. Niepokoila go myśl, że cywilizacja Mogarta jest w stanie dokonywać takich manipulacji z całą rasą. I to bez żadnych skrupułów. Zresztą miał niezbity dowód, że te same istoty, nie chcąc dopuścić do pokrzyżowania ich planów, pozwoliłyby, żeby jego świat rozleciał się na kawałki.

- Jeśli to nie było zaplanowane, co w takim razie robi tutaj jeden w waszych ludzi?

- zapytał Walters.

Mogart uśmiechnął się blado.

- Baltazar jest... hm, cóż, trochę chory - zaczął niepewnie. Podchwycił spojrzenie Waltersa i dodał. - O, nie zrobi ci krzywdy. Ale jest nienormalny. Lubi cierpieć, a ma do tego wiele okazji w tutejszym społeczeństwie.

Mac uniósł brwi.

- Masochista?

- Tak, masochista, w każdym tego słowa znaczeniu.

- A jak sobie tutaj radzi? - naciskał Mac. - Ci ludzie nie noszą ubrań, więc musi się wyróżniać jeszcze bardziej niż ja. Nie sądzę, by go zaakceptowali, chyba że jako diabła lub boga.

- Poddał się operacji plastycznej - odparł Mogart - żeby bardziej przypominać człowieka. Oczywiście bez znieczulenia. Nie pójdę dalej. Wyczułby moją obecność. Rozpoznasz go jednak bez trudności. Nie martw się o to.

- Rozejrzał się. - Teraz musimy znaleźć odpowiedni obiekt. - I wyjaśnił Macowi, że będzie musiał go przenieść do ciała któregoś z mieszkańców tego świata.

Ruszyli wzdłuż rzeki, oddalając się od grupy.

- Zwykle staram się zaangażować do pomocy przedstawiciela miejscowej rasy, ale tutejsza jest zbyt prymitywna. Myślę, że dzięki integracji zdobędziesz wszystkie potrzebne informacje. O, tego szukamy! - Wyciągnął rękę, a Walters podążył za nią wzrokiem. Tuż za zakrętem rzeki zobaczył ciemny kształt.

- Nie martw się, nie widzą nas ani nie słyszą - uspokoił go Mogart.

Podeszli bliżej.

Nad brzegiem rzeki kuczał młody mężczyzna. Pił mulistą wodę i mył się. Był bardzo umięśniony i dość przystojny, choć na całym ciele miał dużo brzydkich blizn i pręg.

- Samotny młody mężczyzna - powiedział Mogart. - Chcąc zdobyć pozycję w plemienu, musi pokonać w walce kogoś z przywódców. Miejsce w hierarchii zależy od tego, jakim się jest wojownikiem, a świadectwem rangi jest liczba żon i dzieci. Ten tutaj najwyraźniej stoczył wiele pojedynków, ale przegrał je, co czyni go niewolnikiem zwycięzcy. Widocznie uciekł z plemienia i teraz je śledzi, czekając na okazję, kiedy będzie mógł wrócić i rzucić nowe wyzwanie. Będzie musiał to zrobić.

Walters zmierzył go wzrokiem.

- Masz na myśli, że stanę się nim?

Demon skinął głową.

- Zachowasz całą swoją wiedzę, pamięć, umiejętności i osobowość, ale przejmiesz jego instynkty i doświadczenia. Czasu jest niewiele. Dwa tutejsze dni równają się godzinie u nas, a mamy jeszcze cztery kamienie do zdobycia. Pamiętaj, musisz zdobyć klejnot i wypowiedzieć moje imię. Znajdziesz się z powrotem w barze.

- W porządku, jestem gotowy.

- Podejź i dotknij go - polecił demon.

Walters zbliżył się do mężczyzny, który skończył mycie i właśnie zamierzał wstać. Mac wyciągnął rękę i zawahał się.

- Pamiętaj, jeśli zawiedziesz, zostaniesz tutaj do końca życia. Nie będzie baru, do którego mógłbyś wrócić - uprzedził Mogart. - No, dotknij go!

To był rozkaz. Walters dotknął mężczyzny. Odniosł wrażenie, jakby go złapał prąd. Młody człowiek spojrzał w górę zaskoczony i padł na ziemię.

Mogart wyglądał na zadowolonego.

- Na bogów, potrzebuję drinka! - powiedział i zniknął.

2

Mac Walters ocknął się i usiadł niepewnie. Ziemia była mokra i zimna. Znajdował się w jakichś zaroślach. Przez chwilę wzrok mu się zamazywał, myśli plątały. Nagle oprzytomniał i rozejrzał się przestraszony. Nie uwierzył Mogartowi, kiedy ten powiedział, że przeniesie go do innego ciała, ale teraz nie miał wątpliwości.

Ciało było potężne i w doskonałej kondycji, ale obce. Wyraźniej odczuwał ból i drobne dolegliwości, gdyż odzywały się w innych miejscach. Wzrok, słuch, powonienie - wszystkie zmysły wydawały się lepsze i nieco odmienne.

Zapoznawał się z nowym ciałem, kiedy jakiś szósty zmysł wysłał mu ostrzeżenie. Natychmiast wywołało to odruchowe reakcje obronne. Poderwał się i szybko pobiegł w stronę pobliskich skał, żeby poszukać schronienia. Zrobił to tak błyskawicznie i bez namysłu, że oprzytomniał dopiero, kiedy znalazł się w ukryciu. Zaciekawiony wyjrzał ostrożnie, wytyżając słuch i węch, żeby sprawdzić, co zmusiło go do ucieczki. Usłyszał, że wąwozem nadchodzi kilka osób.

Ktoś wyzwał wodza na pojedynek.

Zza zakrętu wyszła grupka mężczyzn. Nie, czterech mężczyzn i stara kobieta, zapewne najstarsza żona wodza, reprezentująca jego pozostałe żony i dzieci. Jeśli mężczyzna przegra, ona wróci ze zwycięzcą i nastąpi formalna zamiana.

Patrząc na nią, Walters dziwił się, po co zadają sobie tyle trudu. Kobieta była stara, pomarszczona, kulawa i siwa. Wyglądała raczej jak wiedźma niż jak oblubienica. Zastanawiał się, ilu mężów już miała.

Od razu rozpoznał wodza. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę arogancji, a w spojrzeniu miał pogardliwą pewność siebie. Dwaj mężczyźni byli najwyraźniej niewolnikami obu wojowników. Również oni mieli swoją stawkę w pojedynku. Przegrywający tracił wszystko, a jego niewolnika zwalniano z dalszej służby.

Pretendent nie był nowicjuszem. Choć młodszy od człowieka, z którym miał walczyć, wiele przeszedł w życiu. Jego nos wyglądał na kilkakrotnie złamany, a ciało pokrywały liczne blizny. W przeciwieństwie do przywódcy miał poważną, niemal uroczystą minę.

Mac domyślił się, że to nie jest zwykłe wyzwanie. Wyzywający szedł na całość, zamierzał przejąć przywództwo plemienia. Zapowiadało się bardzo interesujące widowisko. Najłatwiejszym sposobem dotarcia do demona i jego klejnotu byłoby zostanie wodzem. Mac nie musiałby długo utrzymać się na tym stanowisku, najwyżej przez kilka godzin.

Niewolnicy nieśli broń: długie kije przypominające maczugi, kamienne siekiery przywiązane do drewnianych trzonek skórzanymi paskami i groźnie wyglądające, ostre kamienne włócznie. Całą broń zrzucano na stos pośrodku pola walki. Dwaj niewolnicy i stara żona odeszli na bok i usiedli. Wojownicy stanęli naprzeciwko siebie w odległości około trzech metrów. Stos broni znajdował się dokładnie między nimi.

Pierwszy odezwał się wódz.

- Bakh walczy z Malkiem? - zadał rytualne pytanie.

Tamten uklonił się.

- Bakh będzie szefem. Malk stary. Nie jest dobry.

Malk uśmiechnął się lekko. Ani na moment nie stracił poczucia wyższości, co musiało być deprymujące dla przeciwnika. Podejście może i prymitywne, ale chytne, uznał Mac. Stary wódz znał się na psychologii.

- Bakh ma już białe włosy - zauważył wódz, robiąc w rewanżu obraźliwą aluzję do wieku. - Bakh przegra, zapłaci dużo. Nie będzie już mężczyzną.

Mac zastanawiał się nad tym przez chwilę. Najwyraźniej dopuszczalna liczba wyzwania była ograniczona i Bakh rzucił właśnie swoje ostatnie. Czy ta uwaga znaczyła, że zostanie zabity, jeśli przegra?

Tak czy inaczej, komentarz rozwścieczył młodszego mężczyznę.

- Tak? - warknął. - Więc Bakh mówi to samo Malkowi.

Walters zrozumiał, że ustalają warunki pojedynku, łamiąc prawo plemienne. Podbijali stawkę, co nie leżało w zwyczaju. Ci dwaj muszą się bardzo nienawidzić.

- Bakh mówi, że Malk zostanie niewolnikiem kobiety i będzie do śmierci wykonywał babską robotę.

Pewność siebie wodza zachwiała się na moment. Jednak szybko się opanował. Mac uświadomił sobie z rosnącą fascynacją, że jest to wojna nerwów, swoista licytacja. Zapewne można było wycofać się przed samą walką, lecz wtedy traciło się honor i, co za tym idzie, wszystko. Zastanawiał się, ile walk o najwyższe stanowisko kończyło się bez żadnego ciosu.

- Bakh tak samo - odparł wódz takim tonem, jakby mówił „oczywiście”, którego nie było w ich języku.

Obrzucali się obelgami jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie wyczerpała się ich pomysłowość. Obaj skinęli głowami na znak, że zgadzają się na warunki, spojrzeli na niewolników i kobietę, którzy w ten sam sposób potwierdzili, że słyszeli wymianę zdań, zrozumieli ją i będą świadkami.

- Walka - powiedział wódz beznamiętnie.

I zaczęło się.

Obaj zaczęły okrażać się czujnie, starając się wybadać siebie nawzajem. Nagle Bakh doskoczył do broni i chwycił maczugę. Malk roześmiał się i obszedł przeciwnika stojącego przy stosie. Jak długo Bakh pozostawał na tym miejscu, stary wódz nie mógł

wziąć maczugi, siekiery ani włóczni, ale wcale nie musiał. To wyzywający miał go pokonać, a on tylko czekał na atak. Nie było ograniczenia czasowego ani sędziów. Wódz mógł sobie pozwolić na czekanie.

- Malk tchórz! - krzyknął Bakh opuszczając trochę maczugę. - Malk nie chce walczyć z Bakhem. Malk stary, będzie starą babą!

Szyderstwa miały najwyraźniej sprowokować gniewną i nieprzemyślaną reakcję, ale stary wódz nie zaszedłby tak wysoko, gdyby był głupi. Wydawał się całkowicie opanowany.

Bakh nagle sobie to uświadomił i zmienił taktykę. Przerzucił maczugę do lewej dłoni i ostrożnie sięgnął po włócznię. Cel był jasny dla wszystkich: włócznią można rzucić.

Jednak w chwili gdy schylał się po broń, na moment zdjął wzrok z Malka.

Wódz zauważył to i skoczył, spadając na przeciwnika całym ciężarem. Obaj potoczyli się po ziemi. Są szybcy, to pewne, pomyślał Mac. W momencie ataku Malkowi udało się chwycić siekiere.

Jak dobrze wytrenowani gimnastycy natychmiast poderwali się na nogi. Bakh zgubił włócznię, ale maczuga leżała obok niego, więc podniósł ją błyskawicznie. Malk cofnął się, odciągając go od rozrzuconego wokół oręża. W dłoni zważył siekiere.

Strategia Bakha była oczywista. Spychał wodza na ścianę wąwozu. Malk spostrzegł się w porę i postanowił zaatakować. Zręcznie zamierzył się siekierą, celując w głowę Bakha. Ten odparował cios maczugą, którą trzymał jak tyczkę. Stracił przy tym równowagę, a Malk wykorzystał to i skoczył na niego. Maczuga powędrowała w górę w obronnym geście, ale wódz chwycił ją lewą ręką, prawą zaś uderzył mocno w nie osłonięte krocze Bakha.

Pretendent zawył z bólu, aż w kanionie rozeszło się echo, i wypuścił broń zginając się wół. Malk był już gotowy. Chwycił maczugę, przerzucił do prawej ręki i opuścił ją z całej siły na głowę Bakha.

Walka skończyła się. Wyzywający padł bezwładnie na ziemię. Krwawił, ale gdy pozostali rzucili się w jego stronę, stwierdzili, że jeszcze żyje.

Malk łapał oddech i powoli uspokajał się. Zwrócił się do jednego z niewolników.

- Kapłana! - rozkazał.

Niewolnik puścił się biegiem w dół kanionu.

Wszyscy członkowie plemienia najpewniej czekali w pobliżu na rezultat pojedynku, bo niewolnik po chwili wrócił z kapłanem. Nowo przybyły różnił się od

współplemieńców. Był niemal ich wzrostu, ale znacznie chudszy i bardziej kościsty. Od stóp do głów pokryty bliznami, szedł dziwnym krokiem. W nosie i uszach miał kawałki kości, a na piersi osobliwy naszyjnik. Pod pachą niósł skórzany worek. Zbliżył się pośpiesznie do pola walki.

Zbadał nieprzytomnego wojownika i westchnął.

- Kapłan czeka, aż Bakh się obudzi? - zapytał pełnym nadziei głosem.

Wódz spojrzał na niego z niesmakiem.

- Nie. Bakh dzielny. Zrób to teraz!

Na twarzy kapłana pojawiło się rozczarowanie. Westchnął znowu, wyjął z sakiewki garść bardzo ostrych kamieni oraz jakieś zioła i przystąpił do makabrycznego okaleczenia pokonanego wroga, ucinając mu kciuki, język i kastrując. Dopiero teraz Mac Walters zrozumiał warunki pojedynku i cenę przegranej. Odwrócił wzrok, czując mdłości.

Dowiedział się jednak paru rzeczy. Młody mężczyzna, w którego ciele się znajdował, przegrał walkę, lecz nie został okaleczony, więc pojedynek z kimś niższym rangą był bezpieczniejszy. Początkowo sądził, że rzuci wyzwanie wodzowi, ale teraz stracił pewność siebie. Malk wyglądał na doświadczonego i krwiożerczego wojownika. To zbyt duże ryzyko.

Przekonał się, że demon rzeczywiście należy do plemienia, że jest najwyższym kapłanem i znachorem, a zarazem sadomasochistą.

Mac Walters doszedł do wniosku, że potrzebuje czasu, by wszystko przemyśleć.

3

Mac już wcześniej postanowił, że będzie jednym z ocalałych, jeśli w ogóle da się uratować świat. To oznaczało unikanie sytuacji, w których śmierć byłaby wybawieniem z rąk demona operującego ostrymi kamykami.

Zaczekał, aż wszyscy sobie pójda, potem zawrócił i ruszył w przeciwną stronę, próbując odnaleźć kryjówkę mężczyzny. Otoczenie wydawało się znajome. Jednak nie pamiętał szczegółów, o których jego gospodarz nie musiał nawet myśleć.

Wreszcie na drugim końcu wąwozu w połowie czerwonej skalnej ściany zobaczył to, czego szukał. Wspinaczka okazała się dość trudna, ale automatycznie wyszukiwał drogę, aż dotarł do małej jaskini ukrytej pod poszarpanym występem. Było tam

twardo, sucho i niezbyt przytulnie, ale znośnie. W środku znalazł ślady, że mężczyzna mieszkał tu od jakiegoś czasu: ekskrementy, które nie wzbudziły w nim obrzydzenia, trochę wyschniętej trawy stanowiącej prowizoryczne posłanie niewiele lepsze od nagiej skały i parę uduszonych ptaków.

Facet musi być cholernie szybki, skoro łapie ptaki, pomyślał. Nie mógł jednak ich upiec. Dym zdradziłby jego kryjówkę. Oczywiście gdyby potrafił rozniecić ogień. Uświadomił sobie z goryczą, że nadal w zbyt dużym stopniu jest Makiem Waltersem. Ułożył się do snu, zastanawiając się, kiedy na tyle zgłodnieje, żeby zjeść ptaki na surowo.

Kiedy obudził się krótko przed świtem, był głodny, ale jeszcze nie na tyle. Wiedział, że będzie musiał przeprowadzić zwiad i lepiej poznać zwyczaje plemienia, zanim wykona następny ruch. Miał nadzieję, że uda mu się podkraść coś jadalnego.

Szpiegowanie okazało się łatwe. Wspiął się na ścianę wąwozu i pochylając nisko, ruszył ostrożnie przed siebie, aż znalazł się nad obozem.

Niewątpliwie było to koczownicze plemię. Mieszkało w płytkich ziemiankach, a broń, prymitywne narzędzia i dobytek przenosiło z miejsca na miejsce na nosidłach z cienkich kijków. Trzymało psy, co oznaczało kłopoty dla Maca. Nie miało jednak koni, krów ani narzędzi rolniczych. Było to plemię myśliwych i zbieraczy.

Poczuł dla nich szczerą litość. Byli ludźmi jak on, lecz na stałe uwięzionymi w pułapce wczesnej epoki kamiennej, a sztucznie utrzymywany system społeczny nie dopuszczał żadnych nowych i rewolucyjnych idei.

Zauważył, że w ziemiankach mają ogień. Z kilkudziesięciu otworów wydobywały się cienkie smużki dymu.

Zastanawiał się, jak go rozniecają lub przenoszą. Krzesiwem, doszedł do wniosku. Było tu wszędzie tak sucho, że skrziesanie ognia nie wymagało wielkiej cierpliwości.

Organizacja plemienna okazała się przejrzysta. Po obu stronach wodospadu spały kobiety i dzieci, a wokół nich znajdowało się kilkanaście metrów wolnej przestrzeni. Ich terytorium wyznaczała zatknięta w ziemię stara włócznia z ludzką czaszką na czubku. Parę kobiet z rodziny wodza ubijało coś czy ucierało na pobliskich skałach i doglądało dużych ognisk. Śniadanie, stwierdził zgłodniały.

Wokół terytorium wodza rozłożyło się kilku młodszych mężczyzn. Pewnie niewolnicy, domyślił się. Daleko od źródła wody, oddzielona od reszty, obozowała grupka najmłodszych mężczyzn. Samotni.

Gdy słońce weszło wyżej i jego promienie przedostały się do wnętrza wąwozu,

członkowie plemienia zaczęli się budzić. Wstawał dzień. Coraz bardziej głodny Mac w dalszym ciągu prowadził obserwację.

Kobiety przygotowywały jedzenie, kopały ziemianki i prymitywną wspólną latrynę, pilnowały ognia, a mężczyźni polowali, łowili ryby sieciami zrobionymi ze skóry, polowali na jelenie lub jaszczurki, zbierali pewne gatunki bagiennych traw. W zależności od rangi wybierali najlepsze kąski. Kawalerowie, którzy również musieli polować, dostawali resztki.

Resztę czasu, jeśli dopisało im szczęście i zdobyli dość pożywienia, mężczyźni spędzali na robieniu i konserwowaniu broni oraz wyrabianiu kamiennych narzędzi dla kobiet. Niektórzy wykonywali rysunki na piasku lub na ścianach kanionu. Wódz Malk jako jedyny uczył młodych sztuki walki. Był to z jego strony akt wielkiej odwagi, zważywszy, że szkolił ludzi, którzy z pewnością któregoś dnia rzucą mu wyzwanie, pokonają i zajmą jego miejsce. W takim razie nie można by grać w pokera z człowiekiem, który cię tego nauczył. Nie chodziło tylko o doświadczenie, lecz o parę sztuczek, które zachowywał dla siebie.

Głównym wrogiem Malka mógł okazać się wiek albo kalectwo. W plemienu nie było żadnych starców i kalek z wyjątkiem kilku niewolników wodza, którzy, podobnie jak nieszczęsny Bakh, mieli stanowić nauczkę dla innych.

Pewnego dnia Malk okaże się zbyt stary, zbyt powolny, będzie miał wypadek i złamie nogę. Wtedy przegra pojedynek. Podobny los czekał pozostałych mężczyzn. Kobiety zachowywały swoją pozycję, ale oni nie. Przez jakiś czas cieszyli się władzą, potem popadali w niełaskę lub zostawali kalekami i prawdopodobnie popełniali samobójstwo. Było to bardzo niepewne życie. Nawet zwykłe przeziębienie mogło się źle skończyć dla Malka. Mac zastanawiał się leniwie, jak długo żyje przeciętnie wódz.

Wczesnym popołudniem już wiedział, jak musi być głodny, żeby zjeść surowego ptaka albo cokolwiek innego. Dodatkowo złapał jeszcze parę jaszczurek. Poczul się lepiej, chociaż wolałby coś treściwszego i gotowanego.

Zdawał sobie sprawę, że taka sytuacja nie może długo trwać. Doszedł do wniosku, że lepiej zejść na dół i przystąpić do działania, zdając się na swoje wykształcenie piłkarskie i doświadczenie w zapasach. Opuścił jaskinię i pomaszerował otwarcie w stronę obozowiska. Był jeszcze daleko, kiedy zobaczył młodą kobietę wchodzącą do rzeki. Obejrzała się i na jego widok otworzyła usta ze zdumienia. Zbliżył się do niej z zaciekawionym.

- Dend szalony! W Dendzie zły duch! - wymamrotała zupełnie zaskoczona.

Najwyraźniej powinien ją znać.

- Dend wygra walkę - odpowiedział, mając nadzieję, że mówi z pewnością siebie. Ta wymiana zdań trochę go zirytowała. Wiedział, co chce powiedzieć, ale mógł wyrazić tylko to, na co pozwalał język, a było to naprawdę niewiele.

- Ruszył dalej. O tej porze dnia większość ludzi przebywała w obozie. Mac dotarł najpierw do terytorium kawalerów. Spojrzeli na niego w osłupieniu. Domyślił się, że Dend został ostatnio pokonany i uciekł z wioski.

Nie zaszedł daleko. Zewnętrzny teren zajmowały rodziny składające się z nie więcej niż czterech żon i mające jednego lub dwóch niewolników. Widział już zawodowców w akcji. Wolałby kogoś z najgorszej amatorskiej drużyny.

Ustępowali mu z drogi wiedząc, po co przyszedł. Zwłaszcza mężczyźni w napięciu czekali, którego z nich wybierze. On z kolei przyglądał się im, starając się upatrzeć ofiarę. Dwóch odrzucił od razu. Prawie nie mieli blizn i innych śladów walk, więc prawdopodobnie byli bardzo dobrymi wojownikami. Szukał kogoś młodego, mocno pokiereszowanego, raczej zadowolonego z losu niż ambitnego.

Nie znalazł takiego człowieka i prawie od razu zrozumiał dlaczego. Młodzi, wolni mężczyźni szukają swojego miejsca w społeczności. Dopiero na średnich szczeblach hierarchii można znaleźć zadowolonych z siebie, a tacy są zazwyczaj bardzo dobrzy.

Zauważył, że jeden z mężczyzn stoi dziwnie, jakby miał jakąś fizyczną wadę. Był młody, ale poznaczony bliznami. Mac doszedł do wniosku, że ten będzie najlepszy. Ponieważ ruch należał do niego, podszedł do upatrzonego człowieka. Wyprostował się, starając się przybrać jak najbardziej arogancką postawę, wskazał na niego i powiedział:

- Dend wyzywa!

Dobrze, że dziewczyna nazwała go po imieniu. W tym języku nie było zaimków osobowych.

Pozostali mężczyźni wyraźnie się odprężyli i wrócili do swoich zajęć. Wyzwany uśmiechnął się złośliwie, ukazując połamane i krzywe zęby.

- Walczyć teraz? - zapytał. Wcale nie wyglądał na zaniepokojonego. - Uciekniesz jak wtedy?

Walters zrozumiał nagle, dlaczego jego powrót wywołał takie zdumienie i pogardę. Dend okazał się tchórzem i zbiegł podczas ostatniej walki.

- Teraz - powiedział z naciskiem. Mężczyzna skinął głową i ruszył w stronę rzeki. Mac zmieszał się. - Broń?

Tamten wyszczerzył się znowu, przystanął i uniósł potężne ramiona.

- Guml nie potrzebuje broni na Denda - odparł, wymawiając ostatnie słowo z takim obrzydzeniem, jakby natknął się na zdechłego skunksa, którego trzeba natychmiast pochować, zanim zasmrodzi całe otoczenie.

Mac przekonał się, że zasady obowiązujące podczas pojedynków niższych rangą członków plemienia są nieco inne. Po pierwsze, mogli je obserwować kawalerowie. Była to wyraźna zachęta, by rzucić wyzwanie zwycięzcy, poznawszy jego słabe strony.

Ku rozczarowaniu Maca lekkie utykanie w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało Gumlowi. Młodzi mężczyźni utworzyli szeroki krąg wokół dwóch wojowników, którzy stanęli naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Przeciwnik Maca mimo kalectwa miał pewną postawę, a potężne ramiona i umięśnione nogi świadczyły o sile. Mac odnosił wrażenie, że znajduje się na boisku i bierze udział w pojedynku nudystów przed właściwym meczem.

- Walcz! - warknął Guml i zaczęli bez wstępnych rytuałów, których Mac był wcześniej świadkiem.

Cieszył się, że nie ustalili warunków. Niemniej miał ten sam problem co Bakh. Guml nie musiał atakować, lecz mógł czekać na ruch przeciwnika.

Mac uniósł pięści i zaatakował z mrozącym krew w żyłach okrzykiem. Nagła szarża i wrzask rozproszyły uwagę przeciwnika. Mac rzucił się na niego, zanim ten zdołał się wywinąć, i w następnej sekundzie obaj znaleźli się na ziemi, tocząc się i walcząc o chwyt. Młodzi mężczyźni, dziwnie spokojni jak na widzów, rozsunęli się.

Mac poczuł na gardle palce silne jak imadła i z całej siły ścisnął tamtego za szyję, żeby się uwolnić. Niemal odruchowo wyrzucił kolano w stronę pachwiny przeciwnika. Guml był na to za dobry. Zwolnił chwyt, okręcił się, złapał kolano Maca i używając całego ciała jako dźwigni, cisnął go na ziemię.

To, co potem nastąpiło, było klasycznymi zapasami. Guml znalazł się na wierzchu, przyciskając Maca rękami i kolanami do ziemi. W tej pozycji Walters nie mógł się wyswobodzić. Jednak w przeciwieństwie do zapasów, gdzie położenie na łopatkę oznaczałoby zwycięstwo, Guml musiał puścić przeciwnika, żeby zadać mu decydujący cios. Mac czekał wiedząc, że będzie miał ułamek sekundy na reakcję. Domyślił się, że mężczyzna uderzy go prawą pięścią. Nogi nie stanowiły jego atutu, a poza tym był praworęczny.

Miał rację. Poczul, że ucisk nagle zelżał, więc okręcił się i przetoczył, zrzucając Gumla na ziemię. Nie zamierzał pozwolić mu wstać. Rzucił się na niego, otoczył

ramieniem szyję i mocno ścisnął. Usłyszał jęk i chrapliwy oddech. Siadł przeciwnikowi na plecach i nacisnął jabłko Adama. Był to doskonały chwyt.

Gumł jednak nie poddawał się. Jakimś cudem uniósł ramię, chwycił Maca za długie włosy i pociągnął resztkami sił.

Walters nie spodziewał się ataku. Puścił przeciwnika, żeby uwolnić się od nagłego bólu. Gumł był jednak w nie najlepszej kondycji. Ledwo udało mu się wytoczyć spod Maca. Łapczywie chwycił oddech. Zdążył się jednak odtoczyć. Mac z odzyskaną pewnością siebie skoczył na ciężko dyszącego przeciwnika i znowu chwycił go za gardło. Tym razem otoczył je silnymi rękami i uniósł twarz Gumła do góry.

Tamten był na to przygotowany. Wielka pięść wyskoczyła w górę i uderzyła Maca w głowę. Puścił Gumła i stoczył się z niego zalany krwią i ogłuszony nieoczekiwanym ciosem. Pomyślał tylko: To oszustwo! Potem dosięgnął go drugi cios i trzeci. Ogarnęła go ciemność.

4

Było już ciemno, kiedy Mac Walters ocknął się. Głowa bolała go straszliwie, a na włosach miał zaschniętą krew. Jęknął.

Gumł usłyszał go, podszedł wolno i nachylił się nad nim. Nawet w świetle księżyca widać było na jego twarzy złośliwy uśmiech.

- Dend walczył dobrze - powiedział. - Przegrał dobrą walkę. Teraz Dend niewolnik. W następnym roku spróbuje Gumł.

Mac nie mógł myśleć jasno. Grupa robotników wierciła mu dziury w głowie młotami pneumatycznymi. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek odczuwał taki ból. Mimo to udało mu się wystękać.

- Gumł złamał prawo.

- Nie złamał. Gumł nie złamał żadnego prawa. - Odmaszerował, wciąż chichocząc.

Mac próbował się podnieść, ale kosztowało go to zbyt wiele wysiłku, więc opadł na ziemię, oddychając głęboko, by złagodzić ból. Wiedział, że jedynym lekarstwem będzie sen. Nie miał ochoty spróbować metod sadystycznego znachora, więc był zdany na siebie. Mógł tylko rozpamiętywać, że stał się ofiarą kulturowej zasadzki, której nie przewidział. Najwyraźniej obowiązywała tu zasada, że dozwolone jest wszystko, co nie jest wprost zabronione.

Następny dzień przyniósł kolejne doświadczenia. Po pierwsze Mac odkrył, że swoją walką zdobył sobie szacunek innych niewolników i kawalerów, ale wcale go to nie pocieszyło. W tej zamkniętej społeczności reguły rządzące przegraną były ściśle określone i przestrzegane przez wszystkich męskich członków plemienia niezależnie od pozycji. Jako niewolnik musiał wykonywać rozkazy Gumla i przez następny rok nie mógł wyzwalać nikogo na pojedynek. Po tym czasie koczownicze plemię wracało do wąwozu.

Obowiązki nie były zbyt trudne. Miał pomagać kobietom w noszeniu ciężarów, co inni mężczyźni uważali za poniżające, i utrzymywać teren Gumla w jakim takim porządku i czystości. Miał również pomagać w codziennych polowaniach i zbieractwie, ale ponieważ większość prac wykonywali niewolnicy, których nie brakowało, nie przemęczał się. Najgorsze, że musiał ignorować kobiety, podobnie jak one jego. Karą za spoufalanie się niewolnika z kobietą była utrata możliwości zaspokajania tego rodzaju żądz.

Jego sytuacja nie byłaby taka zła, gdyby nie brak czasu. Utknął tutaj i w ten sposób minęły już trzy dni. Przepadło półtorej godziny z ośmiu, które pozostały jego światu. Czas kurczył się, a on nawet nie zbliżył się do celu.

Tylko w przelocie widywał znachora, choć plemię było nieliczne. Kapłan trzymał się na uboczu, nie brał udziału w polowaniach i zostawiano go przeważnie w spokoju. Plemię żyło w przeświadczeniu, że posiada on magiczną moc - prawdopodobnie ją miał dzięki kamieniowi - i jest w codziennym kontakcie z Bogiem Słońce. Bano się go również bardzo z powodu sadyzmu i masochizmu, choć ten ostatni zyskiwał mu szacunek nawet u najważniejszych członków plemienia. Ktoś, kto potrafił samemu sobie zadawać ból i wydawał się to lubić, musiał być niezwykle dzielny, choć może trochę szalony.

Wieczorem trzeciego dnia Mac Walters stwierdził, że musi się stąd wydostać. Dend tchórzliwie zbiegł i okrył się hańbą. Teraz on będzie musiał dokonać prawdziwej ucieczki, choć jeśli zostanie złapany, kara nie będzie przyjemna. Guml robi z nim, co zechce. Wolałby nie znaleźć się na jego łasce, zważywszy na brak wszelkich zasad.

Przez cały pierwszy dzień pewna kobieta w średnim wieku i brzydka jak nieszczęście okazywała mu wiele dobroci, podczas gdy on czyścił jej palenisko i wznicał ogień. Dała mu jakieś smaczne gotowane jagody - których niewolnik normalnie nie mógł tknąć - i wyświadczała inne uprzejmości. Powiedziała, że przypomina jej zmarłego syna. To czyniło życie znośniejszym, a poza tym Guml nie

mógł podejrzewać, że jego niewolnik utrzymuje jakieś kontakty seksualne z tak brzydką i starą kobietą. Miała na imię Oona i w połowie trzeciego dnia już tak bardzo mu nadskakiwała, że często zwracała się do niego jako „syna Oony” i stawała się coraz bardziej macierzyńska.

Zgodnie z przewidywaniem Guml uznał ten związek za humorystyczny i przymknął na niego oko. Wyglądało na to, że z ulgą pozbył się Oony. Był zbyt zajęty młodszymi i bardziej atrakcyjnymi kobietami.

Trzeciego dnia polowanie nie udało się. Ambitnie postanowili złapać jakąś antylopę ze stada pasącego się w dole rzeki. Mac został daleko w tyle, ponieważ był nowicjuszem, ale okazało się to niezbyt bezpiecznym posunięciem. W pewnym momencie zobaczył, jak wdzięczne, podobne do jeleni zwierzęta o długich rogach skaczą w panice po dziesięć metrów i więcej. Jedno rzuciło się w jego stronę, zostawiając w tyle większość myśliwych.

Mac był silny i z czasów, gdy grał w piłkę, wiedział, jak robić uniki. W przeciwnym razie dwieście kilogramów cielska powaliłoby go na ziemię i zgruchotało kości. A tak cały impet poszedł w lewe ramię. Bolało straszliwie, lecz skończyło się na zwichnięciu. Kość nie została złamana. Zaniesiono go do obozu, ale odmówił przyjęcia pomocy medycznej. Wyobrażał sobie, co zrobiłby z nim znachor. Dwaj inni myśliwi mieli mniej szczęścia. Ciało jednego miało zostać spalone wieczorem, a drugi walczył ze śmiercią.

Oona przez cały czas skakała nad nim. Nawet Guml był zatroskany, gdyż żywił dla niego trochę respektu. Posłał jedną z kobiet po zioła, które wódz nosił w sakiewce, i z jego pozwoleniem nabił nimi glinianą toporną fajkę.

Nie była to marihuana, którą Mac znał, lecz coś znacznie silniejszego. Substancja miała działanie uzależniające, dlatego też ściśle ją racjonowano i wykorzystywano głównie do uśmierzania bólu. Umierający młody człowiek dostał ją również.

Efekt był piorunujący. Ból szybko ustąpił i ogarnęło go przyjemne odrętwienie. Wszystko wokół wydawało się cudowne. Zapadł w nie znany mu błogostan.

Następnego ranka ramię nadal bolało, po narkotyku zostało lekkie oszołomienie, ale sen zdziałał cuda. Nic jednak nie pomogło rannemu myśliwemu. O zmierzchu miała się odbyć następna kremacja.

Choć obolały, Mac postanowił, że nie będzie świadkiem tej uroczystości. Czwarty dzień, myślał. Minęły dwie godziny. Jedna czwarta czasu.

Jako człowiek, który odniósł ranę podczas wypełniania obowiązków, nie musiał

teraz pracować. Większość czasu spędzał więc na oganianiu się od Oony i obmyślaniu ucieczki. Późnym popołudniem miał już zarys planu. W pewnym sensie rana, choć nadal dokuczliwa, była najlepszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć.

Podjął decyzję, że dzisiejszej nocy przystąpi do działania. Czas szybko uciekał. Czas! Minęły już cztery dni, dwie cenne godziny. Jeśli plan się nie powiedzie i nie uda mu się zdobyć klejnotu, może się uważać za martwego. Zginie również cały świat.

Kiedy czekał, aż nad obozowiskiem zapadnie ciemność, wśliznęła się do niego Oona i zaproponowała masaż ramienia. Zgodził się, ponieważ ból nie ustępował.

Po chwili delikatnego masowania kobieta szepnęła:

- Dend opuści klan. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

Westchnął i zaczął gorączkowo myśleć. Musiała go dzisiaj obserwować, choć jemu wydawało się, że nie zwraca na siebie uwagi. Była wprawdzie pomocna, ale mogła mu sprawić kłopoty. Zastanawiał się nad odpowiedzią wiedząc, że jeśli skłamię, będzie go pilnowała przez całą noc.

- Dend odejdzie, kiedy się ściemni - przyznał. - Oona nie zatrzyma go?

- Oona też pójdzie tam gdzie Dend - odparła bez wahania.

Był zaskoczony. Wyglądało na to, że kobieta go nie opuści. Była dla niego miła, ale nie zrozumiałaby jego zamiarów. Poza tym znalazłaby się w niebezpieczeństwie, gdyby ukradł klejnot i uciekł. Kłopot z miejscowym językiem polega na tym, że nie da się w nim formułować subtelnych argumentów.

- Oona nie pójdzie. To niedobre. Dend wróci za rok, żeby walczyć - spróbował.

- Oona pójdzie tam gdzie Dend - upierała się.

Poddał się. Sprzeczka mogła ściągnąć na nich uwagę. Gdyby zaś zostawił Oonę, możliwe, że podniosłaby alarm, żeby tylko mieć go z powrotem. Dobrze, Oono, kopiesz dla siebie grób, pomyślał.

Przez cały wieczór walczył z narastającym bólem, ale nie zapalił fajki. Cieszył się taką sympatią i szacunkiem, że nikt nic nie podejrzewał. Nikt go nie wypytywał.

Oona tymczasem schowała parę rzeczy do skórzanego worka i czekała. Zapadła noc. Gdy zaszedł księżyc, Mac był gotowy. Wszyscy już spali i od ścian kanionu odbijało się echem głośnie chrapanie. Nawet Oona zasnęła. Mac wstał jak najciszej i wyszedł z ziemianki. Nagle kobieta otworzyła oczy, zobaczyła go i ruszyła za nim. Zaklął pod nosem, ale nie mógł zrobić nic, by ją powstrzymać.

Ucieczka okazała się nadzwyczaj łatwa. Niewolnicy rzadko się na nią decydowali,

gdyż należeli do istot stadnych, nieprzystosowanych do samotnego życia. Po drugie, ich życie nie było wcale złe, a w dodatku taki stan rzeczy nie musiał trwać wiecznie. Dużo mogli stracić uciekając, zwłaszcza że nie za bardzo mieli dokąd.

Oona milczała. Nie odezwała się słowem, kiedy zobaczyła, że Mac kieruje się w stronę wylotu wąwozu, zamiast w dół rzeki, chociaż na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

Nie miał żadnej broni, ale przechodząc obok wygasłego ogniska chwycił gruby kawałek drewna, który mógł posłużyć jako maczuga. Trzymał się z daleka od psów, które strzegły terytorium właścicieli. Wystarczyłoby, żeby jeden się rozszczękał, a inne poszły w jego ślady, by postawić na nogi cały obóz. Tego obawiał się najbardziej.

Ziemianka znachora znajdowała się z dala od innych. Nie miał psa. Zwierzęta nie lubiły go, podobnie jak ludzie.

Znachor spał głęboko na posłaniu z sieci. Mac był uszczęśliwiony tym widokiem. Przekonał się, że demony także śpią. Operacje plastyczne udały się znakomicie, upodabniając go do człowieka. Jednak podczas snu demon z nawyku układał nogi pod dziwnym kątem, jakby wciąż jeszcze miał kopyta.

Mac stwierdził, że pora przystąpić do działania. Był przekonany, że klejnot powinien świecić w ciemności. Ten, który widział u Mogarta, wydawał się żywy. Mac rozejrzał się uważnie. Miał przeczucie, że nie pójdzie mu tak łatwo, choć plan był bardzo prosty. Po chwili nabrał przekonania, że kamień znajduje się w skórzanym worku z ziołami i ostrymi kamykami, który służył demonowi jako torba lekarska. Z pewnością nie mógł schować tak ważnej rzeczy w jakiejś kryjówce. Było to źródło jego władzy nad dzikusami i co ważniejsze, sposób na wydostanie się z opresji. Klejnot musiał być gdzieś tutaj.

Demon spał mocno. Mac podkraść się do niego, trzymając maczugę w pogotowiu. Sięgnął do worka, który leżał obok głowy znachora. Podniósł go i otworzył.

Klejnotu nie było.

Wysypał zawartość na ziemię i pomacał wewnątrz, szukając schowków. Nie znalazł ich. Klejnotu nie było w worku ani nigdzie w zasięgu wzroku, a ponieważ demon spał nago, jak wszyscy członkowie plemienia, nie miał go również przy sobie. Nosił wprawdzie naszyjnik i ozdoby z kości, ale raczej nie nadawały się do tego celu. Nie pomieściłyby kamienia.

Mac znalazł się w kropce. Nie pozostawało mu nic innego, jak wydobyć z demona informację, gdzie ukrył klejnot. Oceniał odległość i kąt, uniósł maczugę i opuścił ją na

głowę śpiącego.

Znachor drgnął jak rażony prądem i obudził się. Otworzył usta. Przez moment wydawało się, że krzyknie, ale wywrócił oczami i znieruchomiał.

Więc i demony można znokautować. Dobrze wiedzieć, pomyślał Mac.

Ostrożnie dźwignął ciało, które okazało się zaskakująco lekkie, zarzucił je sobie na plecy i odwrócił się. Za nim stała Oona z otwartymi ustami.

Mac nie przejął się tym. Zbyt go bolało zwichnięte ramię. Najważniejsza rzecz: jak najszybciej się stąd wydostać.

Demon jęknął i otworzył oczy. Kontury były nieostre, w głowie dudniło. Wreszcie dostrzegł dwie niewyraźne postacie i próbował skoncentrować na nich wzrok. Stwierdził, że znajduje się w jaskini. Chciał poruszyć rękami i nogami, ale przekonał się, że jest związany.

Uśmiechnął się nagle. Związany i porwany! Ale zabawa! Zobaczył tuż nad sobą twarz jakiegoś mężczyzny i rozpoznał go zdumiony. To niewolnik Gumla, Dend.

- Gdzie jest płonący kamień? - spytał Dend.

Baltazar zrozumiał dopiero po chwili. Ten człowiek ma na myśli wzmacniacz! Zachichotał. - Dlaczego Dend chce płonący kamień? - zapytał, zaciekawiony i rozbawiony. - Jest dobry tylko dla kapłanów. Zabije Denda!

Teraz z kolei mężczyzna roześmiał się.

- Nie zabije Denda. Dend nie chce. - Mac Walters zawahał się, zastanawiając się, czy wyjawić wszystko. Do diabła, pomyślał gorzko, co mi szkodzi? Przynajmniej demon będzie wiedział, że nie ma do czynienia z dzikusiem. To oszczędzi czasu.

- Mogart chce płonący kamień - powiedział.

Baltazar gwałtownie wciągnął powietrze.

- Mogart! - Szybko rozjaśniło mu się w głowie. - Więc Dend to nie Dend.

Walters pokiwał głową.

- Dend to nie Dend.

W tym momencie demon zobaczył trzecią osobę w jaskini, starą kobietę, która wystąpiła do przodu. Zobaczył, że w dłoni trzyma główkę jarzącą się czerwono w mroku jaskini.

- Baal da Dendowi kamień! - rozkazała tonem, który ich obu zaskoczył. Mac spojrział ze zdziwieniem na pomarszczoną, pokrytą bliznami twarz oświetloną przez żar. W oczach kobiety błyszczała nienawiść.

Oona mogła nie wiedzieć, co się dzieje, ale z pewnością miała powody, by

nienawidzić demonicznego znachora.

Baltazar był równie zdumiony.

- Oona! - wykrzyknął.

Teraz z kolei Mac Walters osłupiał. Tych dwoje najwyraźniej znało się bardzo dobrze.

Kobieta bez wahania dotknęła polanem skóry Baltazara tuż pod biodrem. Zasyzczało. Rozniósł się mdlący swąd. Nawet Walters był przerażony jej brutalnością.

Jednak reakcja demona była zupełnie nieoczekiwana. Zamiast wyć i krzyczeć z bólu, niemal rzucił się na rozżarzoną głownię, a na jego twarzy pojawił się wyraz rozkoszy.

- Nie, Oona! - krzyknął Mac i wyrwał jej polano z rąk. - Baal lubi ból!

Ten człowiek rzeczywiście był chory.

Zawahała się, spojrzała na swoją ofiarę i stwierdziła, że to prawda. Cofnęła się z odrazą.

Czuła taką samą bezradność jak Mac.

Jak można torturami wydobyć sekret z masochisty?

Mac potrząsnął głownią, żeby nie zgasła, i przysunął ją do miejsca, które sparzyła Oona. Przekonał się, że sytuacja jest jeszcze gorsza, niż myślał.

Spalona skóra już zaczęła się goić.

Jak długo Mogart przebywa na Ziemi? Od samego początku, przypomniał sobie. Są przecież nieśmiertelni, a ich rany goją się szybko. Blizny na ciele Baltazara były oczywiście dziełem chirurgów. Miały mu dodać autentyczności.

Mógłby torturować demona w nieskończoność, a drań czerpałby z tego przyjemność.

Mac zrozumiał rozpacz Oony. Cokolwiek demon jej zrobił, że go tak nienawidziła, najwyraźniej nie było sposobu, by wyrównać rachunki. Żadnego sposobu. Klejnot wydawał się nieosiągalny.

Demon wyczuł ich nastrój i zaczął chichotać w ciemności.

Oona była tak wściekła, że wymaszerowała z jaskini, zostawiając ich samych. Baltazar spojrzał na Maca i powiedział:

- Dend położy rękę na Baalu. Będzie lepiej rozmawiać.

Walters zawahał się. Czyżby demon chciał go podejść? Westchnął. Mogę spróbować, doszedł do wniosku i położył dłoń na ramieniu Baltazara.

Nie poczuł nic niezwykłego i po kilku sekundach, zmieszany, cofnął rękę.

- Tak dużo lepiej - powiedział Baltazar bezbłędnym angielskim. - Język tych ludzi jest bardzo ubogi.

Waltersowi opadła szczęka. Zaniemówił na chwilę.

Baltazar wyczuł jego zdumienie.

- No, dalej. Możesz ze mną rozmawiać. Parę tysięcy lat temu spędziłem na twoim świecie trochę czasu, ale stał się dla mnie zbyt cywilizowany. Jednak od czasu do czasu tam zaglądam. Grupce utalentowanych amatorów wyznających kult diabła udaje się czasami mnie wezwać. Ziemski satanizm jest interesujący.

- Więc naprawdę jesteście diabłami - szepnął Mac.

Baltazar wzruszył ramionami.

- Magia to zjawisko po prostu źle interpretowane. Jeśli prawidłowo skoncentruje się siły psychiczne w pentagramie, nawet wykonując śmieszne rytuały, które ułatwiają koncentrację, można wezwać jednego z nas. Jest w waszym świecie kilka bliskich nam dusz, chociaż ich liczba zmniejszyła się w ostatnich latach.

- Potrzebuję twojego klejnotu - oświadczył Mac stanowczo. - Mój świat wkrótce zderzy się z asteroidą i tylko Mogart mający dostateczną moc jest w stanie powstrzymać zagładę.

Demon znowu wzruszył ramionami.

- To niedobrze. Współczuję. Nie zamierzam jednak pozbywać się rzeczy, dzięki której mogę się kontaktować z innymi poziomami, tym bardziej, że nie macie mi nic do zaoferowania w zamian. Tutejsze życie jest wspaniałe, ale czasami staje się nudne. Obawiam się, że będziecie musieli obejść się bez mojego klejnotu. Jestem gotowy czekać w tej jaskini, aż umrzesz ze starości. Dlaczego nie zapomnisz o wszystkim i nie zostaniesz ze mną? Mam pewne sukcesy w rozwijaniu tutaj kultu diabła, oczywiście ze mną w roli głównej. Mógłbyś zostać najwyższym kapłanem tego plemienia. Oddaj mi duszę, a nie będziesz miał złego życia.

Mac Walters parsknął.

- Nie sądzę, żebym miał ochotę zostać kapłanem religii, w której ty byłbyś przedmiotem kultu. Zresztą już oddałem się pod rozkazy Mogarta.

Baltazar uśmiechnął się.

- Mogart przebywa na świecie, który zmierza ku zagładzie. On nigdy nie wróci. Zabije się, bo tylko w ten sposób możemy odejść na zawsze. Wystarczy, że go przeczekam... i ciebie.

- Ty... ! - warknął Walters z wściekłością i ścisnął demona za gardło.

- Mocniej! Mocniej! Och, proszę! - wydusił z siebie demon. Nie żartował. Naprawdę czerpał z tego rozkosz.

Walters puścił go.

- Powiedz mi, dlaczego Oona tak cię nienawidzi?

Baltazar kaszłał przez chwilę i łapał oddech.

- Mam pewne potrzeby, które inni muszą spełniać - odparł. - Dzięki klejnotowi mam władzę. Po przybyciu tutaj wybrałem Oonę jako jedną z pierwszych. Była wtedy ładna i bardzo pociągająca. Robiła to, co kazałem. Nie miała wyboru. Rytuały są, hmm, dość męczące. Po roku wyglądała już tak jak teraz. Zestarzała się.

Mac słuchał demona i włosy jeżyły mu się na głowie. Czuł mdłości. Jakież to straszne rytuały odprawiał demon?

- Kiedy to było? - zapytał Baltazara. - Ile ona ma lat?

Demon wzruszył ramionami.

- Powiedziałem ci, że jestem tutaj od niedawna. Chyba jakiś rok. Musi mieć koło dwudziestki.

Mac zadał demonowi kilka ciosów w szczękę. Wzbudził oczywiście jego zachwyt, ale mimo to poczuł się lepiej. Wreszcie nieznośnie rozbolało go ramię, które dokuczało mu już od wielu godzin. Odwrócił się z odrazą i wyszedł z jaskini.

Oona od razu dostrzegła jego cierpienie.

- Połóż się na brzuchu! - poleciła. - Oona pomasuje.

Potrząsnął głową.

- Nie. Ból przechodzi.

Nie zwrócił uwagi, że znowu mówi tutejszym językiem. Opadł z westchnieniem na ziemię i oparł się o skałę. Spojrzał w niebo. Zbliżał się świt piątego dnia.

Przesunął wzrok na kobietę. Pokiereszowana, z zaszczutą twarzą, wyglądała staro, a według Baltazara zaledwie przed rokiem była młoda i piękna. Nic dziwnego, że go nienawidziła!

- Nie można skrzywdzić Baala! - stwierdziła. - Zostaw Baala w jaskini. Dend-Oona odejdą, założą swój klan. - Odwróciła się i rzuciła spłoszone spojrzenie w głąb jaskini. - Baal skrzywdził Oonę, zabrał młodość, urodę, ale Oona może jeszcze mieć dużo dzieci.

Westchnął. Więc to tak. Wykorzystana, zniszczona przez demona, zrobiła się brzydka i stara. Mężczyźni przestali ją pożądać. Gumł musiał ją przyjąć z powrotem, ponieważ była jedną z jego żon, ale nikt nie zaszczycił ją drugim spojrzeniem, gdy

wokół kręciło się tyle ładnych kobiet.

To wiele wyjaśniało. Musiała wyczuć w Macu coś, co różniło go od innych mężczyzn. Wiedziała, że zamierza uciec; ucieczka stanowiła jej jedyną szansę.

Poczuł ogromną litość, ale nic nie mógł dla niej zrobić. Jedyłą, nikłą zresztą nadzieję stwarzało zdobycie klejnotu Baltazara. W ten sposób nie tylko pomógłby Oonie, ale uchronił inne kobiety przed podobnym losem. Wraz z utratą kamienia sadomasochistyczny demon straci moc. Nie będzie mógł dostać się na inne światy, żeby tam zaspokajać swoje nienormalne potrzeby.

Ale jak u licha można wydrzeć tajemnicę masochiście? Jedyne sposoby to postraszyć go czymś, czego nie potrafiłby znieść.

Mac myślał gorączkowo. Zastanówmy się. Może trzeba okazać mu dobroć? Westchnął. Ale jak to zrobić? Baltazarowi obecna sytuacja bardzo odpowiadała. Pozostawiony sam sobie, mógł własnoręcznie zadać sobie ból, a gdyby zdjąć mu pęta, byłoby jeszcze gorzej. Całkiem możliwe, że nawet bez klejnotu posiadał jakąś szczątkową moc. Poza tym każdy plan tego rodzaju wymagał czasu, dużo czasu. Mac go nie miał.

Spojrzał na Oonę. Grzebała w wypchanym worku, który zabrała z obozu. Wyjęła stamtąd jakieś pokruszone zielsko i glinianą fajkę, tę samą, której używał poprzedniej nocy, żeby uśmierzyć ból.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Oona! - szepnął podniecony. Wziął od niej worek. Był pełen narkotyku. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Mac Walters uśmiechnął się. Miał broń, o czym demon nie wiedział.

- Nie boli, kiedy palisz - powiedziała Oona uspokajająco.

Jego uśmiech przerodził się w grymas, który wzięła za ból. Ramię było w kiepskim stanie, ale zapomniał o nim teraz. Skinął jej głową.

- Nie boli! - zgodził się i wskazał na jaskinię.

Zrozumiała natychmiast i na jej zniszczonej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

- Oooch... - szepnęła.

Wstał z jej pomocą i wszedł do jaskini. Zbliżał się świt i do środka wpadało trochę światła. Baltazar spał. Mac potrząsnął nim i sprawdził więzy.

Demon obudził się i rozejrzał ziewając.

- Pora na zabawę? - zapytał po angielsku.

Oona, która przygotowywała liście, wydawała się zaskoczona obcą mową, ale nie

odezwała się.

- Teraz moja kolej - odparł Walters. - Palileś kiedyś narkotyk, którego używają tu do uśmierzenia bólu?

- Szkodliwe paskudztwo - prychnął demon. - Nie tknąłbym go.

- Też tak pomyślałem - powiedział Walters, na pół do siebie. - Widzisz Oonę? Ma tego dużo. Zamierzamy rozpalić małe ognisko i zasłonić otwór jaskini gałęziami. Nawdychasz się dymu i wcale nie będziesz czuł bólu.

Demon roześmiał się.

- Bardzo sprytne, ale mam silną wolę. Potrafię to znieść.

Mac próbował dostosować się do groźnego, pewnego siebie tonu Baltazara.

- O, mamy go dużo. Po drodze zauważyłem cały zagajnik. Zdaje się, że to bardzo pospolite zielsko. - Do jego głosu wkradła się nieco sadystyczna nuta. - Jak długo może żyć Oona? Jak myślisz?

Demon spojrzał na niego zaniepokojony.

- Jeśli nic się jej nie przydarzy, dwadzieścia, trzydzieści lat, może więcej. A co? - Po jego tonie można było poznać, że zaczyna do niego docierać sedno pomysłu Maca, ale na razie odsuwa je od siebie.

- To niewiele czasu dla nieśmiertelnego - stwierdził Walters. - Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat w lekkim narkotycznym oszołomieniu, wspaniałe samopoczucie, żadnego bólu. Ale to nie wszystko. Myślę, że owo świństwo uzależnia. Będzie ci podawała narkotyk najwyżej przez parę tygodni, a potem już nie wytrzymasz - bez niego. Żadnego bólu, same przyjemne odczucia, na zawsze.

Demon zaczął się pocić. Wyglądał na zdenerwowanego i przestraszonego, ale jeszcze próbował coś wymyślić.

- To straszne! Masz rację, Walters. Czterdzieści lat, na bogów Teikelal! Potworne! Ale potrafię wiele znieść! My nie uzależniamy się od waszych narkotyków!

Mac Walters roześmiał się.

- Uwierzyłbym ci, Baltazarze, ale przecież stworzyliście ludzi na swoje podobieństwo. Zapomniałeś, że Mogart jest alkoholikiem!

Oona nie zrozumiała nic z ich rozmowy, ale nie mogła się pomylić co do wyrazu twarzy znachora. Malowały się na niej strach i nienawiść, jakie do tej pory widywała się u jego ofiar. Wzięła z ziemi miskę pokruszonych ziół i hubkę, którą przed chwilą zapaliła, cierpliwie uderzając krzesiwem o kamień. Przytknęła ją do liści i dmuchała, dopóki nie zajęły się czerwonym płomykiem. Znad misy uniosła się cienka smużka

dymu. Z uciechą podstawiała ją demonowi pod nos. Szarpnął się, ale Mac unieruchomił go potężnym uściskiem.

Po pierwszym wdechu odwrócił głowę i powiedział zduszonym, płaczącym szeptem.

- Zabierz to! Zabierz to! Zrobię wszystko! Klejnot jest twój!

Walters uśmiechnął się i skinął na Oonę, żeby zabrała misę.

- Pięć sekund - powiedział. - Masz pięć sekund, żeby mi powiedzieć, gdzie jest klejnot. W przeciwnym razie wyjdę stąd i zostawię was samych na cały dzień!

Baltazar był przerażony.

- Między genitaliami a tyłkiem mam coś w rodzaju woreczka utworzonego z fałdu skóry. Tam go trzymam.

A więc to tak! Walters powalił demona na ziemię i mocno przytrzymał. Znalazł woreczek i wyciągnął klejnot.

Wyglądał tak samo jak ten należący do Mogarta.

Puścił demona.

- Nie rozumiem jednej rzeczy - powiedział. - Dlaczego nie użyłeś go, skoro był przez cały czas przy tobie?

- Bo musiałbym się pogimnastykować w tych więzach, a nie widziałem potrzeby. Woląłem wydostać go później, kiedy zostałbym sam. W ten sposób nie zdradziłbym się przed wami, gdzie go trzymam.

Mac spojrzał na Oonę. Wyglądała na zadowoloną, lecz trochę zdezorientowaną.

- Oono, chciałbym ci pomóc, a przynajmniej wyjaśnić wszystko, ale nie mogę.

Nie zrozumiała ani słowa, ale chyba czegoś domyśliła się z tonu jego głosu i wyrazu twarzy.

- Dend to nie Dend - powiedział. - Dend wróci i nie będzie pamiętał Oony.

Zrozumiała, a w jej oczach pojawiły się łzy. Dla niej był duchem w ciele Denda, wrogiem znachora. Zwyciężył i musiał teraz odejść.

Uśmiechnął się współczująco, pocałował ją w czoło i ruszył do wyjścia.

- Hej! Człowieku Mogarta! Rozwiąż mnie! Dotrzymałem umowy! - krzyknął demon niespokojnie. - Nie możesz mnie z nią zostawić!

Mac Walters obejrzał się, a na jego prymitywnej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Nie łamać prawa - odpowiedział w tutejszym języku. - Dend nie łamie żadnego prawa.

Oona wybuchnęła głośnym śmiechem, sięgając po misę i płonącą głownię.

Krzyki demona i niesamowity śmiech raczej wystraszyłyby zbieraczy i myśliwych, niż ich zwabiły. Nawet gdyby mieli dość odwagi, by zajrzeć do jaskini, prawdopodobnie z przyjemnością obserwowaliby męki drania.

Słońce właśnie wschodziło nad kanionem. Mac poczuł ciepło. Promienie odbijały się od wolno płynącej rzeki.

Westchnął i mocno ścisnął klejnot w dłoni.

- Zabierz mnie do Asmodeusza Mogarta! - polecił.

Jasne słońce, ciepło i kanion zniknęły.

GLÓWNA LINIA + 2076

Oar wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy Mac go opuszczał. Klienci trochę zmienili pozycje. Barman zaczął nalewać piwo, które po bardzo długim czasie dotarło do brzegu szklanki.

Walters rozejrzał się, ale nie wyszedł z namalowanego na podłodze pięciokąta. Zauważył Mogarta, który siedział na stołku barowym i ścisnął dużą szklankę słabo rozcieńczonej szkockiej.

- Hej! Mogart! Mam twój cholerny klejnot! - zawołał.

Demon drgnął i obejrzał się wolno.

- Wa... Walters! - wykrzyknął, nagle przypominając sobie, kim jest mężczyzna, którego widzi przed sobą.

Mac rzucił klejnot Mogartowi. Choć pijany, demon złapał go i przyjrzał mu się ze zdumieniem.

- Niech to lichy! - mruknął. - Mamy już trzy!

Walters uniósł brwi.

- Trzy? Więc dziewczyna już zdobyła jeden?

Powinien się cieszyć, ale poczuł się urażony w swojej męskiej dumie. Zaraz jednak pomyślał, że może McCulloch znalazła się w szybszej linii czasowej.

Mogart wstał i niepewnym krokiem podszedł do pięciokąta.

- Nie spieszyłeś się - stwierdził oskarżycielsko.

Walters poczuł, że opuszcza go radość ze zwycięstwa. Spojrzał na zegar. Zaczął o... Co takiego? O szóstej piętnaście. Teraz była prawie dziewiąta.

- Ruszamy dalej, co? - powiedział z westchnieniem.

Mogart wszedł do pięciokąta i wykrzyknął polecenie.

Obaj zniknęli. Dla klientów baru między pojawieniem się Waltersa a jego

zniknięciem minęła jedna dziesiąta sekundy. Czas płynął w barze bardzo wolno, lecz dla Mogarta na tyle szybko, że mógł pić bez przeszkód.

Jednak płynął nieubłaganie.

GLÓWNA LINIA + 1302

Makiva

1

Tym razem będzie łatwo, choć śmiertelnie niebezpiecznie - powiedział Asmodeusz Mogart do Jill McCulloch, kiedy zmaterializowali się na ulicy miasta czy też raczej, żeby być dokładnym, ulica zmaterializowała się wokół nich. Było chłodno i wilgotno. Jill zadrżała.

- Bierzmy się do roboty - ponagliła. - Zamarznę na śmierć!

Uśmiechnął się szeroko i skinął, żeby szła za nim.

Był to kolejny prymitywny świat - a w każdym razie nie uprzemysłowiony - lecz znacznie bardziej kosmopolityczny i rozwinięty społecznie niż świat Ducha Świętego. Jednak jego mieszkańcy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, w długich szatach i opończach z kapturami, przypomnieli jej niedawne przeżycia. - Nie ma tutaj bogów, którzy karzą grzeszników, prawda? - zapytała z nadzieją.

Mogart zachichotał.

- O nie. Bogów, diabłów, duchów i czarów jest tutaj w bród, ale nie ma żadnego systemu wierzeń. Możesz kłamać do woli, oszukiwać i kraść, a nawet zabijać, lecz obowiązuje cię tylko jedna zasada: nie dać się złapać.

Nie skomentowała tego cynicznego poglądu na zło, tylko poprosiła o więcej szczegółów.

- Dlaczego stworzono ten świat?

Mogart przystanął na środku ruchliwej ulicy, pozwalając, by piesi, konie i wozy ciągnięte przez woły przejeżdżały przez niego. Ona również nie zwracała na to uwagi.

- Makiva jest jednym z około stu poziomów, na których działa magia - wyjaśnił. - Większość światów poniżej granicy dwóch tysięcy nie ma rozwiniętej techniki, powyżej zaś tak. Stworzono je, żeby udowodnić taką czy inną teorię socjologiczną. Szczerze mówiąc nie pamiętam, o co chodziło w tym wypadku, ale to wszystko jedno. Są tu duchy - powietrza, ziemi, ognia - a także zaklęcia, klątwy, wiedźmy, czarodzieje, czarnoksiężnicy i magowie. Jeśli mówią, że ktoś ma oczy uroczone, prawdopodobnie tak jest. Można też zostać zaczarowanym. - Rozejrzał się i mówił dalej. - Ponieważ nieznamość magii wśród zwykłych ludzi jest największą siłą czarnoksiężników - oprócz wiary w magię - większość wie niedużo więcej od ciebie. Traktuj poważnie wszystkie przesady i wierzenia, z którymi się zetkniesz, a dasz sobie radę. Wielcy adepci sztuk tajemnych trenują całymi latami. Inaczej by zginęli! - Mogart wydawał się tym rozbawiony. - To wszystko jest bardzo logiczne i naukowo uzasadnione, ale nie martw się. Chodźmy.

Ruszyli ulicą, nie zauważani przez tłumy na ulicach i targowiskach. Wreszcie dotarli do małej, lecz malowniczej zatoki, pełnej egzotycznych żaglowców wszelkich kształtów i rozmiarów. Otaczały ją niskie góry, a po obu stronach rozłożyło się miasto. Mogart zatrzymał się przy kamiennym murku niedaleko przystani i wskazał na najwyższy szczyt po drugiej stronie zatoki.

- Spójrz tam - powiedział. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła potężny zamek z czarnego kamienia usadowiony na szczycie góry. Stał na stromym urwisku o wysokości jakichś pięćdziesięciu metrów, a dopiero dużo niżej widać było drogi i domy. - To zamek Zondar - objaśnił. - Siedziba władz miejskich i skarbiec. Mieszka w nim niewielu ludzi, ponieważ nie jest zbyt wygodny. Strzegą go najróżniejsze czary. Nikt nieproszony nie może tam wejść. Po prostu nie przejdzie przez bramy ani drzwi, nawet jeśli są otwarte.

Przełknęła ślinę.

- Czy tam właśnie mieszka twój kolega?

Skinął głową.

- Tak. Ma na imię Asothoth, ale to nieistotne. Trzymają go tam ze względu na niezwykłą anatomię. Miejscowi uważają go za demona. Jednak nie jest groźny. Dawno temu, chcąc zabić nudę wygnania, przyzwyczał się do silnych narkotyków tak jak ja do alkoholu. Żyje w stałym otępieniu. Po paru set latach zaczęli wierzyć, że stanie się coś strasznego, jeśli nie będą mu dawali narkotyków, więc jest teraz beznadziejnie uzależniony.

- Dlaczego zatem sądzisz, że nadal ma klejnot?

Mogart wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy go ma. Ale klejnoty przyciągają nas jak nektar pszczoły. Nawet z tego miejsca czuję jego przyciąganie, mimo braku synchronizacji czasowej. Powstrzymuje mnie tylko jego moc. Dlatego nie mogę zabrać go osobiście. Jest dostrojony do Asthotha, więc nie mógłbym go dotknąć bez jego zgody, chyba że dostanę go od kogoś trzeciego. To takie zabezpieczenie.

Jill McCulloch zrozumiała.

- Ja jestem tym kimś.

Demon skinął głową.

- Z powodu słabotki Asthotha będziesz miała ułatwione zadanie. Znam dobrze to miejsce, jestem uważany tutaj za kogoś w rodzaju boga pijaków. Chodź za mną.

Udali się do położonej niedaleko przystani gospody, której bar najwyraźniej cieszył się dużym powodzeniem. Nie weszli jednak do sali jadalnej, lecz ruszyli na górę po schodach i dalej długim, ciemnym korytarzem, mijając po drodze wiele pokoi. Był to duży zajazd, służący najprawdopodobniej żeglarzom i przyjeźdźcom. Wreszcie dotarli do drzwi oznaczonych numerem 16. Mogart jak zwykle nie zadał sobie trudu, żeby je otworzyć. Jill była już na to przygotowana i bez wahania poszła w jego ślady.

Znaleźli się w małym, jednoosobowym pokoju. Zobaczyli mały nocny stolik z lampą oliwną i miską do połowy napełnioną wodą, niewielki dywan w kwiaty, okno z żaluzjami i niskie, wąskie łóżko na drewnianym stelażu. Materac wyglądał na gruby i wypchany pierzem, a nie słomą.

Na łóżku spała kobieta. Była młoda, gibka i wspaniale zbudowana. Miała długie, umięśnione nogi. Mogła być tancerką lub gimnastyczką. Krótko ścięte włosy nadawały jej twarzy chłopięcy wygląd, choć musiała liczyć sobie dwadzieścia parę lat. Bładawa cera oraz zgrubienia na dłoniach i stopach świadczyły, że nie jest skromną młodą osobą na wakacjach w mieście. Podobnie jak fakt, że zatrzymała się w tej gospodzie i mocno spała, choć minęło południe.

- To jest Yoni - powiedział Mogart. - Oddała mi kilka przysług. Ponieważ jednak czas płynie tutaj szybko, ludzie przychodzą i odchodzą, nie powstają trwalsze więzi. Tutejsze cztery dni odpowiadają godzinie u nas, masz więc trochę luzu.

- Jest lekkoatletką? - spytała Jill.

- Złodziejką - odparł Mogart. - I to bardzo dobrą. Wynająłbym ją, ale to

niemożliwe. Tylko ktoś z innego świata może wziąć do ręki klejnot, nie narażając się na śmierć. To konieczne zabezpieczenie, bo inaczej ktoś sprytny mógłby ukraść kamień i co wtedy stałoby się z Uniwersytetem? Poza tym mam pewność, że ty nie - spróbujesz zatrzymać klejnotu dla siebie. Wejdiesz w ciało Yoni i ukradniesz go, wykorzystując swoje dawne umiejętności.

Zawahała się.

- Zaczekaj chwilę, Mogart. Po pierwsze, jak się dostanę do środka, skoro bramy są zaczarowane? Po drugie, gdzie znajdę klejnot w tym gotyckim labiryncie? I wyjaśnij jeszcze, dlaczego powiedziałeś, że to łatwe, lecz niebezpieczne zadanie?

Asmodeusz Mogart zaśmiał się cicho.

- Dobrze, dobrze. Po pierwsze, klejnot musi być gdzieś w czarnej wieży, która wychodzi na morze i służy jednocześnie jako latarnia morska. Nie potrafię udzielić ci dokładniejszych wskazówek. Zadanie jest łatwe, ponieważ nie musisz się martwić o Asthotha, a niebezpieczne, bo wieża i zamek są strzeżone przez ludzi i diabelskie moce. Po zmroku gospoda staje się meliną złodziei. Spójrz, na lewym kciuku Yoni jest znak Gildii Złodziei, widzisz? To magiczny znak, więc nikt poza członkami Gildii go nie zobaczy. Dzięki niemu ty również będziesz wiedziała, kto jest kim.

Pochyliła się i spojrzała. Na kciuku kobiety zobaczyła misterną, zawiłą gwiazdę. Nie musiała jej zapamiętywać. Będzie miała ją na ręce, znak dla kolegów złodziei.

- Proponuję ci zebrać informacje na temat zamku - poradził Mogart. - To kuszący cel ze względu na skarbiec, złoto i drogocenne kamienie.

Jill odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jeśli tak, to dlaczego nikt się tam nie włamuje?

Mogart wzruszył ramionami.

- Paru się udało. Tym, którzy potrafią wspinać się na mury i urwiska. Poza tym trzeba ominąć strażników i pułapki. To zbyt niebezpieczne. Większość złodziei marzy o tym, ale nie ma odwagi. Obawiam się, że będziesz musiała zabijać podczas tej wyprawy.

- Żadnego przewodnika? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- Sama go sobie znajdź. Zbierz informacje i działaj. Weź sobie pomocnika albo idź sama. Bądź gotowa wykazać się odwagą i zręcznością, nawet wobec kolegów złodziei. Oni szanują tylko siłę i umiejętności. A teraz dotknij jej, bo muszę się napić.

Jill wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia śpiącej kobiety.

Ogarnęła ją ciemność.

2

Obudziła się wkrótce po zachodzie słońca. Czowała się całkiem dobrze. Było już zupełnie ciemno. Usiadła na brzegu łóżka i próbowała sobie przypomnieć rozkład pokoju.

Namaciała nocny stolik, lampę i miskę z wodą. Omal jej nie przewróciła, ale znalazła po omacku zapalki. Potarła jedną o drewnianą ścianę. Zapaliła się od razu. Przytknęła ją do knota i w pokoju zrobiło się jasno. Lampa dawała zadziwiająco dużo światła.

Obmyła twarz nieświeżą wodą, żeby się rozbudzić, i rozejrzała się w poszukiwaniu ubrania. Zobaczyła je na krześle. Najwyraźniej ci ludzie nie kąpali się często. Ubranie Yoni śmierdziało. Mała skórzana sakiewka wisząca u czarnego paska okazała się wypchana złotymi monetami. To proste. Złodziejka podróżowała bez bagażu. Kiedy potrzebowała nowego stroju, kradła pieniądze, żeby go sobie kupić, a stary wyrzucała.

Ubranie było dopasowane jak kostiumy gimnastyczek: czarna płócienna koszula z długimi rękawami, czarne spodnie z takiego samego materiału i wysokie wsuwane czarne buty. Oprócz monet sakiewka zawierała parę czarnych rękawic, lusterko, grzebień i czarną pastę do butów. Jill domyśliła się, że tej ostatniej używano raczej do czernienia twarzy niż do czyszczenia butów.

Na pasku wisiał również groźnie wyglądający, ostry sztylet w pochwie.

Po nałożeniu stroju Jill wyjęła sztylet i obejrzała go. Był doskonale wyważony, dobrze leżał w dłoni, niemal jakby miał własną wolę. Kilka razy przećwiczyła wyciąganie broni. Zaskoczyła ją szybkość, z jaką to robiła.

Przenosząc się do pierwszego ciała, odziedziczyła po małej żebraczkę talent do zdobywania pieniędzy, a teraz - przynajmniej taką miała nadzieję - umiejętność posługiwania się sztyletem i być może mieczem. Refleks Yoni i jej instynkt samozachowawczy mogły się okazać przydatne.

Przyjrzała się sobie i spodobało się jej to, co zobaczyła. Kobieta była prawie jej wzrostu i budowy, równie sprawna fizycznie... i młodsza. Jill czuła się całkiem normalnie. Zdmuchnęła lampę i opuściła pokój. Zeszła na dół. Zbliżała się godzina szczytu. Bar powoli się zapełniał. Od razu stwierdziła, że Mogart zbyt łagodnie określił to miejsce jako spelunkę złodziei. Prawie wszyscy obecni, łącznie z barmanem i

kelnerkami, mieli na kciukach czarny znak.

Bar wyglądał na siedzibę Gildii Złodziei.

Najwięcej było mężczyzn, ale trafiały się też kobiety z gwiazdami na kciukach, sztyletami za pasem i profesją wypisaną na twarzy. Goście pochodzili z różnych krajów. W powietrzu gęstym od dymu i zapachów jedzenia mieszały się dziwne języki i akcenty.

Jill już wcześniej zauważyła, że mieszkańcy miasta są ciemnowłosi i niskiego lub średniego wzrostu. Tutaj zobaczyła osobników, których można by wziąć za Skandynawów, Irlandczyków, Włochów, Anglików i Słowian.

Wypatrzyła mały stół, który właśnie się zwolnił, i skierowała się szybko w jego stronę. Usiadła i zaczęła obserwować salę, podczas gdy kelnerka wycierała blat, zbierała brudne naczynia i sztuce. Tylko noże i głębokie, prostokątne łyżki, gdyż najwyraźniej nie znano tutaj widelców.

Wynaleziono natomiast kanapki. Kilka osób jadło grubo pokrojone kawały mięsa włożone w duże twarde rogalce.

- Kanapka z wołowiną i piwo - zamówiła.

Czekając na jedzenie, obserwowała i słuchała. Stwierdziła, że jest tu o niebo lepiej niż w Zolkarze z jego wymuszoną pobożnością. Ten świat kwitł i rozwijał się, nawet jeśli był trochę prymitywny. Podobna atmosfera mogła panować w starożytnym Rzymie lub Grecji.

Wyłapywała strzępy rozmów. Przeważnie poruszano błahe sprawy, ale dzięki temu poznawała tutejsze życie.

- ... Ningauble i Sheela! Ningauble i Sheela! - skarżył się wielki mężczyzna w typie nordyckim swojemu towarzyszowi, małemu czarnowłosemu mężczyźnie w szarej opończy. - Na wszystkich czarnych bogów, czy kiedykolwiek zostawią nas w spokoju... ?

- ... zajmowaliśmy się matematyką magii i nagle znalazłem się w świecie „Królowej Wieszczeń” Spensera. Więc... co? Kto to jest Spenser? No... mniejsza o to...

Potężny mężczyzna o wyglądzie Niemca śpiewał kilku przyjaciółom krótką piosenkę.

... trzy dzielne serca

i trzy dzielne lwy...

- Och, przestań - warknął na niego wysoki blondyn.

Olbrzym roześmiał się.

- Na Croma, Holgerze, nie masz poczucia humoru, jeśli chodzi o twoją osobę! - Reszta mu zawtórowała.

- ... nie podoba mi się to miejsce - mówiła do swojego towarzysza wysoka, uderzająco piękna kobieta. - Myślę, że to melina złodziei.

- Lepiej tak pochopnie nie osądzać, moja pani - upomniał ją przystojny, brodaty mężczyzna. - Proszę pamiętać, że sam Chrystos został ukrzyżowany między dwoma złodziejami.

Nie wszystko było zrozumiałe dla Jill, ale odbierała spontaniczność i werwę. Ci ludzie wiele widzieli i przeżyli. W pełnej dymu i zapachów sali wyczuwało się rozpierającą ich energię.

Dostała piwo i wołowinę, która okazała się doskonała pomimo nie zamówionego dodatku w postaci zielonego pieprzu, cebuli i jakiegoś ostrego sosu. Kanapka smakowała wybornie, w przeciwieństwie do papierowego jedzenia w jej własnym świecie. Jill czuła się jak u siebie. Wydawało się jej, że mogłaby tu spędzić szczęśliwie resztę życia.

W pewnym momencie uświadomiła sobie jednak, że jest to pułapka równie groźna jak sam demon. Jeśli chce uratować świat, musi jak najszybciej zdobyć klejnot i wrócić do Mogarta.

I wtedy do baru wszedł mężczyzna ubrany od stóp do głów na zielono. U pasa miał krótki mieczyk, a na głowie mały zielony kapelusik z piórką. Przypominał jej Robin Hooda.

Obrzucił spojrzeniem salę, najwyraźniej szukając kogoś znajomego albo wolnego miejsca. Jego wzrok padł na nią i na puste krzesło obok niej. Ruszył przez zatłoczone pomieszczenie. Obserwowała go bardziej z ciekawością niż ze strachem. Na wszelki wypadek przełożyła kanapkę do lewej ręki, a prawą opuściła na kolana, blisko sztyletu.

Nieznajomy miał na kciuku znak Gildii, ale sugerowało to jedynie, żeby pilnować sakiewki. Zatrzymał się przy stoliku Jill, zdjął kapelusz i lekko się uklonił.

- Proszę wybaczyć. Dzisiaj nie ma tu wolnych miejsc. Mogę się przysiąść? - zapytał uprzejmym, kulturalnym tonem.

Mogła go łatwo odprawić, lecz potrzebowała informacji. Zostawiła jednak rękę na kolanach.

- Ależ proszę, sir - zaprosiła go. - Mam na imię Yoni.

Uklonił się znowu i rozsiadł się wygodnie.

- Sugrin Paibrush - przedstawił się. - Po akcencie poznaję, że nie pochodzi pani z tego miasta. Zresztą pamiętałbym tak uroczą osobę. Norbig?

Pochlebstwo nie zrobiło na niej wrażenia, choć mężczyzna był całkiem miły.

- Tussain - odparła. Skąd wzięła tę nazwę? Najwyraźniej Yoni miała znacznie silniejszą osobowość niż mała żebraczka z Zolkaru. Jill spojrzała na zielony strój przybysza. - Kłusownik?

Roześmiał się.

- O nie! To wymaga wprawy w strzelaniu z łuku i szybkich nóg. Pracuję w terenie, gdzie zieleń jest najlepszym kamuflażem.

Nie musiał mówić więcej. Bez wątpienia był rozbójnikiem.

Po chwili milczenia znowu spróbował nawiązać rozmowę.

- A co panią sprowadza do naszego pięknego miasta? Nie można spokojnie popracować. Kręci się tu zbyt wielu przestępców. - W jego oczach pojawiło się rozbawienie, a w głosie sarkastyczny ton.

Jill roześmiała się i odprężyła. Przygodny towarzysz zaczynał jej się podobać.

Porozmawiali jeszcze trochę. Dokończyła kanapkę, a on zamówił kolację. Czowała się swobodnie w jego towarzystwie. Magiczny znak złodziei ułatwiał tutaj życie. Sugrin Paibrush okazał się dowcipny. Znał mnóstwo zabawnych historyjek, nawet jeśli większość z nich była nieprawdziwa.

- A pani? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Niewiele mam do powiedzenia, żadnych fantastycznych opowieści. - Zastanowiła się przez chwilę. - No, może jedną. - Opowiedziała z grubsza o kradzieży cennego klejnotu w kraju, gdzie grzech jest niemożliwy.

- Świetne! - wykrzyknął i zaraz spoważniał. - Ale teraz szczerze. Jest pani młoda, atrakcyjna, dobrze sytuowana i bardzo niezależna. Ktoś taki jak pani powinien już dawno nie żyć, gdyby nie był wyjątkowy w swoim fachu. Co panią tutaj sprowadza? Wakacje? Przerwa w podróży?

Wahała się przez chwilę.

- Opowiedziałam panu o kradzieży klejnotu. Mam umowę z napalonym kupcem na następne. Jeden jest tutaj i zamierzam go zdobyć.

To wzbudziło jego zainteresowanie.

- O? Gdzie?

- W zamku Zondar - odparła szeptem.

Rozbawienie i dobry humor opuściły go natychmiast. Przez chwilę gapił się na nią. Wreszcie zapytał:

- Mówi pani poważnie? - Wskazał za siebie na salę pełną złodziei i awanturników.

- Proszę na nich spojrzeć. Na tej sali jest paru najlepszych. Najlepszych, jacy żyją. Walczyli z demonami i półbogami, mieli do czynienia z najstraszniejszymi czarami i brali udział w podbojach całych królestw. Jestem dobry w tym fachu i żyje mi się nieźle. Nigdy mnie nie złapano. Mimo to jestem pchłą, komarem w porównaniu z nimi. A żaden z nich nie spróbuje wejść na wieżę. - Wolno pokręcił głową. - Nie, zawarła pani kontrakt niemożliwy do wypełnienia. Proszę go zerwać. Zapomnieć. Spróbować czegoś łatwiejszego, jak choćby walki ze słoniami samotnikami. Bezpieczniejsza i pewniejsza sprawa.

Znaczenie jego słów wyraźnie nie przypadło Jill do gustu.

- Co w tym takiego trudnego? Potrafię wchodzić na mury. Robiłam już nie takie rzeczy, wspinałam się nawet na prawdziwe góry. Jak pan sam stwierdził, panie Sugrin, jestem dobra.

Uśmiechnął się blado.

- Dostać się tam nie jest problemem, jeśli jest pani naprawdę dobra. Strażnicy pozwolą na to. Nie znaczy to, że otworzą skarbiec i powiedzą: „Proszę brać”. Niemożliwe jest wydostanie się stamtąd. Alarmy, strażnicy-demony... nie, to niewykonalne. Złapią panią, a śmierć będzie czymś bardzo pożądanym.

- Więc może nie będzie tak źle - stwierdziła. - Mam ukraść tylko jedną rzecz, a gdy to zrobię, nie będę musiała uciekać. Klejnot przeniesie mnie w jednej chwili do mojego kupca.

- Magiczny kamień - powiedział po namyśle. - Hmm, może. Ale ryzyko i tak jest zbyt wielkie. Zamku strzeże mnóstwo czarów. Bezpieczniej jest udać się do któregoś z południowych królestw, obłowić się i żyć w luksusie.

- Przemyślę pańską radę - odparła. - Jednak na wypadek gdybym się zdecydowała, potrzebuję sprzętu, a jestem tu obca. Gdzie mogę go zdobyć?

- Oczywiście w siedzibie Gildii - odparł. - Pozwoli pani, że skończę posiłek, a potem zaprowadzę tam panią. To niedaleko. Powinno być otwarte o tej porze.

Zjadł ze smakiem i uparł się, że zapłaci rachunek. Ponieważ domyślała się, że rada i ekwipunek z Gildii Złodziei nie będą bezpłatne, nie protestowała.

Wyszli w ciemność. Po ulicach kręciło się całkiem sporo ludzi, ale Sugrin zabrał ją z dala od hałaśliwych barów i spelunek w stronę małej dzielnicy magazynów obok przystani. Ani na chwilę nie przestawał mówić o swojej filozofii życiowej, miłości, zabawie i niebezpieczeństwie. Kiedy skręcili w wąską boczną uliczkę między dwoma dużymi, dwupiętrowymi magazynami zbożowymi, zrobiła się trochę niespokojna i podejrzliwa. - Powiedział pan, że to niedaleko.

- Istotnie - odparł gdzieś z tyłu. - To ten dom na końcu jasno oświetlonej ulicy na wprost nas. Po obu stronach stoją gargulce z pochodniami w pyskach.

Zobaczyła budynek, ale zauważyła coś jeszcze.

- To ta sama ulica, przy której jest gospoda!

Odwróciła się i w tej samej chwili została przyparta do muru, a na gardle poczuła ostrze noża. Sugrin Paibrush uśmiechał się w ciemności.

- Masz rację, dziewczyno! - zgodził się. - To zadanie jednak nie jest dla ciebie. Kradzież sakiewek, oszustwo, może mały bank, ale nie zamek, co to, to nie. Jeśli wyjmiesz i rzucisz mi sakiewkę, będziemy kwita. Ja uchronię cię przed losem gorszym od śmierci, a jednocześnie wezmę sobie nagrodę za moją dobroć. Tylko spokojnie! Nie chciałbym poderżnąć tak ładnego gardła!

Westchnęła i przekłęła się w duchu za łatwowierność. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek jest na swój sposób uczciwy. Puści ją, jeśli dostanie pieniądze, a zabije, jeśli mu nie odda ich dobrowolnie. I będzie się czuł wspaniale, że spełnił taki dobry uczynek.

Zaczęła odwiązywać sakiewkę. Nagle zrobiła krok w bok, chwyciła dłoń ze sztyletem i okręciła rozbójnika. W mgnieniu oka wykorzystała moment, kiedy stracił równowagę, zaparła się o mur i błyskawicznie wyrzuciła nogę w powietrze, trafiając go prosto w brzuch. Osunął się i wypuścił mieczyk, który z brzękiem upadł na chodnik. Szybko przeskoczyła nad leżącym, lądując po drugiej stronie i jednocześnie wyciągając swój sztylet. Uklękła i przycisnęła mu nóż do gardła, zanim doszedł do siebie.

Paibrush był oszołomiony nie tyle samą walką, co łatwością, z jaką zmieniła się sytuacja. Nie mniej zaskoczona była Jill McCulloch, która nie miała pojęcia, jak wykonała wszystkie manewry, i nadal nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Najwyraźniej Yoni miała niewiarygodny instynkt samozachowawczy, który dorównywał jej umiejętnościom i zręczności.

- A teraz, panie Sugrin, dokończymy kradzieży - oznajmiła triumfalnie, nadal

przyciskając sztylet do jego szyi. - Proszę odwiązać swoją sakiewkę i rzucić ją na prawo, obok broni.

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wykonał polecenie.

- Ostrzegam, że równie dobrze rzucam sztyletem, jak nim władam - uprzedziła. Następnie puściła go i błyskawicznie skoczyła w stronę sakiewki.

Paibrush wstał niepewnie. Na jego twarzy w dalszym ciągu malowało się zaskoczenie i zakłopotanie.

- Partacz! - powiedział do siebie z niesmakiem. - Dwadzieścia dwa lata w tym fachu i daję się okpić!

Roześmiała się. W tej chwili nie stanowił zagrożenia, ale mógł być niebezpieczny. Wzięła do ręki jego mieczyk - świetną, dobrze wyważoną broń, zadziwiająco lekką, jakby wykonaną z aluminium, ale z ostrzem twardym jak ze stali.

- A teraz, sir, proszę zdjąć kurtkę i spodnie - rozkazała.

- Co takiego? - zapytał wstrząśnięty.

- Ubranie. Może pan zatrzymać kapelusz i buty. Nie chcę, żeby się pan przeziębził. Resztę proszę zdjąć i rzucić mi. Natychmiast! Albo nie będzie pan musiał już nigdy tego robić.

Zdjął koszulę, obnażając owłosioną pierś, ale ociągał się ze zdjęciem spodni. Jak się domyśliła, na tym świecie nie znano bielizny. Cofnęła się i spojrzała na zmieszanego nagiego mężczyznę.

- Nieźle - stwierdziła.

- Ale... proszę posłuchać! Nie może mnie pani tak zostawić! - zaprotestował.

Zaśmiała się.

- Nie chcę, żeby ktoś za mną szedł, kiedy będę dzisiaj w nocy wykonywała zlecenie. Zwłaszcza ktoś, kto żywi do mnie urazę. Będzie miał pan zajęcie, szukając prześcieradła albo worka po ziemniakach. Zostawię ubranie w Gildii.

To przeraziło go najbardziej.

- Nie! Proszę! Niech je pani wrzuci do rynsztoka, do zatoki, ale nie zanosz do Gildii! Nie przeżyłbym upokorzenia - błagał.

Znowu się roześmiała i podniosła łup.

- No dobrze, pod latarnią na ulicy. Powodzenia i dziękuję, sir Sugrin, za pomoc.

Obserwował, jak odchodzi. Kiedy rzuciła ubranie po drugiej stronie skrzyżowania i pomachała na pożegnanie, przyszła mu do głowy refleksja, która złagodziła wstyd. Ona naprawdę jest dobra. Może się jej udać...

Miał nadzieję, że nikt nie ukradnie mu ubrania do czasu, kiedy ulice opustoszeją i będzie mógł po nie pójść.

3

Kwaterna Gildii Złodziei była znana wszystkim w mieście pomimo braku wywieszek. Według słów Paibrusha miejscowe władze tolerowały ów stan rzeczy, ponieważ w ten sposób miały kontrolę nad złodziejami i często same korzystały z ich usług. Jednak budynku, podobnie jak zamku, chroniły specjalne czary. Ci, którzy nie mieli znaku na ręce, nie mogli do niego wejść. Zaś jako miejsce zebrań złodziei było to prawdopodobnie najbezpieczniejsze i najlepiej strzeżone miejsce w okolicy.

Jill weszła bez kłopotów. Po drugiej stronie ulicy zauważyła dwóch mężczyzn. Jeden opierał się o latarnię, a drugi udawał, że ogląda wystawę. Widok policjantów nie zrobił na niej wrażenia. Od momentu, kiedy przybyła do miasta, wiadano, że jest złodziejką. Paibrush powiedział jej, że ci, którzy przybywają do siedziby Gildii, opuszczają ją z tym, z czym przyszli, oczywiście z wyjątkiem pieniędzy. Często stosowano pewną sztuczkę. Ostentacyjnie wkraczało się do budynku, wymykało jednym z wielu sekretnych wyjść, wykonywało robotę, wślizgiwało z powrotem i wychodziło głównymi drzwiami. Doskonałe alibi.

Sam budynek nie różnił się od dziesiątków małych biurowców. W holu siedziała recepcjonistka, która obsługiwała pocztę pneumatyczną, wysyłając wiadomości do różnych wydziałów. Na ścianie wisiał spis pokoi i duża tablica z wiadomościami typu „Jestem tutaj”, informacjami o aresztowaniach i wyrokach, a nawet ogłoszeniami o pracy. „Formuje się załoga piratów. Preferowani barbarzyńcy, wymagane doświadczenie żeglarskie.”

Ze spisu wynikało, że Gildia dzieli się na poszczególne wydziały : Kradzieży Kieszonkowych i Rozbojów, Szantażystów, Rozbójników i tak dalej. Jill znalazła Wydział Włamań i Wielkich Kradzieży. Można tu było uzyskać pomoc w zrobieniu wywiadu, wyposażeniu w sprzęt, opracowaniu planu lub zlecić jego sporządzenie, otrzymać porady i przechować skradzione rzeczy, a także sprawdzić stan zagranicznych kont numerycznych, złożyć depozyty, zlikwidować rachunek. Sieć organizacyjna była niewiarygodnie rozbudowana.

Istniała także rada do spraw honoru i etyki, komisja dyscyplinarna, a także dział

socjalny zajmujący się imprezami sportowymi, bankietami i tym podobnymi rzeczami.

I co tu mówić o zorganizowanej przestępczości, pomyślała czytając listę.

Na szczęście dla porządnych obywateli wykrywalność przestępstw była duża, a tortury i śmierć znajdowały się na porządku dziennym, o czym świadczyła długa lista „In Memoriam”. Nie istniał wyrok od roku do pięciu lat w łagodnym więzieniu z możliwością przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie. To dawało do myślenia.

Sprawna recepcjonistka skierowała ją do właściwego wydziału. Jill trafiła najpierw do młodego urzędnika, który wyglądał raczej jak początkujący kasjer w banku.

- A gdzie się pani wybiera? - zapytał uprzejmie.

- Do zamku Zondar.

- Zapewne pani wie, że zamek to ryzyko trzeciego stopnia? - Nabazgrał coś na pięknym papierze firmowym z tekstem angielskim i niemieckim.

- Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa - zapewniła go.

Wzruszył ramionami.

- Niebezpieczeństwo nie jest największym problemem. Chodzi o niskie prawdopodobieństwo powodzenia. Będzie pani musiała z góry uiścić pewne podstawowe opłaty na pokrycie naszych wydatków i nie obejmie pani ubezpieczenie na życie i za leczenie szpitalne.

- Spodziewałam się tego - odparła zgodnie z prawdą. - O jakich opłatach mówimy?

Wziął następny blankiet i liczydło. Zaczął pracowicie liczyć. Kilka razy przerywał, by zadać dodatkowe pytania.

- Zwykle włamanie czy określony cel?

- Określony cel - odpowiedziała.

Pokiwał głową.

- To trochę lepiej. Jeden przedmiot? Dzieło sztuki dla prywatnego kolekcjonera? Dostanie pani sporą zniżkę, ponieważ nie będzie pani musiała płacić za przechowanie towaru, za transport i przemyt.

- Coś w tym rodzaju. Talizman, który ma wartość tylko dla mojego zleceniodawcy.

- Mały?

- Bardzo - odparła.

Wyglądał na jeszcze bardziej zadowolonego. Naniósł pewne poprawki. Wreszcie

skończył i podał jej formularz.

- W porządku. Ogólny plan miejsca, dwadzieścia. Rozmieszczenie wart, podstawowe czary i nadnaturalni strażnicy, trzydzieści pięć. Liny, haki, sprzęt wspinaczkowy, czary zwiększające jego skuteczność, dwadzieścia pięć. Magiczne odstraszacze, dziesięć. To standardowy zestaw, proszę na niego zbytnio nie liczyć. Sama pani rozumie, że jest wiele niewiadomych, zważywszy na odsetek niepowodzeń. Dopłata za ryzyko, sto. Razem dokładnie sto dziewięćdziesiąt plus pięć procent podatku, czyli sto dziewięćdziesiąt dziewięć pięćdziesiąt, płatne w kasie w pokoju numer dwanaście.

- Podatek? - powtórzyła z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami.

- Miejscowe władze nie mają tutaj wstępu, więc nie mogą oszacować podatku od nieruchomości. Idziemy na ustępstwo, przyjmując ich stawkę podatku od sprzedaży. Proszę się nie martwić. Nie można sprawdzić, kto zapłacił podatek.

Wzruszyła ramionami i westchnęła. Nie takie miała wyobrażenie o przestępstwie.

W sakiewce Yoni było tylko dwadzieścia dziewięć złotych monet. O wiele za mało. Na szczęście ukradziona Paibrushowi zawierała siedemdziesiąt pięć. Wystarczyło na wszystkie opłaty i jeszcze zostałoby na dobrą kolację, gdyby miała na nią ochotę. No cóż, pomyślała, jeśli zdobędzie klejnot, nie będzie potrzebowała złota, a jeśli nie, prawie na pewno nie będzie potrzebowała pieniędzy.

Udała się następnie do pokoju numer dwanaście, biorąc ze sobą formularz z przemyślnie zakodowanymi pozycjami do zapłacenia. Kasjer wziął od niej pieniądze, przeliczył i wystawił rachunki za każdą usługę z osobna, umieszczając na każdym podpis i woskową pieczęć.

- Proszę iść kolejno do wskazanych pokoi - poinstruował ją.

Jill westchnęła i ruszyła do wyjścia. Czuła się, jakby załatwiała prawo jazdy, a nie przygotowywała włamanie.

Najpierw poszła do Działu Projektów. Ku swojemu zaskoczeniu dowiedziała się, że mają plany zamku. Kierowniczką zauważyła jej reakcję.

- Dlaczego nie? Przecież zbudowanie zamku trwa całe lata, w wypadku Zondaru czterdzieści sześć, a w tym czasie można ukraść najlepiej strzeżone projekty.

Miała rację.

Kobieta zaproponowała hipnozę ułatwiającą zapamiętanie rozkładu zamku, ale Jill odmówiła. Obawiała się skutków, a poza tym opłata wynosiła dziesięć sztuk złota,

których nie miała.

Plany były dość dobre. Ukazywały właściwe korytarze w labiryncie zamku i większość pułapek. Ich znajomość umożliwiała swobodne poruszanie się w środku. Mieszkało tam na stałe parę osób, ale w ciągu dnia pracowało około dwustu. Jill wyraziła zdziwienie, że któryś z tych pracowników nie okazał się złodziejem, ale urzędniczka wyśmiała ją.

- Zanim wyjdą do domu, rzuca się na nich hipnotyczny czar, żeby wymazać pamięć. Poza tym, pracując dla rządu, można ukraść znacznie więcej, więc po co sobie zadawać trud?

I tym razem trafiła w sedno.

Zadowolona, że ma najważniejsze informacje i nie powinna popełnić błędu, wybierając niewłaściwe drzwi lub korytarz, Jill podziękowała kobiecie i ruszyła dalej.

Tym razem trafiła na chudego starszego mężczyznę, który przypominał raczej aktora szekspirowskiego niż urzędnika takiej instytucji. Pracowali w niej różni ludzie. Jill zastanawiała się, czy zatrudniani są tutaj byli złodzieje, czy też jest to po prostu zwykła praca biurowa dla tych, którzy nigdy sami nie musieli podejmować ryzyka.

Mężczyzna kierował działem szkoleń. Przywitał ją i podszedł do dużej szafy z aktami, poszperał w szufladzie i wrócił z grabą teczką.

- Akta dotyczące zamku Zondar trzymamy na wierzchu, ponieważ wszyscy chcą o nim się czegoś dowiedzieć - wyjaśnił melodyjnym barytonem. - Jednak niewielu korzysta z tych informacji. - Zrobił przerwę. - Wejdzie pani po urwisku?

- Tak - odparła. - Interesuje mnie tylko wieża, a dokładnie Sala Śpiącego.

Krzaczaste siwe brwi uniosły się w górę.

- To interesujące - stwierdził. - Cóż, proponujemy pani udać się prosto na wieżę. To oznacza dodatkowe pięćdziesiąt metrów trudnej wspinaczki, ale w ten sposób omija się wiele pułapek. Na szczycie wieży jest stanowisko strażnika, a u jej podstawy, po dachu zamku chodzą patrole. Na samej wieży proszę skierować się jak najdalej na prawo. W ten sposób ukryje się pani przed wzrokiem znajdujących się niżej wartowników. Nie ma żadnych skrótów. Można się dostać do środka dopiero na samej górze.

Jill spojrzała na szkice. Stwierdziła na głos, że będzie musiała wspinać się prawie sto dziesięć metrów po stromej ścianie urwiska, z czego ostatnie pięćdziesiąt po zaokrąglonej powierzchni.

- To prawda - przyznał urzędnik - ale potem będzie pani musiała zejść tylko dwa

poziomy w dół zamiast iść w górę czternaście, ryzykując uruchomienie alarmów lub spotkanie z istotami groźniejszymi od ludzi. Strażnik na wieży obsługuje latarnię morską i jest jedynym człowiekiem, z którym będzie miała pani do czynienia, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Strzeże przed atakiem z powietrza. Czarownicy potrafią robić różne ciekawe sztuczki, czasami tak proste jak latający dywan. Paliwo do latarni jest starannie odmierzane, by wystarczało na dokładnie dziesięć minut, po czym mechanizm należy na nowo uruchomić we właściwej kolejności. W przeciwnym razie światło gaśnie i wtedy zaczyna się piekło. Wieżę okrążają dwa gigantyczne głodomory. Nie atakują, dopóki latarnia działa, ale niech tylko światło zgaśnie, wtedy materializują się i pożerają intruzów.

Przełknęła ślinę.

- Co to za stwory?

Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Amorficzne, stworzone przez czary istoty, które żywią się ludzkim mięsem. Chce pani jeszcze jakichś szczegółów? Tylko tyle potrafię powiedzieć. Nie znam nikogo, kto spotkałby się z nimi i przeżył.

- To wystarczy - zapewniła go. - Więc światło musi się palić, dopóki nie znajdę się w środku wieży?

- Przez cały czas, jeśli zamierza pani się stamtąd wydostać - odparł. - Strażnik jest zapewne zwykłym znudzonym człowiekiem. Proszę zaczekać na murze, dopóki nie przyjdzie i nie zapali na nowo latarni. Wtedy niech pani wejdzie na wieżę i wśliznie się do środka, starając się, żeby pani nie zauważył.

Na koniec udzielił jej jeszcze kilku praktycznych rad.

- Proszę mi powiedzieć - zaczęła z wahaniem - jak pan ocenia moje szanse.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Z dostaniem się do środka nie powinna mieć pani kłopotów. Podobnie jak z wejściem do Komnaty Śpiącego. Jeśli chodzi o znalezienie tego, czego pani szuka, cóż, kto wie? Jeśli owa rzecz tam jest, prawdopodobnie ma pani spore szanse. Jednak z wydostaniem się może być kiepsko. Za to, że uda się pani zejść po murze i dotrzeć do miasta, nie dałbym złamanego grosza.

To właśnie chciała usłyszeć. A więc największym problemem była ucieczka. Strażnicy, zarówno ludzie jak i nadnaturalne istoty, mieli przede wszystkim za zadanie łapać tych, którym już udało się wdrzeć do środka.

Z tym że ona nie będzie musiała uciekać.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

W Dziale Czarów i Uroków odbył się krótki wykład na temat podstawowych czarów - na szczęście, zachowanie ciszy, zmylenie pogoni i tym podobne. Była zachwycona, kiedy wypróbowała parę i zadziałały. Ostrzeżono ją jednak, że po pierwsze uroki nie są panaceum, a po drugie, wymagają skoncentrowania siły woli, co może się okazać niemożliwe, jeśli jest się otoczonym przez uzbrojonych, gotowych na wszystko strażników.

Krzyż odstraszał wampiry będące chrześcijanami i oczywiście tylko wówczas, gdy miało się okazję go wyciągnąć. W zamku wprawdzie nie było wampirów, ale przykład służył wyjaśnieniu zasady.

Sprzęt do wspinaczki okazał się doskonały i dostosowany do rodzaju skały. Haki, na przykład, mocowało się klejem wytrzymującym obciążenie do stu kilogramów, dzięki czemu unikało się hałasu związanego z wbijaniem ich w twardy granit.

Magiczne odstraszacze były zaklęciami, które miały w razie potrzeby chronić przed niebezpieczeństwem.

Jill czuła się dobrze przygotowana, ale zanim szkolenie dobiegło końca, wstał świt. Musiała odłożyć wyprawę do następnej nocy, a nie miała już pieniędzy.

I wtedy doszła do głosu złodziejska natura Yoni, podsuwając proste rozwiązanie. W drodze powrotnej do gospody Jill postanowiła, że zdobędzie gotówkę i jednocześnie wypróbuje sprzęt. Wzięła dwa haki i klej, wysliznęła się przez okno i wspięła po murze do pokoju znajdującego się dwa piętra wyżej. Uchyliła żaluzje, zakradła się do środka - wdzięczna losowi za to, że nie wynaleziono tu szyb - i chwyciła sakiewkę. Na łóżku głośno chrapała otyła para w średnim wieku. Zaryglowali drzwi i zabarykadowali je krzesłem, ale na nic się to nie zdało.

Gdy wracała do siebie, jeden z haków obluzował się i spadł. Bez trudu sięgnęła do drugiego, ale miała mocne przeżycie. To przekłete żelastwo należało mocować pod właściwym kątem, gdyż inaczej klej nie trzymał. Dopiero w pokoju uświadomiła sobie, że gdyby zawiódł drugi hak, spadłaby z wysokości dobrych dziesięciu metrów na brukowaną ulicę.

Ta myśl nie pozwalała jej zasnąć. Sto dziesięć metrów wspinaczki z tymi hakami.

W końcu jednak zapadła w sen.

Następnego wieczora głośno było o kradzieży w gospodzie. Ponieważ jednak para nie miała pewności, gdzie ją obrabowano - Jill zostawiła w sakiewce parę monet, doprowadziła wszystko do porządku i usunęła haki, a klej zniknął, kiedy wyszeptała zaklęcie - na nikogo nie rzucono podejrzeń. Policja wykonała rutynowe czynności mimo przekonania, że głupi turyści, którzy dla dreszczyku emocji postanowili zatrzymać się w znanej melinie złodziei, dostali to, na co zasłużyli.

Jill rozglądała się za Paibrushem, ale nie pojawił się. Zaczęła nawet trochę się martwić. Gdyby był mściwy, mógłby donieść na zamek o jej planach i podać rysopis. Stanowiłoby to pogwałcenie złodziejskiego kodeksu honorowego i wpędziłoby go w straszne kłopoty, ale tylko wtedy, gdyby przeżyła wyprawę i złożyła skargę. Nie wyglądał na takiego człowieka, lecz nigdy nic nie wiadomo. Miała więc dodatkowe zmartwienie.

Wkrótce po wschodzie słońca udała się do siedziby Gildii po ostatnie wskazówki, a także, żeby się poskarżyć na jakość sprzętu. Dostała wykład o czystych gładkich powierzchniach - gospoda była zbudowana z cegieł, a nie z granitu - i komentarz, że ktoś, kto używa kleju przeznaczonego do granitu na porowatych kamieniach, zasłużył sobie na nauczkę. Jill zmieniła temat.

W siedzibie Gildii było więcej wyjść niż w mrowisku. Wszystkie podziemne. Wydawało się jej, że idzie kilometrami za starym przewodnikiem po nie kończących się schodach. W końcu dotarli do stóp urwiska, które znajdowało się tuż pod zamkiem.

Haki, wykonane z tego samego lekkiego lecz twardego stopu co miecze, miała w plecaku. Była pewna, że w jej świecie nie istnieje taki materiał. Zapewniono ją, że wystarczy ich na całą drogę. Klej przypominał kit. Już wcześniej nałożono go na haki. Podobno nie powinien odpaść i nie przyklejał się do niczego innego z wyjątkiem skały. Zinstytucjonalizowana zbrodnia miała jednak swoje zalety.

Przewodnik życzył jej powodzenia i szybko odszedł. Została sama pod urwiskiem. Jedyne oświetlenie stanowił sierp księżycy i latarnia morska. Jill poczerzyła twarz, wciągnęła czarne rękawiczki wykonane z jakiegoś gumowanego materiału. Nie ślizgały się.

Wspinaczka okazała się stosunkowo łatwa i zgodnie z obietnicą Działu Ekwipunku klej nie zawiódł. Uważnie sprawdzała każdy hak, zanim się nad nim podciągnęła. Każdy miał prawie metr długości, przypominał raczej rurkę i był łatwy w obsłudze.

Kilka razy zabrzączały w plecaku i choć wydawało się jej, że ktoś musiał to usłyszeć, nie podniósł się żaden alarm. Ani przez chwilę nie bała się, że spadnie. Wspinaczka była łatwiejsza od wielu gimnastycznych ewolucji, które wykonywała w życiu i dużo łatwiejsza niż chodzenie po górach Alaski. Żadnego śniegu, wiatru i rozrzedzonego powietrza.

Powoli i spokojnie weszła na mur w ciągu godziny. Kilka razy widziała głowy i ramiona strażników uzbrojonych w coś, co wyglądało na kusze. Jeden nawet wyjrzał za mur, ale nie zauważył jej.

Zgodnie z radami Jill przeszła na prawą stronę wieży, która wychodziła na morze. Mogła teraz iść prosto w górę, nie bojąc się, że zobaczą ją wartownicy. Było jednak jasno jak w dzień, gdyż w oknach wieży paliły się światła, przez co czuła się jak na patelni. Wiele zależy od szczęścia, pomyślała.

I szczęście jej nie opuszczało. Dotarła na szczyt wieży w ciągu następnych dwudziestu minut. Raz upuściła hak, ale hałas został zagłuszony przez ryk oceanu.

Sama latarnia była gigantycznym wypolerowanym lustrem, przed którym płonęła oliwa, wydzielając od czasu do czasu duszący dym. Lustro obracało się na tarczy ciągniętej przez wołu. Było zagadką, jak sprowadzono tutaj zwierzę. Wszędzie leżały odchody wołu, ale nigdzie nie było widać koryta ani poidła.

Strażnik, którzy rzeczywiście wyglądał na znudzonego, ziewał chodząc za wołem. Jedyń jego broń stanowił miecz.

Jill zatrzymała się tuż pod szczytem wieży, nasłuchując i próbując po odgłosach zorientować się w sytuacji. Człowiek musiał iść za zwierzęciem, żeby nie zostać stratowanym, gdyż było tam niewiele miejsca. Poza tym w ten sposób mógł choć trochę zasłonić się przed dymem i gorącym płomieniem.

W pewnym momencie mężczyzna odszedł na bok, żeby poruszyć dźwigniami i dopompować paliwo do zbiornika latarni. Zrobił to szybko ze względu na żar i niewygodę. Jill z uwagą obserwowała kolejne czynności.

Wydawało się, że zbiornik latarni nigdy się nie wyczerpie. Równie trudno jest zauważyć moment, kiedy woda zaczyna wrzeć w garnku. Jill rozboleły mięśnie rąk i nóg, a wyobraźnia - przynajmniej miała nadzieję, że to tylko wyobraźnia - podsunęła obraz obluzowującego się haka. Zachowała jednak spokój i kiedy mężczyzna poszedł znowu uzupełnić zbiornik, podciągnęła się na mur i stanęła przed wołem, który spojrzał na nią, lecz nie przerwał monotonnego marszu. Przesunęła się cicho do przodu, żeby strażnik jej nie zobaczył. Od latarni biło straszliwe gorąco. Jill

natychmiast zaczęła się pocić.

Gdy mężczyzna wrócił na swoje miejsce, położyła się i szybko przeczołgała do wejścia na kamienne schody. To będzie trudne, pomyślała. Nic więcej nie mogła jednak zrobić. Przez chwilę będzie musiała znaleźć się w odległości dwóch metrów od płomienia.

Korzystając z lustra jako osłony, wstała szybko i ruszyła w stronę schodów. Żar był nieznosny. Sądziła, że nie wytrzyma dłużej niż kilka sekund. Trafiła jednak do wyjścia i przystanęła, żeby złapać oddech i ochłonać. Była oblana potem i czuła się, jakby miała wysoką gorączkę. Na szczęście nie zajęła się ogniem.

W dole panowała ciemność. Tylko słup światła wpadał przez otwór. Widziała podstawę tarczy obrotowej i słyszała skrzypienie oraz kroki zwierzęcia i człowieka tuż nad głową. Nie włączył się alarm.

Żadna istota ludzka nie wytrzymałaby długo takiej pracy, jaką wykonywał operator latarni. Jill była pewna, że strażnicy często się zmieniają, może nawet co godzinę lub dwie. Zamierzała poczekać na schodach na zmianę warty.

Nie musiała czekać długo. Najpierw usłyszała hałas w dole, potem szczykanie łańcuchów i odgłos otwieranej bramy. Już była wyczerpana, lecz zmusiła się do działania.

W dole ukazała się pochodnia. Kiedy Jill zobaczyła trzymającą ją rękę, ruszyła szybko w górę, oceniła odległość od tarczy obrotowej, skoczyła i chwyciła się jej obiema rękami. Poczowała ciepło i zauważyła, że tarcza jest wykonana z grubego drewna. Gdyby była z metalu, z pewnością nie dałoby się jej utrzymać. Musiałaby obmyślić inny plan.

Obróciła się wolno razem z latarnią i czekała niespokojnie, aż minie ją mężczyzna z pochodnią, która na krótką chwilę oświetli szczyt wieży. Jill miała nadzieję, że mężczyzna nie rozgląda się czujnie, gdyż nie spodziewa się niczego niezwykłego.

Istotnie. Był wysoki i chudy, ubrany jak inni. Wyraz jego twarzy świadczył, że z niechęcią idzie do pracy. Wisząc w ciemności, przeżyła chwilę napięcia, kiedy zatrzymał się tuż pod otworem, żeby zaczekać, aż wół znajdzie się między nim a płomieniem. Na szczęście patrzył w górę na latarnię, a nie na nią. W końcu ją minął. Ramiona bolały i dokuczało gorąco, ale nie poddawała się.

Strażnik na wieży nie ociągał się z przekazaniem służby i nie rozmawiał wiele ze zmiennikiem. Po minucie czy dwóch zszedł na dół po schodach, trzymając pochodnię.

Był zbyt zacadzony dymem i wymęczony żarem, żeby rozglądać się za nieproszonymi gośćmi. Przeszedł obok niej. Po kolejnym obrocie znalazła się nad schodami, wdzięczna za nikłe światło pochodni i latarni. Zgodnie z oczekiwaniem skrzywienie tarczy zagłuszyło jej kroki. Ruszyła za strażnikiem w bezpiecznej odległości.

Na pierwszym podejściu znajdowała się żelazna brama. W świetle pochodni ukazało się kilka par drzwi. Mężczyzna zdjął z pasa duży klucz. Hałas zaniepokoił istoty znajdujące się w pomieszczeniach. Usłyszała mamrotanie, syczenie i stukanie, jakby armia upiorów i innych stworzeń domagała się wypuszczenia na swobodę. Przestraszyło ją to śmiertelnie, ale najwyraźniej nie zrobiło wrażenia na mężczyźnie.

Jill zwróciła uwagę, że strażnik ma tylko jeden klucz, więc założyła, że jeśli są jeszcze inne bramy, ów klucz pasuje do wszystkich. A to oznaczało, że musi go zdobyć.

Nie miała dość siły, żeby znokautować strażnika hakiem jak maczugą. Pozostawał sztylet. Wyciągnęła go i zawahała się, słysząc w głowie głos Mogarta dobiegający z innej przestrzeni i czasu.

„Zabiliście kogoś? Sądzicie, że potrafilibyście to zrobić? Gdyby to mogło powstrzymać katastrofę, a nawet odwrócić wiele z tego, co już się wydarzyło?”

Mężczyzna wsunął klucz do zamka i obrócił. Teraz albo nigdy. Niewinny człowiek wykonujący swoją pracę. Może ma gdzieś żonę i dzieci.

Podobnie jak poprzedniej nocy w bocznej uliczce, odezwał się w niej instynkt. Sztylet powędrował w górę i trafił precyzyjnie w cel. Mężczyzna zeszywniał, krzyknął z zaskoczenia i bólu i runął bezwładnie na podłogę. Oddychał jednak i ruszał się. Nikt na dole i na górze nie usłyszał zamieszania, z wyjątkiem stworów czających się za drzwiami. Wpadły w szal.

Jill przyskoczyła do leżącego, wyrwała mu klucz, a następnie wyciągnęła sztylet z pleców. Był cały zakrwawiony. Wytarła go o ubranie ofiary. Przez chwilę myślała, że zymiotuje.

Wtem ciało zaczęło przechodzić przerażającą transformację. Skurczyło się i szerniało. Oczy zrobiły się czerwone, a twarz zmieniła się w pysk gargulca.

Cofnęła się przerażona. Strażnikowi wyraźnie przybywało sił. Coraz bardziej upodabniał się do gargulca ziejącego czystą nienawiścią i złem, zatracił wszelkie ludzkie cechy.

Zaraz wstanie i pobiegnie za mną! Wyjęła hak i z całej siły uderzyła w odrażającą twarz, potem jeszcze raz i jeszcze! Z rany trysnęła krew i obrzydliwa przezroczysta posoka, stwór wrzasnął i zaraz dołączyły do niego krzyki uwięzionych za drzwiami

istot. Jednak wciąż żył.

Syndrom wampira, błysnęła jej nagle myśl. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, co trzeba zrobić, żeby zabić gargulca. Oczywiście! Tak samo jak wampira!

Przestała zadawać ciosy i wtedy czarna, zakończona pazurami łapa chwyciła ją za nogę. Stwór miał rozplataną głowę i wylupione oko, ale był bardzo żywotny. Ciągnął ją na podłogę. Nie mogła mu się wyrwać, ale zdołała sięgnąć po jego miecz.

Gargulec dostrzegł to zdrowym okiem i warknął, ciągnąc i wykręcając jej nogę. Zamachnęła się mieczem i odcięła mu ramię, ale tylko wzmocnił chwyt! Upadła obok niego. Drugą ręką próbował złapać ją za gardło. Ponownie opuściła miecz, celując w szyję. Trysnęła krew i posoka. Głowa potoczyła się, ale ręka nadal starała się ją dosięgnąć.

Nie zważając na to, wbiła miecz w brzuch przeciwnika. Odcięta głowa krzyknęła w agonii. Ciało wpadło w drgawki i znieruchomiało. Odcięta ręka, która trzymała nogę Jill, zesztyniała, a następnie puściła ją i opadła bez życia.

Wiedziała, że po odcięciu bestii głowy musi wbić w jej ciało drewno lub metal. Poskutkowało.

Była wyczerpana, a ponadto przerażało ją donośne łomotanie w drzwi. Wyobraziła sobie, jak horda żądnych krwi potworów wydostaje się z zamknięcia i rzuca się na nią.

Miała rozoraną pazurami nogę. Mimo bólu nie mogła się wycofać. Nie teraz. Z trudem wstała, kulejąc podeszła do bramy, włożyła klucz w zamek i otworzyła. Następnie zamknęła - ją za sobą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zabrać miecza. Mógł się jej jeszcze przydać. Był niezwykle lekki i dobrze wyważony. Rozmyśliła się jednak. Strażnik zaczął się zmieniać, kiedy wyciągnęła z niego sztylet. Usunięcie miecza prawdopodobnie nie przywróciłoby go do życia, ale nie mogła ryzykować.

Nagle uświadomiła sobie, że zostawiła pochodnię w uchwycie po drugiej stronie, tam, gdzie ją włożył strażnik. Musiała jeszcze raz przejść przez bramę. Zrobiła to ze strachem.

Zauważyła, że w drzwiach są małe otwory, ale postanowiła nie zbliżać się do nich. Miała już dość mieszkańców wieży.

W podłodze znajdowały się kolejne drzwi. Okazało się, że zabranej strażnikowi klucz pasuje do nich. Przez chwilę bała się, że strzegą ich diabły. Jednak otworzyła je cicho, zasunęła za sobą kratę, zamknęła ją na klucz i ruszyła w dół po kamiennych schodach. Skoro stosowano takie środki ostrożności, postanowiła ich przestrzegać.

Na samym dole drogę odcinała trzecia krata, ale ją również dało się otworzyć kluczem. Ludzie z Działu Wyposażenia dali Jill nożyce do cięcia metalu, ale zanim poradziłyby sobie z którymkolwiek z prętów, zrobiłoby się jasno.

To piętro wyglądało całkiem zwyczajnie, ale Jill już niczego nie brała za pewnik w miejscu, gdzie ludzie okazywali się potworami. Nie słyszała tym razem żadnych tajemniczych hałasów. Jeśli informacje otrzymane w Gildii były prawdziwe, Komnata Śpiącego znajdowała się za podwójnymi drzwiami po jej prawej stronie. Przekonała się, że drzwi są zamknięte, a ukradziony klucz nie pasuje. Na szczęście dostała wytrych, podobno uniwersalny. Miała nadzieję, że to prawda. Brakowało jej doświadczenia we włamaniach, więc gdyby wytrych zawiódł, musiałaby chyba porąbać drzwi. Z dołu szybu dobiegały szelesty, skomlenie i pomruki tajemniczych istot. Niektóre rozlegały się bardzo blisko. Pamiętała z planów, że główny skarbiec miasta znajduje się dwa piętra niżej i ciągnie przez trzy poziomy. Miała trochę czasu, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, gdzie się podziewa upiorny strażnik. Jednak głośny hałas mógł sprowadzić pogoń. W napięciu włożyła wytrych do zamka i przekręciła w prawo. Nic. Na moment wpadła w panikę. Teraz w lewo.

Coś szcęknęło.

Ostrożnie otworzyła drzwi, przygotowana na niespodzianki.

Od razu stwierdziła, że nie potrzebuje pochodni. Sala była niewielka, lecz dobrze oświetlona przez lampy oliwne z długimi knotami i zbiornikami ukrytymi za kolorowym szkłem. Pomieszczenie rozjaśniał trochę niesamowity blask. Panował tu nastrój jak w kościele.

W środku nie było żadnych mebli. Po drugiej stronie pokoju wisiały na ścianie grube złożone draperie. Podeszła do nich ostrożnie. Już miała pociągnąć za sznurki, kiedy spostrzegła, że znikają w zamaskowanym otworze w suficie.

Pułapka.

Cofnęła się, zastanawiając się co robić. Cokolwiek znajdowało się po drugiej stronie zasłon, było na tyle ważne, że zasługiwało na ochronę. Rozejrzała się, szukając innych pułapek.

Zauważyła kilka. Podłoga była wyłożona płytkami tworzącymi szachownicę. Każde pole miało około metra kwadratowego powierzchni. Niektóre płytki wydawały się odrobinę wystawać ponad inne, jakby zakrywały sprężyny. Nie mogła się nadziwić, że wcześniej nie nastąpiła na którąś.

Nagle przestraszyła się, że cały pokój jest czymś w rodzaju pułapki, że po

dotknięciu draperii włączy się alarm albo uruchomi zapadnia. Modliła się, żeby tak nie było.

Ponieważ jednak nic się nie wydarzyło, doszła do wniosku, że strzeżone jest tylko pomieszczenie za kotarami. Najprawdopodobniej znajdował się tam śpiący demon. Niezależnie od tego, na jakiej zasadzie działały pułapki, gdzieś znajdował się wyłącznik. Nie mógł być zbyt wymyślny, gdyż demon musiał regularnie otrzymywać narkotyki. Zaczęła szukać.

Nagle zza draperii dobiegł dziwny, niesamowity chichot. Narastał stopniowo, aż wypełnił całe pomieszczenie.

Jill odwróciła się gwałtownie, wyciągając sztylet. Nie zobaczyła nikogo. Powoli i ostrożnie, uważając, żeby nie stanąć na podejrzanym płytkach, zbliżyła się do kotar.

- No dobrze! Wychodź! - rzuciła.

Kotary rozsunęły się i ukazała się alkowa. Na okazałym łożu ze szczerego złota, pod satynowymi prześcieradłami leżał demon. W nogach łoża stała drewniana skrzynia, na której leżało małe pudełko. Na ścianie wisiały dwa skrzyżowane miecze.

Zobaczyła jeszcze coś. Między nią a śpiącym rysowała się w mroku groźna sylwetka.

Był to mężczyzna ubrany w staroświecki, dziwaczny strój, a raczej zaledwie zarys postaci, coś w rodzaju białawej poświaty. Twarz, przypominająca negatyw, zachowała grubo ciosane rysy, które musiała mieć za życia. W miejscu źrenic jarzyły się dwie małe kropki.

- Buu - powiedział duch żartobliwie.

Jill rzuciła sztyletem. Przeleciał przez dziwną postać i utkwiał w ścianie tuż pod wiszącymi mieczami.

Duch obejrzał się i pokiwał głową z aprobatą.

- Niech mnie licho! - wykrzyknął z wyraźnym irlandzkim akcentem. - Świetne oko jak na taką ślicznotkę! - Odwrócił się do niej. - Co cię sprowadza tutaj w środku nocy? Mogę zapewnić, że nie ma tutaj czego kraść.

- Kim jesteś? - zapytała ostro. - I jakie masz zamiary?

Duch zachichotał.

- Zamiary? Jestem duchem Patricka O'Toole, moja droga. Podobnie jak ty, przyszedłem tutaj, żeby poszukać skarbów starego śpiocha, i zostałem. Czekam już pięćdziesiąt siedem lat.

Twarz jej stężała.

- Domyślasz się więc, czego szukam?

Odpowiedział jej donośny śmiech.

- Tak, kochanie, bo kto jak nie duch widzi lepiej, że w tym pięknym ciele kryją się dwie osoby? - O'Toole wskazał palcem na małe pudełko. - Jest tam w całej swej krasie, chociaż niełatwo go ukraść.

- Nie jesteś... nie byłeś z tego świata, prawda? - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - W moim żyją Irlandczycy.

Wzruszył ramionami.

- I w wielu innych, idę o zakład. Nie, nie jestem z tego świata. Kuzyn tego tutaj gościa porwał mnie z szubienicy i sprowadził do zamku. Zakradłem się do tej komnaty i spotkałem kogoś, podobnie jak ty mnie. Biedak tkwił tutaj od ponad wieku i całkiem oszalał. Straszenie jest bardzo nudnym zajęciem. Słudzy przynoszą narkotyki w dzień, kiedy mnie tu nie ma, więc jedynymi ludźmi, których widuję, są włamywacze, a ty jesteś pierwsza!

- Ale nie ukradłeś klejnotu - zauważyła. - Co się stało?

Na widmowym obliczu pojawił się cień uśmiechu.

- Cóż, mój poprzednik był szalony, ale bardzo dobry. Trzeba być dobrym, żeby się tutaj dostać. Tego miejsca strzeże czar. Dusza dostaje się w pułapkę i nie może udać się na ostateczny spoczynek, dopóki inna nie zajmie jej miejsca. Tamten facet przebił mnie mieczem, ale trudno jest zabić ducha, więc utknąłem tutaj.

Po krótkim zastanowieniu znalazła lukę w jego historyjce.

- Ale ty też musiałeś być w innym ciele - zauważyła. - Skoro nie zdobyłeś klejnotu, powinno być was dwóch, a w przeciwnym razie to ten drugi powinien tutaj zostać.

Znowu ujrzała widmowy, lecz czarujący uśmiech.

- To prawda - przyznał - tylko zapomniałaś, że ta druga osoba w tobie tak naprawdę nie bierze udziału w kradzieży. Nie zdobyłem klejnotu i wpadłem w pułapkę. Mój gospodarz zginął, a ja tutaj siedzę, czekając na wybawienie. - Zamilkł na chwilę. - Tobie będzie łatwiej, bo druga osoba w tobie dobrowolnie uczestniczy we włamaniu, w przeciwieństwie do mojego biednego tępaka, który do końca nie wiedział, o co chodzi.

Podszedł do ściany i zdjął z niej miecze.

- Będę więc wolny, a ty dotrzymasz mu towarzystwa do następnej próby kradzieży - dodał.

Uśmiechnęła się krzywo, kiedy zobaczyła, że podaje jej broń. Najwidoczniej reguły

wymagały walki. Duch nie mógł popełnić morderstwa, ale jednocześnie nie można go było zabić, więc to przesądzało wynik pojedynku.

- Dlaczego mnie po prostu nie przebijesz? - zapytała ostro. - Musimy odstawić tę całą farsę?

- Ależ kochanie - rzekł niemal przepraszająco - nie rozumiesz, że to równałoby się samobójstwu, a w konsekwencji losowi gorszemu od utkwienia w tej komnacie. Jak myślisz, skąd się biorą te wszystkie potwory w ludzkich ciałach, które się tutaj kręcą? Poza tym ktoś, kto dotarł tak daleko, zasługuje na walkę, a ja marzę, żeby ją stoczyć po raz ostatni. - Zważył miecze w dłoniach, wybrał jeden, a drugi rzucił jej.

Złapała go, wykonała na próbę kilka ruchów i stwierdziła, że jest to najlepsza broń, jaką kiedykolwiek miała w ręce. Szermierka była jej żywiołem, a poza tym wcale nie musiała zwyciężyć. Wystarczy, jeśli doskoczy do skrzyni i chwyci klejnot.

Duch podchwycił spojrzenie, które rzuciła na pudełko.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - Gdybyś była nieuczciwa, mogłabyś to zrobić. Porwać kamień i uciec, lecz zostanie ta druga, a to mi wystarczy.

Poczuła skurcz serca. Trafił w sedno. Taki miała plan... ale co z Yoni? Zostawiłaby ją swojemu losowi, nawet gdyby nie było tu O'Toole'a. Biedna dziewczyna musiałaby się wydostać stąd sama, a to zadanie nawet Gildia uważała za niewykonalne.

Najwyraźniej Yoni nie znała całej prawdy. W zakamarkach umysłu usłyszała słabe echo jej gniewu i strachu.

- Muszę to zrobić - powiedziała do ducha, a jednocześnie do Yoni, jakby ją przepraszała. - Mojemu światu grozi zagłada, jeśli nie zdobędę klejnotu. Uratowanie go jest ważniejsze niż czyjekolwiek życie, także moje własne.

O'Toole przyjął postawę szermierza. Jill weszła na podwyższenie za kotarą i stanęła naprzeciwko niego, również gotowa do walki.

Zaczęli. Pierwsze finty miały na celu wybadanie przeciwnika. Szybko jednak zaczęła się prawdziwa walka. Finta! Wypad! Pchnięcie! Odparowanie! Finta! Znowu wypad! Z każdą chwilą nabierali do siebie szacunku.

- Powiedz mi jedną rzecz! - krzyknęła nie przerywając tańca. Starła się podejść jak najbliżej skrzyni, on próbował jej w tym przeszkodzić, oboje zaś manewrowali tak, by ominąć łoże ze śpiącym demonem. - Kto cię tu przysłał? Może nazywa się Mogart?

O'Toole nie stracił czujności, a nawet zaczął ostrzej atakować.

- Nie, panienko, nie znam żadnego Mogarta. To był kusiciel Teritus, niech jego diabelska dusza będzie po tysiącokroć przeklęta!

Poczuła się lepiej. Natarła ze zdwojoną energią. Wprawdzie przeciwnik był bezcielesny, lecz miecz materialny i władanie nim wymagało siły, więc ten pojedynek nie różnił się od innych. Co gorsza, nawet gdyby trafiła O'Toole'a prosto w serce, nie zrobiłaby mu krzywdy, a tylko wystawiła się na niebezpieczny kontratak.

- Do diabła z tym wszystkim! - wykrzyknęła i wskoczyła na łożo.

Demon poruszył się i coś wymamrotał, ale nie obudził się.

Manewr zaskoczył O'Toole'a, który właśnie zrobił wypad, więc musiał zmienić pozycję, żeby znaleźć się z nią twarzą w twarz. Wtedy ona zeskoczyła na podłogę. Pozwoliła mu nacierać i sama się cofała, odparowując ciosy i zmierzając ukradkiem w kierunku skrzyni.

Stary duch był pod wrażeniem.

- A niech mnie! Dlaczego o tym nie pomyślałem? - krzyknął na siebie. - Wskoczyć na łożo i na drugą stronę! Co za głupiec z ciebie, O'Toole!

Znalazła się tam, gdzie chciała. Irlandczyk zrezygnował z ataku i pozwolił jej otworzyć pudełko. W środku na żółtej satynie leżał klejnot. Już się obawiała, że go tam nie będzie.

W tym momencie uświadomiła sobie, że duch stoi spokojnie i nie przeszkadza jej! Odwróciła się z uniesionym w pogotowiu mieczem i spojrzała na widmo.

- Dlaczego? - spytała.

Irlandczyk zachichotał.

- Doprawdy, panienko, walczysz jak żaden z moich dotychczasowych przeciwników, lepiej niż znani mi mężczyźni! Nie jestem bez serca. Zasłużyłaś na wygraną, a poza tym potrzebujesz tego świecidełka w szlachetnym celu. Kiedy odejdziesz, będę miał z kim walczyć. Zobaczymy, czy ta druga dziewczyna też jest dobra!

Jill popadła w zamyślenie. Trzymała klejnot w dłoni, a szarmancki i miły duch pozwalał jej odejść za cenę innego niewinnego życia. Nie, gorzej. Skazałaby Yoni na całe wieki uwięzienia ze śpiącym demonem. Musi być jakieś wyjście! Musi być!

O'Toole wyglądał na zdziwionego.

- O co chodzi, panienko? Sumienie? To kiepska rzecz. Zawsze wchodzi w paradę. Zrób to, panienko! Coraz bardziej się niecierpliwię, żeby zerwać pęta. Nie chcę czekać do białego rana i znowu utracić wolność. Zrób to... albo zostań razem z nią! Wybieraj!

Poczuła się jak szczur w pułapce, dla którego jedynym ratunkiem jest oddanie towarzysza kotu na pożarcie. Jednak O'Toole miał rację. Nie mogła zwlekać.

„Przykro mi”, zaczęła mówić do uwięzionej w niej Yoni, kiedy nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł... jedyna możliwość, ryzyko, hazard.

- Przykro mi, O'Toole - powiedziała cicho, a potem krzyknęła szybko: - Klejnocie, zabierz mnie do gospody!

Nagle świat pogrążył się w ciemności. Trzymała w dłoni miecz i użyła go, żeby wymacać drogę.

Założyła, że klejnot posłucha jej rozkazu. Było to bardzo ryzykowne. W razie pomyłki zginęłaby albo została uwięziona gdzieś między światami.

Fakt, że trzymała miecz, świadczył, że nadal jest w ciele Yoni. W ciemności ukazały się jakieś sprzęty. Odnajdując drogę mieczem, natknęła się na ścianę i zaczęła ją obmacywać rękami. Natrafiła na żaluzję i pchnęła ją.

Wyjrzała na ulicę oświetloną przez lampy oliwne.

- O, dzięki Bogu! - szepnęła, osunęła się na podłogę i zapłakała cicho.

W drugiej dłoni ścisnęła klejnot. Spojrzała na niego. Płonął w ciemności.

Zaczął ją parzyć.

- Do widzenia i dziękuję, Yoni Złodziejko - powiedziała na głos. - Niech ci się wiedzie.

Gdzieś w głowie wyczuła ulgę i wdzięczność. Kamień robił się coraz gorętszy. Musiała ruszać, żeby nie zrobił krzywdy kobiecie, którą przed chwilą uratował.

- Zabierz mnie do Asmodeusza Mogarta! - rozkazała.

Pustka wokół niej zmieniła fakturę. Jill pędziła do swojego świata. Tym razem nauczyła się paru cennych rzeczy, chociaż nie sądziła, by się jej kiedyś jeszcze przydały. Przekonała się ponadto, że ludzkie istoty również mogą wydawać polecenia klejnotom.

Dowiedziała się też czegoś o sobie. Miała nadzieję, że nigdy już nie zostanie wystawiona na próbę, gdyż następnym razem może nie być demona w ludzkiej skórze ani czarodziejskiego sposobu ucieczki.

Modliła się, żeby jej oszczędzono najstraszniejszych wyborów.

GLÓWNA LINIA + 2076

Trudno było nie zauważyć Mogarta.

- „Poszedłem do Szpitala Świętego Jakuba” - wyrzaskiwał fałszywie - „odwiedzić moją biedną ukochaną!”

- Mogart! - krzyknęła Jill McCulloch.

Wydawało się, że jej nie słyszy. Niepewnie chwycił szklanke, rozlewając trochę whisky.

- Cholera, nigdy nie pamiętam dalszego ciągu. - Pociągnął duży łyk i rozpromienił się. - Taak - mruknął do siebie. - „Przyjdź do mnie, smutna dziecino!”

- Asmodeuszu Mogarcie! - ryknęła. - To ja! Jill McCulloch! Mam klejnot!

Urwał w pół słowa, uświadomił sobie, że nie jest sam w tej ramie czasowej, obejrzał się i zobaczył ją. Wyszczrzył się głupio.

- Cześć, dziewczyno! Nalej sobie drinka i siadaj!

Poprzednim razem nie opuściła kredowego pięciokąta, więc i tym razem postanowiła nie wychodzić z niego. Podejrzewała, że Mogart musiałby narysować następny, a nie był w stanie tego zrobić.

Uniosła w górę klejnot, który już nie parzył.

- Spójrz, Mogart! Widzisz?

Początkowo nie mógł skoncentrować wzroku, lecz w końcu zobaczył. Uśmiechnął się pijackim uśmiechem, wstał i ruszył w jej stronę z wyraźną trudnością.

- Klejnot! - wykrzyknął zdumiony i zatrzymał się niepewnie kilka kroków od Jill. - To klejnot, prawda?

- Tak - potwierdziła i spojrzała na zegar. Zbliżała się północ. Mogart mylił się co do różnicy czasowej.

Pijany demon wyciągnął rękę po kamień. Nie trafił. Udało mu się dopiero przy

drugiej próbie. Przyjrzał się klejnotowi zamglonym wzrokiem.

- Niech mnie licho - wymamrotał. - Zobaczmy. - Sięgnął do kieszeni za trzecim razem, drugą ręką przytrzymując płaszcz, i wyjął pozostałe klejnoty.

Jill zabiło serce. Cztery! A to znaczyło, że ów mężczyzna, Mac Jakiśtam, też zdobył jeden! Jeszcze dwa i prawie pięć godzin czasu. Uda się im!

Mogart wpatrywał się w lśniącego kamienie, a ona nagle uświadomiła sobie, że zasnął na stojąco.

- Mogart! - krzyknęła z całej siły.

Drgnął.

- Uhm? Co? - wybełkotał i przez chwilę potrząsał głową. - Tak?

- Poślij mnie po następny klejnot! Mamy szansę zdobyć sześć!

Najwyraźniej czynił wysiłki, żeby oprzytomnieć. Udało mu się schować klejnoty do kieszeni za pierwszym razem.

- Szpraszam - wymamrotał. - Wiesz, ja... ee... piję. Chy... chyba nie mogę iść z tobą tym razem. Musisz iść sama. Wszystko popsułem.

- Przecież musisz! - powiedziała błagalnie. - Skąd będę wiedziała, do którego ciała mam wejść albo jakie są zasady?

Wzruszył ramionami.

- To kopia naszego świata. Jest taki sam. Idee, władza i inne takie bzdury. Nie ma tam maszyn, ale za to jest magia. Poza tym wszystko takie samo. Nie musisz mieć innego ciała, bo już tam jesteś! - stwierdził tajemniczo.

Niezbyt się jej to podobało, ale nie miała wyboru.

- Walters! - nagle przypomniała sobie nazwisko mężczyzny. - Jeśli Walters wróci, przyślij go do mnie!

Mogart skinął głową.

- Czemu nie? Idź już. Masz mnóstwo czasu. Jedna godzina to jeden tydzień. Mnóstwo czasu. Theritus lubi dobre życie i jest niebezpieczny. Jak ja. - Wyprostował się, ale sprawiał raczej śmieszne niż groźne wrażenie.

- Asmodeusz, Król Demonów! - zawołał i upadł na twarz.

Szklanka roztrzaskała się, a whisky rozlała po podłodze.

Spojrzał na Jill pijanym wzrokiem.

- Pomożesz mi, zanim odejdziesz?

- Nie powinnam wychodzić z pięciokąta - odparła z powątpiewaniem.

- O nie, nie, nie wychodź - mruknął. - Jeszcze jedno. Znasz może następną

zwrotkę *Szpitala Świętego Jakuba*?

Westchnęła zirytowana.

- Oczywiście, że tak.

- Świetnie! - wykrzyknął triumfalnie. - Teraz idź!

Ciemność.

GŁÓWNA LINIA + 2000

Teren szkoleniowy # 4

1

Nie odważę się wejść na ten poziom - oświadczył Mogart. - Boję się go. To teren szkoleniowy Wydziału Prawdopodobieństw. Nie tak duży jak inne światy, ale bardzo podatny na zmiany. W przeciwieństwie do większości poziomów nie ma tam określonych zasad. Jest tak zaprojektowany, by spełniać wolę użytkownika. Tak więc nie będziesz miał do czynienia ze starym opojem ani wariatem, lecz z kimś, kto jest w pełni władz umysłowych.

- Skoro ten ktoś nie ma żadnych słabości i jeszcze dysponuje klejnotem, będę bez szans - zauważył Mac z niepokojem.

- Wcale nie - odparł demon. - Klejnot nie ma tutaj żadnej mocy. Służy tylko do przenoszenia się na inne światy. Poza tym czy powiedziałem, że brat Abaddon nie ma słabości? Ma ich wiele. Mogą go kiedyś doprowadzić do zguby. Najważniejsza jednak, którą możemy wykorzystać, to skłonność do hazardu. Tylko dlatego podejmujemy ryzyko. On jest uczciwy. Jeśli się z nim założysz, będzie grał zgodnie z zasadami i honorował warunki założone. Strzeż się jednak. Wykorzysta każdą furtkę, jaką mu pozostawisz.

Mac Walters uśmiechnął się gorzko na wspomnienie reguł walki w prymitywnym świecie, który niedawno odwiedził.

- Będę uważał. Powiedz mi tylko, czego mam się spodziewać? Jakie zasady tam obowiązują?

- Nie ma żadnych zasad oprócz tych, które stworzysz siłą woli. Wszystko co

zobaczysz i usłyszysz, powstało w czyjejs wyobraźni. Przekonasz się, że i ty potrafisz. Musisz się tylko skoncentrować i jasno wyobrazić sobie to, czego chcesz. Nie próbuj jednak pojedynku z Abaddonem. On ma za sobą lata treningu i doświadczenia. Najpierw rozejrzyj się i przeprowadź kilka prób. Kiedy uznasz, że jesteś gotowy, znajdź Abaddona i rzuć mu wyzwanie. Zaproponuj walkę o klejnot na ściśle określonych zasadach. Skwapliwie na to przystanie. Reszta, czyli zwycięstwo, zależy od ciebie.

Poziom szkoleniowy wykorzystywano do sprawdzania nowych projektów i teorii, a także prowadzenia kursów doskonalących dla eksperymentatorów. Tym właśnie zajmował się teraz Abaddon.

Mac przeniósł się na teren treningowy we własnym ciele i od razu doszedł do wniosku, że jeśli istnieje piekło, musi właśnie tak wyglądać. Szara nicość ciągnąca się od horyzontu po horyzont. Ziemia, pozbawiona wszelkich cech charakterystycznych, wyglądała jak wyłożona ciemnoszarymi płytkami, ale miała konsystencję ubitej gleby. Nie było księżyca, gwiazd ani słońca, a wszystko oblewała niesamowita poświata szarówki. Gdyby chciał wyruszyć w drogę, widziałby wyraźnie, dokąd idzie, tyle że nie było żadnego „dokąd”...

Nieruchome, ciężkie powietrze wydawało się naładowane elektrycznością, choć nie było tam niczego, co można by zobaczyć, usłyszeć, posmakować, dotknąć. Jakąś cząstką umysłu wyczuwał jednak tajemniczą energię, choć nie potrafił jej zidentyfikować.

Przypomniał mu się wers: „Ziemia zaś była bezwładem i pustkowiem.” Uświadomił sobie, że tak właśnie musiała wyglądać. Oparł się pokusie, by zawołać: „Niech się stanie światło!” Mogart uprzedził go, że nie będzie tutaj sam. Mac bał się, że jeśli coś powie, otaczająca żywa energia spełni polecenie, zdradzając w ten sposób jego obecność.

Zatrzymał się, zastanawiając nad tym, co powiedział Mogart. Energia będzie mu posłuszna, jeśli nauczy się ją wykorzystywać. Trzeba sobie tylko jasno uświadomić, czego się chce. Znajdowały się tutaj wielkie komputery z wszelkimi informacjami potrzebnymi do aktu stworzenia. Wystarczyło sobie wyobrazić drzewo i za chwilę miało się je przed sobą. Oczywiście można było zmienić formułę.

Postanowił, że zrobi mały eksperyment, zanim ruszy dalej. Wyciągnął rękę i powiedział rozkazującym tonem:

- Niech w mojej dłoni znajdzie się jabłko!

Nic się nie wydarzyło.

Przez chwilę czuł się zdezorientowany. Według Mogarta cały proces był bardzo prosty. Myślał gorączkowo, starając się wytropić błąd. Znowu wyciągnął rękę i skoncentrował się.

- Niech się tu pojawi soczysty czerwony macintosh!

Nic. Zaczął się niepokoić. Może Mogart się mylił. Może to dotyczyło tylko demonów albo istniała jakaś magiczna formuła.

Rozluźnił się, wykonał kilka ćwiczeń oddechowych i spróbował oczyścić umysł z wszelkich myśli. Zamknął oczy i wyobraził sobie duże, soczyste, czerwone jabłko. Tylko jabłko. Jabłko w dłoni.

W pewnym momencie odniósł wrażenie, że dotyka go strumień energii. Opłynął mu ramię jak ciepła woda i skupił się w prawej dłoni. Uczucie nie było nieprzyjemne. Nie opierał mu się.

I wtedy poczuł coś w ręce. Otworzył oczy i spojrzał. Trzymał jabłko dokładnie takie, jakie sobie wyobraził. Choć miał nadzieję, że mu się uda, był zdumiony. Wyglądało jak jabłko i było takie w dotyku, a przecież wyśnił je sobie. Ugryzł kawałek.

Cóż, przynajmniej miał pewność, że nie umrze z głodu na tym świecie. Doszedł do wniosku, że najważniejsza jest koncentracja. Musiał wyobrazić sobie przedmiot, który chciał stworzyć, a to ograniczało skalę możliwości do jego własnych doświadczeń i wymagało trochę czasu. W chwili napięcia będzie bezradny.

Zrozumiał teraz, jak dokonywano cudów i magicznych sztuczek. Każdy mógł to zrobić. Czary, formułki i magiczne przedmioty służyły koncentracji. Ominięcie sztucznie ustalonych praw natury mogło okazać się niełatwe. Naruszenie ich zapewne zwracało uwagę stwórców pochodzących z rasy Mogarta. Mac uznał, że wpadł na wyjaśnienie nadprzyrodzonych zjawisk we własnym świecie i może w wielu innych. Ta fascynująca koncepcja mogła mu się jeszcze przydać.

Tutaj, na terenie treningowym, gdzie nie obowiązywały żadne narzucone prawa, droga była otwarta.

Mac poświęcił trochę czasu na ćwiczenia. Nauka nie przychodziła mu łatwo. Miał na nią za mało czasu, jednak wkrótce nabrał pewnej wprawy. Tworzył wprawdzie pojedyncze, lecz całkiem złożone rzeczy, jak na przykład jodłę, która żyła dlatego, że on sobie ją wymyślił. Nie był w pełni zadowolony, ale te małe sukcesy musiały na razie wystarczyć. Nie mógł zwlekać w nieskończoność. Gdzieś w tej bezkresnej pustce znajdował się klejnot.

Mac postanowił ruszyć, ale zaraz stwierdził, że nie wie dokąd. Przeszukał wzrokiem horyzont. Ostatnim razem to Mogart zaprowadził go na miejsce...

I wtedy zobaczył coś. Nikłą poświatę w oddali. Przez chwilę nie był pewien, czy wyobraźnia nie płata mu figla. Mimo to ruszył w tamtym kierunku. Maszerował przez ponad godzinę. W miarę jak zbliżał się do poświaty, coraz bardziej upewniał się, że podjął właściwą decyzję. Stał się czujny.

Przed sobą zobaczył miasto. Wyglądało jak wyjęte ze starego westernu: jedna błotnista ulica, a po obu stronach domy, sklepy, koryta z wodą i koniowiązy. Z dużego budynku, w którym zapewne mieścił się bar, dobiegały dźwięki pianina i ludzkie głosy.

Żałował, że nie ma broni. Nie wiedział, kto jest w mieście - może sam Abaddon. Przystanął, wyobraził sobie pas i rewolwer w futerale, poczuł przepływ energii i na biodrach pojawił się żądany przedmiot. Mac stwierdził jednak, że rewolwer jest kiepski, za bardzo w stylu Dzikiego Zachodu, który narzuciło mu miasto. Jakiej właściwie broni potrzebował? Celnej, wielostrzałowej, lekkiej, łatwej w użyciu i bez silnego odrzutu, którym cechowała się czterdziestka piątka trzymana w dłoni. Spróbował znowu, lecz tym razem zażyczył sobie właściwości pistoletu laserowego, który widział kiedyś na filmie science fiction. Nie miał pojęcia, czy coś takiego w ogóle istnieje, ale to było nieistotne, skoro mógł urzeczywistnić swój pomysł.

Rewolwer zmienił się. Zewnętrznie nadal wyglądał jak z 1880 roku, ale lufa była zaplombowana, a w środku zobaczył coś w rodzaju pręta. Broń wydawała się lżejsza, prawie jak plastikowa zabawka.

Znajdował się jeszcze kawałek od miasta. Spojrzał w prawo, stworzył drewniany słup, wycelował i strzelił. Rozległ się jękliwy dźwięk i z lufy wyleciał promień rubinowego światła. Nie trafił w słup. Mac wycelował dokładniej. Pal rozbłysnął i zniknął.

Mac obejrzał pistolet. Nieźle. Dodał małą dźwignię, która zmieniała funkcję z ogłuszania na dezintegrację. Schował broń do kabury. Zaczynała go bawić cała ta magia. Zadowolony ruszył do miasta.

Wszędzie paliły się pochodnie i lampy naftowe. Otaczały go odgłosy ludzkiej aktywności. Jednak na ulicach nie było ludzi ani zwierząt, chociaż od czasu do czasu słyszał rzenie konia lub szczekanie psa. Czując się jak bohater starego filmu, ruszył w stronę jasno oświetlonego baru, z którego dobiegały śmiechy i rozmowy. Jednak gdy zbliżył się do wahadłowych drzwi, nie zobaczył wewnątrz nikogo. Kiedy wszedł do

środka, wszystkie dźwięki ucichły, ale nie dlatego, iż obecni odwrócili się, żeby przyjrzeć się obcemu.

W sali nie było nikogo. Ani jednej osoby. Na stolikach do gry leżały rozdane karty i pieniądze, w popielniczkach ćmiły się papierosy i cygara, jakby odłożone chwilę wcześniej, a na barze stały do połowy opróżnione szklanki. Koło ruletki wciąż się obracało. Usłyszał, jak kulka wpada w szczelinę.

Co do diabła, pomyślał niespokojnie, rozglądając się wokół.

Obszedł duże pomieszczenie, szukając kogokolwiek. Wszedł na górę i sprawdził pokoje. Znalazł tylko ślady, że przed chwilą byli tutaj jacyś goście.

Zdezorientowany wrócił do pustego baru. Pozory życia przy braku żywej duszy naprawdę odbierały odwagę.

Wyszedł na ulicę. Dziesięć kroków od szynku usłyszał odgłosy ożywionej, lecz normalnej aktywności. Kusilo go, żeby wrócić, ale rozmyślił się.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegł wywieszkę „Kawiarnia”. Poszedł tam i otworzył drzwi. Znowu nie zobaczył nikogo. Na ladzie stały kubki z kawą i innymi, jeszcze gorącymi napojami, a szklanki z zimnymi zachowały temperaturę. Na otwartym ruszcie skwierczały dwa steki. Nie były spalone na węgiel, lecz lekko przyrumienione, jakby ktoś je właśnie przewrócił. Z otworów po widelcu nadal wyciekała krew i sok.

Wystraszył go nagły gwizd. Okręcił się i wyciągnął pistolet, ale zorientował się, że hałas dobiega z czajnika, w którym zawrzała woda.

Chwileczkę, powiedział do siebie nerwowo. Właśnie zawrzała?

Usłyszał, że z sąsiedniego pomieszczenia dobiega szum wody. Pobiegnął tam. Zatrzymał się w drzwiach. Zobaczył pompę, z której spływała woda do zapełnionego do połowy wiadra. A przecież pokój nie miał żadnych wyjść oprócz małego okna, którego najwyraźniej od dawna nie otwierano.

Wrócił do kawiarni, potrząsając głową. Nagle stanął jak wryty.

Steki leżały teraz na talerzu obok rusztu, nadal skwierczące, ale upieczone. Ktoś zestawiał czajnik z ognia.

Za sobą znowu usłyszał pracującą pompę.

Wyszedł szybko na ulicę. Tam czuł się lepiej. Przynajmniej miał widok na wszystkie strony. Nie odnosił wrażenia, że ktoś go obserwuje, lecz wydawało mu się, że jest odizolowany, jakby całe miasto żyło gdzieś obok, nie tam, gdzie on akurat się znajdował.

Na końcu ulicy, z dala od innych budynków, zobaczył mały kościółek. Ruszył w

jego stronę. Dobiały stamtąd odgłosy nabożeństwa, z tym że zamiast pieśni religijnych chór śpiewał coś w rodzaju chorałów gregoriańskich.

A może to jakieś czary?

Dotarł do kościoła, który nie miał na dachu krzyża. Gdy otworzył masywne drzwi, śpiew ucichł, a w środku było pusto.

Odwrócił się z pistoletem w dłoni i obszedł budynek. Msza oczywiście rozpoczęła się na nowo i brzmiała bardzo prawdziwie, choć trochę niesamowicie.

Z jednej strony znajdował się mały cmentarzyk. Mac udał się tam i próbował odcyfrować inskrypcje na surowych, drewnianych płytach. Nie zdobiły ich krzyże, gwiazdy Dawida ani inne symbole religijne. Zaklął pod nosem. Napisy oczywiście były w języku, którego nie potrafił odczytać, nawet alfabet wyglądał bardzo dziwnie.

Westchnął i już miał wrócić do miasta, ale nagle usłyszał jakiś szelest w głębi cmentarza. Obudziło się w nim zainteresowanie i czujność. Po raz pierwszy wyczuł czyjąś fizyczną obecność, kogoś żywego, kto czaił się między nagrobkami i obserwował go.

Nastawił dźwignię pistoletu na funkcję ogłuszania i zaczął ostrożnie iść między rzędami drewnianych nagrobków. Nie widział nic. Było tutaj dość ciemno mimo jednolitej poświaty. Nikt nie palił lamp na cmentarzu. Mac pomyślał chwilę i stworzył małą płonącą pochodnię. Nie dawała dużo światła, ale to wystarczyło. Migoczący płomień, który rzucał cienie na płyty i mury kościoła, dodawał scenerii niesamowitości.

Nagle zza jednej z płyt wyskoczyła mała ciemna postać.

- Stój! - krzyknął Mac i uniósł pistolet.

Postać nie posłuchała ostrzeżenia, więc naprowadził cienki promień na cel i nacisnął spust. Trafił uciekającego, który już zdążył dotrzeć na drugi koniec cmentarza. Na moment otoczenie skąpało się w nieziemskim czerwonym blasku. Ofiara upadła na ziemię i znieruchomiała. Mac niemal pobił rekord szybkości, biegnąc do niej. Kiedy odwrócił ją na plecy, gwałtownie wciągnął powietrze.

To była dziewczyna. Nie kobieta o dziewczęcym wyglądzie, lecz dziewczynka w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat, bosa, ubrana w szytą ręcznie koszulę i spodnie. Włosy miała krótko obcięte, ciemną cerę i lekko orientalne rysy.

Usiadł, żeby poczekać, aż dziewczynka się ocknie. Umieścił pochodnię w zagłębieniu ziemi i trzymał pistolet w pogotowiu. Msza w kościele trwała. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przestaną śpiewać.

Czekał w napięciu jakieś pięć minut. Nie miał pojęcia, jak długo trwa omdlenie. Nie określił tego wcześniej. Z drugiej strony, została pozbawiona przytomności dzięki jego woli, więc tak samo można jej przywrócić świadomość. Popatrzył na nią i rozkazał w myśli, żeby się obudziła.

Poruszyła się, jęknęła i usiadła, potrząsając głową. Rozejrzała się zdezorientowana. Nagle wyczuła jego obecność, powoli obróciła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach pojawiło się przerażenie.

- Nie bój się - uspokoił ją, zadowolony, że znalazł tutaj inną żywą istotę. - Nie skrzywdzę cię.

Na jej twarzy znowu odmalowała się dezorientacja, a strach nie zmniejszył się ani trochę.

- *Bu kasha liu briesto* - powiedziała chrapliwym głosem. Brzmiało to jak błaganie.

- O rany! - rzucił z rozgoryczeniem Walters, choć nie miał podstaw, by się spodziewać, że ktoś tutaj będzie mówił po angielsku. Bardzo chciałby ją zrozumieć.

- *Bu kasha liu* skrzywdzę - odezwała się tym samym błagalnym tonem.

Nagle do niego dotarło. „Skrzywdzę”? Więc może....

- Nie zamierzam cię skrzywdzić - powtórzył.

Najwyraźniej mu nie wierzyła, ale przynajmniej go zrozumiała.

- O mój panie, nie zamierzałam przyjść do waszego świętego miejsca - tłumaczyła z rozpaczą w głosie. - Uciekł mi Duru, mój kurczak, a ja szukałam go i przypadkiem trafiłam tutaj. Wczoraj był tutaj las, a nie miasto. - Rozpłakała się.

Mac uświadomił sobie, że ją rozumie. Co za dziwny świat. Opuścił trochę pistolet.

- Nie mam nic wspólnego z tym miastem - powiedział łagodnie. - Nie wiem nic o tym miejscu, podobnie jak ty. I nie jestem niczym panem.

Ale skoro wczoraj był tutaj las, a dzisiaj miasto, jest to czyjeś dzieło. Abaddon? Prawie na pewno, ale gdzie on może być?

Tak czy inaczej dziewczynka nadal mu nie wierzyła. Czekwała.

- Skąd pochodzisz? - zapytał ją. - Nie widziałem po drodze innych miejscowości.

O ile to możliwe, jeszcze bardziej się przeraziła.

- Jestem z Brobis - odparła, jakby mu to cokolwiek mogło wyjaśnić.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał się. - Nieważne. Co wiesz o tym mieście?

Gdzie są ludzie?

Uspokoila się trochę i spojrzała na niego z ciekawością.

- Naprawdę nie wiesz? Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Mówię poważnie - zapewnił ją. - Nigdy wcześniej nie widziałem tego miasta, nie mam pojęcia, co to jest Brobis ani gdzie się znajduje. Jesteś pierwszą żywą istotą, jaką tu spotkałem.

- Możesz być demonem w przebraniu - stwierdziła - ale jeśli nie, lepiej odłóż tę pochodnię i zmykaj stąd jak najszybciej. Tutaj jest demon. Zaczaruje cię, ukradnie ci duszę i wykorzysta jako zabawkę.

Postanowił częściowo skorzystać z tej rady. Rozkazał pochodni zniknąć.

Dziewczynkę na nowo ogarnęło przerażenie.

- Jesteś jednym z Nich! - szepnęła. - Szkoda, że nie słuchałam taty!

- Nie, nie jestem jednym z Nich, kimkolwiek są - zapewnił, chcąc ją uspokoić. - Nie jestem demonem. Jestem człowiekiem jak ty. Możesz mnie nazwać... czarnoksiężnikiem.

- Czarnoksiężnicy otrzymują moc od demonów - odparła. - To przecież to samo.

W pewnym sensie miała rację. Bez Mogarta nie byłoby go tutaj. Na dłoni nosił jego znak.

- Niektóre demony nie są takie złe - powiedział. - Ten, dla którego pracuję, nikogo by nie wystraszył. To pijak. Inne demony kazały mu mieszkać na moim świecie, któremu teraz grozi zagłada. Nikt nam nie pomoże, więc próbujemy ratować się sami.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie można ufać żadnym demonom - stwierdziła stanowczo. - Ani trochę nie dbają o ludzi albo traktują ich jak zabawki. Powinieneś to wiedzieć. No dalej, zrób ze mną, co chcesz. Masz nade mną władzę.

Poddał się. Najwyraźniej w świecie dziewczynki nie było takich istot jak on. Skinął w kierunku kościoła i miasta.

- Są tam prawdziwi ludzie? Widzisz ich?

Wzruszyła ramionami.

- Bandę duchów? Trudno stwierdzić. Żywe istoty przełamują rzucony na nich urok.

Skinął głową. Duchy albo prawdziwi ludzie - w tym wypadku to nie miało znaczenia - zamieszkivali miasto, ale kiedy pojawiał się jakiś umysł, który ich nie stworzył, nie istnieli dla niego. To wiele wyjaśniało. Miał tylko nadzieję, że jest dla nich równie niewidzialny jak oni dla niego.

Dziewczynka nie mogła mu więcej pomóc. Najlepiej, żeby sobie poszła. Jeśli to było miasto Abaddona, a Mac miał wszelkie powody, by tak sądzić, następny krok

mógł okazać się bardzo niebezpieczny.

- Idź do domu - powiedział. - I przez jakiś czas nie przychodź tutaj. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej. - Schował pistolet do kabury.

Siedziała bez ruchu, jakby nie zdawała sobie sprawy, że jest wolna. Wytrzeszczyła oczy.

- Czy to znaczy, że puszczasz mnie wolno? Tak po prostu? - Nadal była podejrzliwa, ale najwyraźniej trochę się uspokoiła. - Dlaczego?

- Nie mam nic do ciebie ani twojego ludu - wyjaśnił Mac. - Chodzi mi o demona z tego miasta. Mogłaby ci się stać tu krzywda.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała z niedowierzaniem.

- Poszukać go. Wiem, że on lubi zakłady. Mam dla niego propozycję, która może mu się spodobać. A teraz idź!

Zerwała się, patrząc na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę nie pochodzisz stąd? Jesteś człowiekiem z krwi i kości? Twoja dusza nikomu nie podlega? I przyszedłeś tutaj z własnej woli? Nic nie wiedząc? Jesteś szalony!

- Nie szalony - odparł. - Zdesperowany. No, zmykaj już! - Wstał.

- Krew... życie... dusza - powtórzyła dziewczynka ze zdziwieniem.

I nagle uśmiechnęła się szeroko, ukazując nie ładne ząbki, lecz brzydkie, ostre kły, jakich by się nie powstydział drapieżnik. Jej oczy zabłyśły nieludzkim blaskiem, a postać zmieniła się nie do poznania. Nie przypominała małej dziewczynki ani w ogóle człowieka. Zachowała wprawdzie niektóre cechy, wzrost, budowę i rysy, ale była ciemniejsza, miała zwierzęce, ostro zakończone uszy, długie paskudne pazury i... Czyżby z pleców wyrastały jej niewielkie nietoperzowe skrzydła?

Drgnął przestraszony, widząc tę demoniczną transformację. Jednocześnie obudził się w nim gniew, że zachował się jak ostatni głupiec. Dał się nabrać, uspokojony widokiem zwyczajnego miasteczka i małej dziewczynki! Był na siebie wściekły. Wyciągnął pistolet.

Istota spojrzała na broń i roześmiała się.

- Trafiłeś mnie za pierwszym razem, bo nie byłam przygotowana - wychrypiała. Był to nadal jej głos, choć trochę zmieniony, bardziej gardłowy i niski. Brzmiał raczej jak głos starej kobiety. - Ta rzecz nie może mi teraz zrobić krzywdy.

- Kim jesteś? - spytał. Postanowił nie tracić odwagi. Poza tym ogarniała go coraz większa złość. - Jesteś stamtąd? - Skinął pistoletem w kierunku miasta, przesuwał

dźwigienkę na funkcję dezintegracji.

- To jest Piekło, ty idioto - warknęła istota. - Wszyscy mieszkańcy to dusze tych, którzy zapredali się demonom na różnych światach. Za życia oddałam się Mojemu Panu Mammonowi i należę do Niego. A teraz dostanę ciebie mimo twojego głupiego pistoletu. Nie możesz zabić umarłego, zwłaszcza w samym Piekło!

Mac stwierdził, że mimo groźnego tonu i spojrzenia istota nie atakuje go. Nie była pewna, jaką krzywdę może jej zrobić pistolet. Wcześniej ją ogłuszył. Gdzieś w innym świecie ta biedna dziewczynka została poświęcona szczególnie paskudnemu demonowi podczas obrzędów czarnej magii i od tej pory należała do niego. Nie wiedziała jednak tego wszystkiego co on. Mieszkała w nadnaturalnym świecie i podlegała jego prawom. Wpadła w pułapkę, ponieważ Mac znał obowiązujące tu zasady. Na cmentarzu w jego świecie wygrałaby, ale nie tutaj. Tutaj martwi mogli umrzeć ponownie, jeśli taka była jego wola. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - zapytał cicho. W pewnym sensie czuł litość dla tej dziewczynki i gniew wobec demona, który zgotował jej taki los.

- Masz krew... świeżą krew - odparła jak narkoman na widok porcji heroiny. - Wypiję ją i zdobędę twoją moc, a ty zostaniesz moim sługą, jak ja jestem służką Pana Mammona. - Przynęła się trochę do niego, ale nie zaatakowała. Oczy miała utkwione w pistolecie.

- Służę Asmodeuszowi - powiedział i pokazał piętno na ręce. - Nie możesz mnie zdobyć dla Mammona.

- Żyjesz i to wystarczy - odparła po chwili zastanowienia. - Wezmę cię. Zostaniesz moim mężem i nauczysz mnie tych wszystkich rzeczy o miłości i seksie, których nie mogę poznać sama, bo nigdy nie dorosnę!

Poczuł dla niej jeszcze większą litość. Pozbawiono ją wszystkiego.

- Nie mogę - szepnął. - Przykro mi. - Pociągnął za spust.

Była na to przygotowana. Ogarnął ją płomień. Powinien strawić ją w ułamku sekundy, ale walczyła zażarcie. Mac siłą woli podtrzymywał ogień, który powoli zaczął ją pożerać. Wiła się i krzyczała, biegnąc po cmentarzu. Dotarła do drugiego grobu w czwartym rzędzie, wyciągnęła rękę z nadzieją i zapadła się pod ziemię.

Promień stopniowo słabł. Kiedy została już z niego mała kropka na końcu lufy, krzyk nagle zamarł. Mac zwolnił spust i stał przez chwilę drżąc. Wreszcie podszedł do grobu, do którego tak rozpaczliwie próbowała się schronić nieszczęsna istota, i przeczytał napis.

„Męka Chau. Urodzona 17 września 1874 w Rangunie. Zmarła 4 kwietnia 1883 w Kubai. Dusza niewolna.”

Nagle usłyszał wokół siebie odgłosy częściowo zagłuszone przez śpiew. Uświadomił sobie, że jest to cmentarz żywych trupów. Szybkim krokiem ruszył do wyjścia, pocieszając się, że dziewczynka przynajmniej nie będzie więcej cierpiała.

Wpadł do kościoła, przerywając mszę. Zapadła martwa cisza. Był wściekły i jeszcze bardziej zdeterminowany, musiał skończyć z tym wszystkim.

Przeszedł jakieś dwie trzecie nawy głównej i zatrzymał się na wprost ołtarza, który wyglądał raczej jak miejsce, gdzie składa się ofiary z ludzi. Z tyłu znajdowało się pomalowane na czarno podwyższenie otoczone czarnymi kotarami, które nadawały otoczeniu teatralny wygląd. Najwyraźniej Abaddon wypróbowywał różne dekoracje.

- Abaddonie! - krzyknął. Jego głos odbił się echem w pustym kościele. - Abaddonie, ukaż mi się! Chcę się z tobą założyć!

Czekał, aż echo umilknie. Przez chwilę nie był pewien, czy został usłyszany. A może go zignorowano. I wtedy drzwi kościoła otworzyły się z łoskotem i nawą przeleciał silny podmuch, niemal powalając go na ziemię.

Pochodnie zapłonęły mocniej, jakby zasilone strumieniem czystego tlenu. Wnętrze świątyni wypełniło się szumem.

Mac znieruchomiał w oczekiwaniu i wtedy na chórze rozległ się śpiew niezliczonych męskich i żeńskich głosów. Brzmiały tak prawdziwie, że mógłby niemal przysiąc, iż widzi śpiewaków.

Wyczuwał obecność wielu ludzi siedzących w ławkach. Chór wyśpiewywał jedno słowo, nabożne, pełne szacunku wezwanie: „A-bad-don! A-bad-don!”

Nad kamiennym ołtarzem na czarnym tle pojawił się niewyraźny kształt, który nie był ani czystą materią, ani energią, lecz po trosze i tym, i tym. Powoli wyłaniała się diabelska, kozia głowa i gigantyczna, monstrualnie zwierzęca twarz promieniująca siłą i absolutnym złem.

Widowisko robiło wrażenie.

Chór wciąż śpiewał to samo imię w radosnym pozdrowieniu, a niewidzialni parafianie wtórowali mu nieśmiało.

Śpiew stawał się coraz szybszy, przeradzając się w dzikie błaganie. Oszałały chór intonował gorączkowo na coraz wyższą nutę:

- A-bad-don! A-bad-don! A-bad-don! Abaddon! Abaddon!
Abaddobabaddonabaddonabaddon!

Nagle szła minął i zapadła cisza. Wyczuwało się jednak wszechogarniające oczekiwanie.

Obraz za ołtarzem przemówił.

- Kto wzywa Abaddona? - zapytał potężnym, niezwykle głębokim głosem.

Mac Walters próbował sobie wyobrazić jego wpływ na prawdziwych parafian. Do diabła, sam gotów byłby się nawrócić!

- Ja! - krzyknął.

- Od kogo przychodzisz? - spytał diabeł. - I jak śmiesz stawać przed Abaddonem?

- Przysłała mnie Asmodeusz, zwany również Mogartem - odkrzyknął. - Przychodzę z propozycją. Skończ z tym przedstawieniem! Jest wprawdzie imponujące, ale zostaw je dla tępych mas. Lepiej porozmawiajmy.

- Śmiesz drwić z Abaddona, Księcia Ciemności? - Demon wpadł w furję. - Dlaczego wielki i wszechpotężny Abaddon nie miałby cię wtrącić do piekła i zająć się swoimi sprawami?

Mac zaniepokoił się trochę. Wykazał się odwagą, zgoda, ale demon mógł rzeczywiście pozbyć się go kiwnięciem palca. Zawarłszy znajomość z dwoma innymi przedstawicielami jego rasy, Mac wcale nie byłby tym zaskoczony*

- Jeśli dobrze pamiętam, Asmodeusz jest Królem Demonów, drugim po Lucyferze w diabelskim panteonie - odparł śmiało. - Krótko mówiąc, przewyższa cię rangą. Powiedziano mi jednak, że wielki Abaddon lubi zakłady i hazard. Przychodzę z propozycją od samego Asmodeusza, jak widzisz po znaku na mojej ręce. Jeśli się mylę i wielki Abaddon nie ma odwagi na poważny zakład, gdyż woli pewne wygrane, wtedy odejdę i przekażę to mojemu panu. - Zawahał się w obawie, że przesadził i rozwścieczył demona.

Tamten wydawał się rozmyślać nad propozycją.

- *Dlaczego Asmodeusz wysłał sługę zamiast zjawić się osobiście? Dlaczego muszę rozmawiać przez pośrednika?* - zapytał wreszcie wzbudzającym grozę głosem.

Mac poczuł się pewniej; demon nie zadawałby pytań, gdyby nie był zainteresowany. Jednak sam siebie upomniał, że Abaddon tylko zastanawia się nad ofertą. Nie przyjął jej ani nie zrezygnował z teatralnej oprawy godnej sabatu czarownic. Mac był ciekaw, gdzie naprawdę jest demon. Nagle poczuł niepokój. A jeśli to wszystko jest częścią przedstawienia? Jeśli demona nie ma nigdzie w pobliżu, a głowa jest tylko wytworem jego wyobraźni?

- Dobrze wiesz, gdzie jest Mogart - odparł stanowczo ze śladem niezadowolenia i

rezygnacji w głosie. - Jest w barze na swoim poziomie, pijany jak bela.

Głowa znieruchomiła na moment. Potem demon zaczął się śmiać, najpierw powoli, a po chwili w nie kontrolowany sposób. Salwy głębokiego śmiechu wstrząsnęły fundamentami. W pewnym momencie zniknął, zostawiając po sobie tylko echo wesołości. Rozległ się jednak inny dźwięk. Cienki, piskliwy chichot gdzieś z tyłu.

Mac odwrócił się. Dwie ławki dalej siedział diabelski książę Abaddon we własnej osobie. Wciąż jeszcze się śmiał, a wyglądał dokładnie jak Asmodeusz Mogart.

Miał na sobie kolorową koszulę, workowate džinsy i wysokie buty. Uśmiechnął się szeroko i lekko zaklaskał.

- Bardzo, bardzo dobrze! - zachichotał i rozejrzał się krytycznie. - Scenografia wymaga jednak pewnych poprawek.

Teraz z kolei Mac uśmiechnął się.

- O, nie powiedziałbym. Gdyby ktoś nie wiedział o Uniwersytecie i Wydziale Prawdopodobieństw, śmiertelnie by się wystraszył. A ja jestem pod wrażeniem.

Demon z wyraźnym zadowoleniem przyjął pochlebstwo.

- W ciągu ostatnich kilku wieków zaniedbałem te sprawy - wyjaśnił. - Praca biurowa. Zbyt długo pozwalałem moim ludziom na różnych poziomach działać po swojemu. Wystarczy, że przez jakiś czas nie ma żadnych cudów czy objawień i kult wygasa, zwłaszcza jeśli są inne, które mogą go zastąpić. Teraz nie mam nikogo, kto by wykonywał za mnie pracę u podstaw, informował na bieżąco, co się dzieje na Głównej Linii, i tak dalej. Muszę zacząć od początku. Nie potrafisz pojąć, jakim ciosem jest odkrycie, że na większości światów nie pamięta się nawet mojego imienia, chyba że trafiło przypadkiem do jakiejś tajemnej księgi demonologii.

Walters skinął głową ze zrozumieniem. Klejnoty miały właściwości odpychające. Nie pozwalały dwóm demonom znaleźć się blisko siebie na tym samym poziomie. „Blisko” oznaczało prawdopodobnie całą planetę. Przypomniał sobie usłyszane na prymitywnym świecie określenie Mogarta, który nazwał to zjawisko „niezgodnością w fazie”. Mimo że niewidzialni jak duchy, dzięki wzmacniaczom mogli wywierać wpływ na rzeczywistość, ustanawiać kultury, czuwać nad projektami, pilnować swoich kolegów - zwłaszcza renegatów - i rozwijać pewne idee, by je potem wykorzystać na innych planetach.

Mac doszedł do smutnego wniosku, że demonologia jest mało romantyczna od kuchni.

- Więc co zamierza stary opój? - spytał Abaddon. Nie tracił dobrego humoru. -

Sam nigdy nie miał zacięcia sportowego. Nie potrafił wytrwać w trzeźwości.

Walters pokrótce wyjaśnił sytuację - zbliżającą się kolizję, brak czasu, konieczność zdobycia sześciu klejnotów.

Abaddon skinął głową.

- Rozumiem go. Wolałby raczej umrzeć niż wrócić do domu. Nie ma jak się stamtąd wydostać, a jedyną alternatywą byłoby spędzenie wieczności poza fazą. Tam również nie można pić. Próbuje więc stworzyć Oko Baala, co? Jednak nigdy nie słyszałem, żeby komuś się to udało bez pozwolenia Uniwersytetu. Do diabła, dzięki Oku Baala nawet ty mógłbyś zostać Zeusem na Olimpie. Nie pokręciłem czegoś?

- Nie - zapewnił go Mac. - To nasza jedyna nadzieja.

- Abaddon zamyślił się.

- Ile już ich ma?

- Widziałem trzy - odparł Mac. - Do tej pory moja partnerka prawdopodobnie zdobyła następny. W każdym razie mam taką nadzieję. Są więc prawdopodobnie cztery.

- Aż tyle? - powiedział Abaddon zdumiony. - W tak krótkim czasie? No, no! Co się stało ze służbą bezpieczeństwa? Chyba nie docenialiśmy Mogarta. Zdaje się, że odrobił pracę domową. Więc chcesz założyć się ze mną o mój klejnot? Numer pięć?

- Albo sześć - odparł Mac. - Nie wiem, jak idzie mojej partnerce, ponieważ działamy w różnych ramach czasowych.

Abaddon sięgnął do kieszeni spodni i wyjął klejnot. Serce Maca podskoczyło na ten widok. Tak blisko! Tak bardzo blisko!

Demon roześmiał się, jakby czytał w jego myślach.

- Wiem, wiem! I tak nie możesz mi go zabrać. Nie tutaj. I właściwie nigdzie. Musiałbym sam ci go dać. Wiesz o tym.

- Wiem - mruknął Mac. Nie był zachwycony. - To dlatego zaproponowałem zakład. Walkę, w której stawką będzie twój klejnot.

Abaddon schował klejnot.

- Więc mam podjąć ryzyko i podać swoją cenę? No dobrze! Co dostanę, jeśli wygram?

Mac przemyślał rzecz jeszcze w drodze do miasta i miał gotową odpowiedź.

- Wiem, że masz mocną pozycję, ale czy nie kusi cię Oko Baala, choćby trochę?

Demon wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem w jego oczach pojawił się błysk wesołości, który rozpromienił całą twarz. Abaddon zaśmiał się złośliwie, po ludzku,

zaledwie echem swojego głębokiego śmiechu.

- Jeśli przegram, mój świat zginie i Mogart także - naciskał Mac. - A razem z nim cztery, a może pięć klejnotów. To oznacza również, że moja partnerka i ja stracimy wszystko, ale będziemy mieli za to sprawdzony sposób zdobywania kamieni. Nawet jeśli zabraknie nam jednego, ty nam powiesz, gdzie możemy go znaleźć, a my wykonamy zadanie.

- Pracowalibyście dla mnie? - zapytał demon wyraźnie zainteresowany. - Możesz mówić w imieniu partnerki?

Mac wzruszył ramionami.

- A co innego jej pozostanie? Nie będzie naszego świata, nie będzie Mogarta. Praca to praca, a demon to demon.

Abaddon pokiwał głową w zamyśleniu.

- Masz rację. To zdumiewające, ale masz rację. Oko Baala. - Spojrzał na Maca. - Więc na czym ma polegać zakład?

Połowa drogi! ucieszył się Mac.

- To proste. Schowasz gdzieś klejnot, a ja będę musiał go znaleźć w określonym czasie, nie dając się zabić. Nie zostanę zabity, nawet jeśli przegram.

- Ty przeciwko mnie? - spytał demon niedowierzająco. - Do licha, człowieku, mogę cię zniszczyć w mgnieniu oka. Wiesz o tym. Robię takie rzeczy od jakichś czterech miliardów twoich lat!

Mac potrząsnął głową.

- Nie, to byłoby niesprawiedliwe, sam przyznasz. Wybierz jakiegoś człowieka jako drugiego zawodnika. Wyjaśnij mu zasady. - Teraz improwizował. - Niech to będzie wyścig o klejnot. Wybierz, kogo chcesz, ale z mojego świata; a przynajmniej z podobnego, tak żebyśmy mieli równe szanse. Ma to być uczciwy wyścig. Jeśli dotrę pierwszy do celu, wezmę klejnot. Jeśli on zwycięży, dostaniesz kamienie Mogarta, a ja i kobieta, która ze mną pracuje, zostaniemy twoimi sługami. Co ty na to?

- Tak, rzeczywiście ten pomysł do mnie przemawia - - mruknął demon po chwili zastanowienia bardziej do siebie niż do Maca. - Uzgodnimy zasady? Nie będzie żadnych ograniczeń czasowych. Ty przeciwko mojemu mistrzowi. Gwarantuję, że będzie z twojego świata. Może sięgnę trochę w przeszłość. Czas jest bardziej płynny dla tych, którzy nie są przywiązani do określonego poziomu. Zaczniemy stąd, a celem będzie pomnik, mój posąg, który postawię... hmm, pomyślmy... siedem kilometrów od tego kościoła.

- Będziemy mieli jednakowe szanse? Twój mistrz nie dostanie dodatkowych wskazówek? - spytał Mac.

- Oczywiście! Równe szanse. Zakład to nie zabawa. Może przynieść korzyści, ale nie należy go lekko traktować. Nie będę cię oszukiwał i zapłacę, jeśli wygrasz. I jeszcze jedno. Jeśli zginiesz, nie będzie to dla ciebie koniec. Zostaniesz po prostu jednym z miejscowych żywych trupów znajdujących się pod moimi rozkazami.

Mac zadrżał na wspomnienie biednej dziewczynki. Cała wieczność. Nie zamierzał umrzeć. Przełknął głośno ślinę.

- Zaczynajmy.

Abaddon wstał i wyciągnął rękę.

- Przybijemy?

Walters spojrzał zdziwiony.

- Co? Nie będzie paktu krwi?

- Przy zakładzie między uczciwymi dżentelmenami? Nie bądź śmieszny - powiedział Abaddon.

Wymienili uścisk dłoni.

- Chodźmy do kawiarni. Zjesz coś, a ja wezwę swojego mistrza - zaproponował demon i dodał podnieconym głosem: - To naprawdę będzie coś!

Mac ruszył za nim. Poczul głód, kiedy przypomniał sobie steki.

- Jesteś pewny siebie - zauważył. - A jeśli wygram? Utkwiesz tutaj w pułapce.

- Nigdy nie przyjmuję zakładu, którego nie zamierzam wygrać - odparł demon lekko. - A zresztą to nie jest złe miejsce. Można mieć wszystko, co się chce. A prędzej czy później, za parę tysięcy lat, zjawi się ktoś, kto będzie chciał udoskonalić swoje umiejętności, więc to nie jest na zawsze. - Klepnął Maca po plecach. - Zresztą nie zamierzam przegrać, lecz dobrze się zabawić!

Połowa drogi, ha, powiedział do siebie Mac Walters. Jednak zachowanie demona wskazywało, że druga część zadania będzie znacznie trudniejsza.

2

Są tutaj prawdziwi ludzie, czy to tylko wytwory wyobraźni? - spytał Mac przy steku, pieczonych ziemniakach i kawie.

Abaddon uśmiechnął się.

- Ależ tak. Jedno i drugie. - Spowaźniał i przybrał ton nauczyciela robiącego wykład. - Widzisz, tworzenie obiektów nieożywionych i efektów specjalnych jest łatwe. Na terenie treningowym każdy może to robić, a na stałych poziomach tylko ci, którzy mają wzmacniacze. Żeby dać ci pojęcie o mocy klejnotów, powiem tylko, że sześć z pewnością odchyli tor planety, a sześćdziesiąt jest w stanie stworzyć nowy poziom. Jednak żywe istoty to co innego. Możemy oczywiście określić budulec i zasady, według których potoczy się ewolucja, a także, za pomocą klejnotów, wpływać na materię ożywioną. W żywych istotach istnieje pewna siła wiążąca - trudno to wyjaśnić laikowi - i jest jej ogromna lecz skończona ilość. To ta siła, stabilizowana przez osobowość Maca Waltersa, podróżuje między poziomami i wchodzi w inne ciała, a nie ty sam. Tylko mieszkańcy Głównej Linii mogą podróżować w swoich fizycznych postaciach. W większości wypadków wspomniana siła rozprasza się w chwili śmierci, ale nie zawsze. Jeśli osobowość jest szczególnie silna, może przetrwać nietknięta jako duch lub, częściowo, jako bezmyślny żywioł, poltergeist czy podobne zjawisko, przynajmniej przez jakiś czas.

Umilkł i łyknął kawy. Nie wyglądał na zdenerwowanego ani niespokojnego, choć stawką w grze był jego klejnot. Poważnie to zmartwiło Maca.

- Na poziomie treningowym jest trochę inaczej - kontynuował demon. - Wszyscy zmarli, ludzie lub zwierzęta, zostają tu na zawsze do naszej dyspozycji. Większość z nich zaprzedała się nam dobrowolnie, została rytualnie poświęcona lub porwana przez jednego z nas na ułamek sekundy przed śmiercią albo też wybrana na chybił trafił. Przez cały czas ludzie znikają na każdym świecie, więc to nie problem.

Wyjął z kieszeni dwa cygara i podał jedno Macowi. Ten odmówił, a Abaddon zapalił swoje od wskazującego palca, z którego wystrzelił ogieniek. Mac próbował zachować zimną krew, gdyż zorientował się, że demon chce osłabić go psychicznie.

Abaddon zaciągnął się i wydmuchnął wielką chmurę szarego dymu.

- Oczywiście istnieją poziomy, gdzie nikt naprawdę nie umiera, gdzie istnieje reinkarnacja i inne takie rzeczy albo też najlepsi z wiernych zostają półbogami i mogą dokonywać własnych minikreacji. Na innych znowu mamy magię, wampiry i tym podobne. Na wielu poziomach żyją istoty mające niewiele wspólnego z ludźmi, a śmierć ma inne znaczenie. Zapobiega znużeniu. Wracając zatem do twojego pytania, i tutaj są ludzie, którzy dbają o normalne funkcjonowanie miasta, do czego wcale nie muszą mieć fizycznych postaci. Czy zadowala cię ta odpowiedź?

Mac zdusił chichot.

- Ach, miasto! Prawie o nim zapomniałem, ale dzięki. A co z dziewczynką na cmentarzu?

- Dziewczynką? Na moim cmentarzu? - zdziwił się demon.

Mac opowiedział Abaddonowi swoją przygodę.

- Hmmm - mruknął demon w zamyśleniu. - Oczywiście jest wiele takich istot, ale nie wiedziałem, że tutaj też są. Mammon i paru jego kolegów zbyt poważnie traktują swoje diabelskie role, sami zaczynają w nie wierzyć. Wszyscy jesteśmy na swój sposób trochę szaleni, Walters, zapewne z powodu nadmiaru obowiązków i niemożliwie długiego życia.

- Wydajesz się całkiem zrównoważony i zdrowy na umyśle - zauważył Mac.

Komplement ucieszył Abaddona.

- Dziękuję. Czasami podejrzewam, że jestem jedyny normalny w tym towarzystwie. A jednak - dodał z błyskiem w oku - przyjąłem ten głupi zakład, prawda?

Mac nie miał ochoty na komentarz. Właśnie zamierzał zmienić temat, kiedy w drzwiach baru zmaterializował się jakiś mężczyzna. Jednocześnie rozległ się huk i rozszedł się nikły zapach ozonu. Przybysz spojrział na nich z zaciekawieniem i odrobiną podejrzliwości, lecz bez cienia strachu.

- *Was ist clas?* - spytał nieprzyjemnym tonem. - *Gott in Himmel! Ich bin...*

- Mów po angielsku, mój przyjacielu - zaproponował Abaddon.

Nieznajomy wyglądał na zaskoczonego.

- Po angielsku? No dobrze, niech będzie - powiedział z brytyjskim akcentem wyższych sfer. Widać było jednak, że jest wściekły. - Dlaczego do diabła to trwało tak długo, Abaddonie? Myślałem już, że wylecę w powietrze razem z tą cholerną planetą!

Mac przyjrzał się mężczyźnie z większym zainteresowaniem. Najwyraźniej pochodził z jego świata i czasu. Prawdopodobnie miał być jego przeciwnikiem.

Wysoki, żylasty i umięśniony, wyglądał na czterdzieści parę lat. Włosy i wąsy miał posiwiałe, podobnie jak krzaczaste brwi, które łączyły się nad nosem. Można by go wziąć raczej za Słowianina niż Niemca.

- Uspokój się, przyjacielu - powiedział Abaddon. - Nie zapomniałbym o tobie.

- Trochę przesadziłeś - skomentował gderliwie przybysz. Opanował się jednak, gdy uświadomił sobie, że choć późno, ale został uratowany.

- Siadaj! Jedz, ile chcesz. My już skończyliśmy, ale ty nie powinieneś chodzić głodny - zaprosił demon.

- Dziękuję - odparł mężczyzna. - Jadłem godzinę temu. Wszystko to na co zawsze miałem ochotę, łącznie z Rothschildem rocznik czterdzieści siedem. Jeśli zgłodnieję, zawsze mogę sobie coś zażyczyć.

Zapowiadało się źle. Obcy znał demony i wiedział, jak wykorzystać ich teren szkoleniowy. Abaddon wezwał starego wyjadacza.

- Nie zamierzasz nas sobie przedstawić? - szepnął Mac.

Demon roześmiał się.

- A niech mnie! Oczywiście! Mac Walters, a to doktor Hans Martin Kroeger, szef tajnej policji NRD.

- NRD? - powtórzył Mac.

- Wschodnich Niemiec - warknął Kroeger niecierpliwie. - To była tylko tymczasowa tożsamość. Przepadła razem z planetą. Wolę swoje klasyczne imię, którego nie mogłem używać przez bardzo długi czas. Jestem Boreasz. - Wymówił to imię w taki sposób, jakby Mac powinien je znać. Rozgniewał się, widząc jego obojętną minę. - Widzicie? Na tym polega kłopot ze współczesnymi ludźmi. Dobrze, że się stamtąd wyniosłem. Nigdy o mnie nie - słyszał - poskarżył się. - Amerykanie - mruknął pod nosem.

Abaddon nachylił się do Maca i szepnął:

- Był jednym z naszych najlepszych czarnoksiężników i alchemików na twoim poziomie. Jednym z najświetniejszych umysłów wczesnego Średniowiecza.

- I jeszcze żyje? - Mac poczuł strach.

Boreasz wzruszył ramionami i rzucił Abaddonowi dziwny uśmiech.

- To jedno z moich największych osiągnięć. Ale i tak twierdzą, że opłaca się mieć przyjaciół.

Demon machnął ręką.

- No dobrze, chodź i siadaj. Mam dla ciebie zadanie. Stawka jest wysoka. Jeśli chcesz cieszyć się tym życiem, musisz wygrać.

Boreasz nagle stał się czujny. Podszedł do stolika i usiadł. Utkwił stalowoszare oczy w demonie. Poryta zmarszczkami grubo ciosana twarz o trójkątnym podbródku przybrała wyraz profesjonalnego zainteresowania.

- Więc zamierzałeś mnie tam zostawić - stwierdził spokojnym, lecz zgryźliwym tonem. - Wyciągnąłeś mnie tylko dlatego, że jestem ci potrzebny.

Abaddon westchnął.

- Posłuchaj, mógłbym się z tobą sprzeczać, ale po co? Najważniejszy jest rezultat.

- On nawet nie wiedział, że Ziemia jest w tarapatkach, dopóki mu nie powiedziałem
- wtrącił Mac, chcąc ich bardziej poróżnić. Jednak ta uwaga wyraźnie uspokoiła czarnoksiężnika.

- Więc dobrze. Wiem, że nie było ze mną kontaktu. Do licha, kiedy widzieliśmy się ostatnio? Chyba gdzieś w osiemnastym wieku.

- Wcześniej - odparł demon. - No i masz. Poznałeś w ciągu wieków tylu moich kolegów, a tylko ja cię uratowałem.

- Racja - przyznał Boreasz. - Więc co to za gra?

- Dobrze określenie - powiedział Abaddon. - Rzeczywiście chodzi o grę. - I wyjaśnił, co robi tutaj Mac, jaka jest stawka i zasady, które uzgodnili.

- Brzmi uczciwie - stwierdził czarnoksiężnik. - Jestem gotowy.

Ten człowiek trochę przerażał Maca. Było w nim jakieś wrodzone, budzące grozę zło. Bez oporów zgadzał się na pojedynek, który w razie wygranej skazywał jego własny świat na zagładę.

- Też coś! - prychnął czarnoksiężnik, słysząc zarzut Maca. - A co w nim jest wartego uratowania? Gdy u władzy stanęli technokraci, zaczął szybko zmierzać ku nuklearnej samozagładzie albo sterylnej cywilizacji robotów. Jest zupełnie bez charakteru, bez odwagi. Nie wiem, dlaczego jesteś do niego tak przywiązany. Może kilkadziesiąt osób z miliardów zrobiłoby dla ciebie to, co ty teraz robisz. Zresztą już nie żyją. Wszyscy wielcy odeszli - Hitler, Stalin, Mao, najlepsi z łajdaków. Spójrz, kto ich zastąpił! Mali ludzie będący produktami fabryki biurokratów, tak bezbarwni, że nawet przełożeni nie pamiętają ich nazwisk i twarzy! A ja związałem się z potężnym człowiekiem, dzięki któremu mam dostęp do tysięcy światów. Nie wciskaj mi kitu o obowiązku. Twoje demokratyczne państwo zamordowałoby cię bez wahania, gdybyś stał się dla niego choć trochę niewygodny. Nie próbuj odpiierać tych zarzutów. Pomyśl o pół milionie zabitych w Wietnamie. A teraz wracajmy do naszej sprawy!

Mac Walters nie miał zamiaru odpowiadać na tę tyradę, ale zaniepokoił się. Dlaczego właściwie to robi? Wypełniając zadanie dowiedział się, jak mało ważna jest ludzka rasa, zabawka i może produkt uboczny jakiegoś obcego projektu naukowego. Szczury w specjalnie skonstruowanym labiryncie, nic więcej. Nawet religie okazały się błagą. Po śmierci można było zostać zabawką jakiegoś demonicznego profesora, potworem jak dziewczynka na cmentarzu. Potrafił zrozumieć Boreasza. Ten człowiek chciał jak najlepiej wykorzystać upokarzającą sytuację. Jednak ten wniosek wcale nie pocieszył Maca. Życie ludzkie musi mieć jakiś sens. Fakt, że stworzono szczury i

umieszczono je w labiryncie, nie czynił ich automatycznie istotami niższymi, a jedynie słabszymi, i to tylko czasowo, a nie na zawsze przecież. Demony miały przewagę dzięki rozwiniętej technice i eonom doświadczenia, ale wcale nie wydawały się bystrzejsze od przeciętnych ludzi, których Mac znał.

Może szczury opanują labirynt i pobiją eksperymentatorów ich własną bronią. On zrabował jeden z ich cennych wzmacniaczy. Ta dziewczyna, Jill, również zdobyła co najmniej jeden. Jeśli laboratorium spłonie, a szczury uratują się, w jaki sposób zmienia się wzajemne relacje? Nie był pewien, ale to musiało coś znaczyć. To po prostu musiało coś znaczyć!

- Ustalmy szczegóły - zaproponował Abaddon. Kiedy obaj mężczyźni skinęli głowami, kontynuował: - W porządku. Zaczniemy na ulicy przed barem. Obaj wystartujecie nadzy i bez broni, a reszta zależy od was. Siedem kilometrów stąd będzie stał mój granitowy posąg naturalnej wielkości. Klejnot umieszczę w kamiennej dłoni, żeby gra była bardziej emocjonująca. Nie ma limitu czasu. Pierwszy na mecie musi dotknąć klejnotu i wymówić właściwe imię. Pan, panie Walters, Mogarta, a ty, Boreasz, moje. Jeśli tego nie zrobicie, kamień was zabije, więc nie muszę się niczego obawiać. Tak wszystko urządzę, że żadna zbłąkana dusza nie zakłóci przebiegu gry. Zabroniona jest lewitacja i teleportacja. Musicie przebiec całą drogę. Ten, kto zabije rywala, oczywiście wygrywa. Jeśli obaj zginiecie, wygrywam ja.

- A ty sam nas nie zabijesz - dodał Mac na wszelki wypadek. - Nie będziesz nam przeszkadzał w żaden sposób, pomagał ani udzielał informacji swojemu człowiekowi.

- Zgoda - powiedział demon. - Będę tylko widzem. Ale może się zdarzyć, że zginiecie z rąk któregoś z moich tutejszych sług, na przykład dziewczynki z cmentarza. Nie mogę temu zapobiec.

Było to uczciwe postawienie sprawy.

- Zaczynajmy - zdecydował Mac.

Wszyscy trzej wstali i wyszli. Widmowy chór nadal śpiewał w kościele, a inne duchy bawiły się w barze po drugiej stronie ulicy.

Abaddon uśmiechnął się i strzelił palcami. Obaj zawodnicy stwierdzili, że są nadzy. Zniknęła również poręczna broń Maca. To nie ma znaczenia, powiedział do siebie. Mogę w jednej sekundzie stworzyć nową.

- Obiecałem, że nie będę się wtrącał, kiedy wyścig się zacznie, i zamierzam dotrzymać słowa - oświadczył demon.

Mac ledwo słuchał, obserwując przeciwnika. Boreasz miał ciało młodego

mężczyzny. Przypominał mu skrzydłowego z Green Bay Packers.

- Siedem kilometrów tą drogą - przypomniał im demon. - Gotowi?

Obaj czekali w napięciu.

Abaddon uśmiechnął się złośliwie i strzelił palcami.

Już nie znajdowali się w małym westernowym miasteczku pośrodku błotnistej ulicy. Otaczały ich teraz wysokie budynki, ożywiony ruch uliczny, tłumy ludzi, hałas.

- To oszustwo! - krzyknął Mac, ale było za późno.

- Ruszajcie! - wrzasnął demon z uciechą.

To prawda, że dotrzymał obietnicy. Nie przeszkadzał im po starcie, tylko przed. Mac pocieszał się myślą, że Boreasz musi być równie zaskoczony.

Obaj mężczyźni, zupełnie nadzy, stali na trawiastym pagórku w ciepłym słońcu świecącym na błękitnym niebie. Była to dokładna kopia nowojorskiej Battery. Mieli przed sobą wielkie miasto, ludzi, samochody i... stosownie zaszokowane widokiem golasów staruszki.

Przed nimi ciągnął się Broadway.

3

Stanowiło to duże utrudnienie. Boreasz był wyraźnie wstrząśnięty. Różnica polegała na tym, że doszedł do siebie o ułamek sekundy wcześniej niż Mac, rzucił się na trawę i nagle w jego dłoni pojawił się pistolet. Czarnoksiężnik wystrzelił.

Ludzie rozpierchli się z krzykiem na wszystkie strony. Mac padł na ziemię i potoczył się. Był pewien, że zaraz trafi go drugi strzał.

Nie słysząc drugiego strzału, Mac podniósł wzrok i zobaczył tłum policjantów biegnących w jego kierunku z wyciągniętą bronią. Potem zaryzykował szybkie spojrzenie tam, gdzie powinien być Boreasz.

Nie dostrzegł go. Wszędzie biegali ludzie, ale nikt ani trochę nie przypominał czarnoksiężnika. Mac nie tracił czasu. Wciąż jeszcze był nagi, a policjanci znajdowali się coraz bliżej. Najwyraźniej Boreasz nie chciał ryzykować, że zostanie przez nich zastrzelony i zmienił się w kogoś, kto mógł wmieszać się w tłum. Mac doszedł do wniosku, że najlepiej zrobić to samo. Zasady wykluczały teleportację i latanie, ale ponieważ nadal przebywał na terenie treningowym, choć wyglądającym teraz jak Manhattan, mógł wpływać na otoczenie.

Zerwał się z pistoletem w dłoni i popędził przed siebie. Transformacja była natychmiastowa i uzupełniał ją warunek, by policjanci niczego nie zauważyli.

Nie zauważyli. Dotarli do miejsca, w którym przed chwilą się znajdował, i stanęli jak wryci.

Mac Walters w mundurze policjanta rozejrzał się, szukając przeciwnika, ale nie dostrzegł nawet śladu po nim. To niedobrze. Nie wiedział, w jakim stopniu Europejczyk zna Nowy Jork. Zapewne bardzo dobrze. Właśnie dlatego Abaddon wybrał to miasto.

Jeśli chodzi o niego, przyjeżdżał do Nowego Jorku tylko na zawody, które nie odbywały się na Manhattanie. Mieszkał na zachodzie i nigdy potem nie miał okazji tam bywać.

Naprawdę wymyślił sposób, by oddzielić się od tłumu policjantów. Zauważył, że niektórzy z nich mają walkie-talkie, więc stworzył własne, przyczepił je do paska i zażyczył sobie, by wezwano go do radiowozu. Plan się powiódł.

Idąc przez park, zastanawiał się co robić dalej. Może radiowóz? Przecież tu jest Broadway. Wystarczy wsiąść do samochodu, włączyć syrenę i ruszyć.

Zobaczył przy chodniku jeden z włączonymi światłami i skierował się w jego stronę. Gdy znajdował się w odległości kilku metrów od celu, samochód eksplodował, zamieniając się w ogromną kulę dymu i ognia. Siła wybuchu powaliła Maca na ziemię. Wstał chwiejnie, rozwścieczony. Boreasz! Ten drań bawił się z nim w ciuciubabkę! Najwyraźniej uznał, że z łatwością wygra wyścig i że może się trochę podrażnić z przeciwnikiem, zanim go zabije.

I może miał rację, chyba że... Mac rozejrzał się i dostrzegł stalową kratę. Dobiegający zza niej łoskot prawie całkowicie zagłuszył wybuch, który znowu ściągnął policjantów i przechodniów.

Chciałbym być dymem i przelecieć przez tę kratę! pomyślał ze złością.

W ułamku sekundy, zanim uświadomił sobie, że życzenie się urzeczywistniło, został wciągnięty do środka.

Stojący w pobliżu młody mężczyzna w tweedowym garniturze i okularach w rogowej oprawie krzyknął coś z wściekłością i skoczył za nim.

Mac Walters dryfował leniwie nad tłumami czekającymi na peronie i gratulował sobie pomysłu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien teraz być martwy. Udało mu się uciec dzięki łutowi szczęścia i zbytnej pewności siebie Boreasza. Teraz

mógł się zamienić w dowolną osobę, wmieszać w tłum i szybko dotrzeć na Times Square. Kolorowa mapka na tablicy świetlnej ukazywała nowojorską sieć metra. Przestudiował ją i przeleciał niespiesznie na drugą stronę peronu.

Wiedział, że powinien się cieszyć. Nawet jeśli Boreasz dryfował niewidzialny gdzieś w pobliżu, Mac nie mógł go dokładnie zlokalizować. A jednak coś nie dawało mu spokoju, nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że popełnił jakiś błąd. Usiłował coś wymyślić, gdyż z głębi tunelu dobiegało dudnienie wskazujące, że nadjeżdża pociąg. Wydawało się, że teraz już będzie łatwo. Wystarczy wejść do wagonu, pojechać na Times Square i przebiec ostatni odcinek.

Czy istotnie? Jeszcze żył, choć Boreasz był od niego lepszy w czarodziejskich sztuczkach. Czarnoksiężnik mógł popędzić siedem kilometrów Broadwayem i dotrzeć pierwszy do celu. Nie zrobił tego jednak. To byłoby dla niego zbyt łatwe. Został, żeby się zabawić. Spowodował wybuch samochodu policyjnego, ciesząc się swoją wyższością nad amatorem Maćkiem Waltersem.

Boreasz wsiadłby do pociągu tylko wtedy, gdyby wiedział, że jego przeciwnik również to zrobi. Gdyby zgubił Maca, poszedłby prosto po klejnot. Może już kierował się w tamtą stronę.

Mac omal nie wpadł w panikę. Jednym sposobem, by powstrzymać Boreasza, było ukazanie mu się, sprowokowanie do zabawy, odwrócenie uwagi od celu wyścigu. Jeśli chciał wygrać, musiał wykorzystać arogancką pewność siebie rywala. Z bezcielesnym westchnieniem zmaterializował się w tłumie czekającym na metro.

Rozejrzał się nerwowo, uświadamiając sobie własną bezbronność i klasę przeciwnika. Czuł się bardziej bezradny niż w prymitywnym świecie. Co gorsza, musiał się modlić o to, by wróg go zaatakował. Gdyby spokojnie wsiadł do pociągu i dojechał bez przygód do celu, oznaczałoby to, że przegrał.

Pociąg zatrzymał się. Mac wsiadł razem z grupą mężczyzn i kobiet. Wszystkie miejsca były zajęte. Napierał na niego spory tłumek stojących. Wydawało mu się, że wszędzie widzi szydercze oczy Boreasza.

Miał wrażenie, że wszyscy są gotowi go zaatakować, zabić w jeden z tysięcy sposobów, a jednocześnie żarliwie modlił się, żeby naprawdę okazali się źli i zrobili właśnie tę rzecz, której się obawiał.

Po minucie jazdy jego życzenie spełniło się. Mała staruszka, która wyglądała na jakieś osiemdziesiąt lat, przysunęła się do niego, spojrzała z czystą złośliwością i splunęła mu w twarz. Było to tak nieoczekiwane, że przez chwilę nie potrafił

zareagować.

- Fuj, wstyd! - zagadkała. - Jesteś złym człowiekiem!

Kilku innych pasażerów pokiwało głowami i po paru sekundach wszyscy patrzyli na niego z nienawiścią i powtarzali:

- Zły człowiek! Zły człowiek!

Potem staruszka nastąpiła mu na nogę. Ktoś szturchnął go w brzuch. Atakowano ze wszystkich stron. Nawet nie miał czasu na pomyślnik ani koncentrację. Znowu zamienił się w mgłę, a ludzie rzucili się na siebie, obrzucając wyzwiskami, kopiąc i popychając.

Wiedział, że nie na długo pozbędzie się Boreasza. Nagle usłyszał dźwięk, jakby ktoś włączył gigantyczny odkurzacz, i poczuł, że coś go wyciąga z wagonu i z powrotem w stronę Battery. Przybrał cielesną postać. Stał w ciemności tunelu i patrzył na szybko oddalające się światła pociągu.

Potężne ssanie ustało po jakiejś minucie. Zapanowała niesamowita cisza. Mac rozejrzał się zastanawiając, co robić dalej. Nie dostrzegł żadnych wyjść awaryjnych, więc doszedł do wniosku, że tym razem sztuczka z dymem się nie uda. Zasady zabraniały teleportacji. Nie mógł po prostu wyrazić życzenia, że chce znaleźć się na powierzchni. Wzruszył ramionami i zaczął iść za znikającym pociągiem.

Rozległo się buczenie i Mac zorientował się po chwili, że to trzecia szyna, zasilająca pociągi. Odskoczył w bok. To głupio uciec przed Boreaszem i zginąć w taki sposób, pomyślał zdenerwowany.

W pewnym momencie tunel zwęził się, a na jego końcu pojawiły się gigantyczne ludzkie usta. Uśmiechnęły się do niego.

Mac stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy. Boreasz! Musi gdzieś tu być!

- To było bardzo zabawne - powiedziały wielkie usta głosem czarnoksiężnika. Dźwięk niósł się upiornym echem w głąb tunelu. Kiedy się otwierały, Mac widział przez nie dalszą część szyn. To musi coś znaczyć. Nie miał jednak pojęcia co. - Tak, naprawdę bardzo zabawne - mówiły dalej usta. - Ale pora kończyć. Jesteś tak nieudolny, mój drogi kolego, że nie stanowisz żadnego wyzwania!

Mac rozejrzał się, szukając prawdziwego Boreasza, ale nie zobaczył go. Może krył się pod postacią szczura, czającego się w ciemności. Dlaczego nie?

I sam zamienił się w szczura. Wszystko, łącznie z gigantycznymi ustami, nagle wydało się ogromne. Popędził szybko w ciemny kąt. Gdy dotarł w najgłębszy cień, pojawiła się para wielkich, błyszczących, złych oczu. Ledwo zdążył umknąć przed

wielkim kotem i nagle poczuł, że ostre zęby chwytają go za szczurzy ogon i unoszą w powietrze.

Zamienił się w bernardyna. Zaskoczony kot omal się nie udławił grubym, futrzastym ogonem, a wielkie stworzenie, które mu się wyrwało, omal nie zwichnęło mu szczęk.

Zwycięstwo Maca było jednak krótkotrwałe. Ledwo zdążył się odwrócić, żeby stanąć twarzą w twarz z napastnikiem, kiedy kot zamienił się w gigantycznego, obrzydliwego pająka, owłosioną tarantulę, która niemal wypełniła cały tunel i zagroziła mu drogę ucieczki.

Przez chwilę panowała cisza. Boreasz napawał się zwycięstwem. Żądło pająka ociekało śmiertelnym, paraliżującym jadem. Mac zrozumiał, że w ten sposób nigdy nie pokona czarnoksiężnika, który przewyższał go doświadczeniem, pewnością siebie i umiejętnościami. Rozpaczliwie szukał jakiegoś rozwiązania. Usta otworzyły się, ukazując nieprzyjemnie wyglądające zęby. Pająk zaczął się powoli do niego zbliżać. Po drugiej stronie ust widział dalszą część tunelu i tylne światła pociągu znikające w oddali. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Czy rzeczywiście? Przywołał na pamięć mapę metra. Niedaleko stąd linia oddzielała się od innych, które również zaczynały się przy Battery. Tunel po drugiej stronie rozdziawionych, drwiących ust prowadził we właściwym kierunku.

Pierwsza z wielkich nóg pająka niemal go dotknęła, a szczęki kłapnęły łakomie, lecz Mac już wiedział co robić. Rzucił się w bok do trzeciej szyny. Rozbłysło białe światło, a on zniknął.

Wargi zniknęły również, podobnie jak pająk, a zdziwiony Boreasz wpadł we wściekłość. Gdzie się podział Walters? Nie zamienił się w mgłę; już on o to zadbał. Nie stał się niewidzialny; słyszałby jego oddech. Ten błysk... Co to mogło znaczyć?

I w jednej chwili zrozumiał, zły na siebie za własną głupotę. Walters zamienił się w istotę zbudowaną z czystej energii i pędził teraz trzecią szyną.

Cholera!

Boreasz nie wiedział, dokąd prowadzi tunel. Nie chciał ryzykować pogoni za Waltersem, nie znając sieci kolejki podziemnej. Stworzył specjalny pojazd elektryczny i ruszył z maksymalną szybkością w kierunku stacji Times Square.

Mac Walters wrócił do własnej postaci i zaklął. Podróżując z prędkością ładunków elektrycznych, przemierzył linię od początku do końca ze trzydzieści tysięcy razy w

ciągu kilku sekund. Wreszcie wybrał stację, zmaterializował się i wyszedł na powierzchnię przy Central Park.

Rozejrzył się i stwierdził, że znajduje się jakieś szesnaście czy siedemnaście przecznic od celu. Pobiegł na Columbus Circle, realizując pierwotny plan, wyobraził sobie samochód policyjny i wskoczył do niego.

Szybko się przekonał, że radiowóz pędzący na światłach i z włączoną syreną nie znaczy na ulicach Nowego Jorku. Minęły dwie cenne minuty, zanim się uspokoił i znalazł rozwiązanie.

Siłą woli oczyścił ulice z wszelkich pojazdów i podporządkował sobie światła uliczne. Dotarcie na Times Square zajęło mu niecałe dwie minuty.

Wyszedłszy na Czterdziestą Trzecią Ulicę, Boreasz natychmiast zauważył brak ruchu ulicznego i zrozumiał, że Walters już tutaj dotarł. W tym czasie Mac zatrzymał się na Czterdziestej Szóstej Ulicy i popatrzył na plac. Powinien tam stać posąg Abaddona z klejnotem w dłoni. Nigdzie go nie dostrzegł. Times Square wyglądał jak zawsze, z tym że był pozbawiony samochodów.

Postanowił wysiąść z radiowozu. Ruszył szybko Siódmą Aleją w kierunku skrzyżowania z Broadwayem, które tworzyło Times Square. Był zadowolony, że nie pozbył się również przechodniów. Tłumy zapewniały mu osłonę i wcale nie przeszkadzały, gdyż oprócz szerokich chodników miały do dyspozycji także ulice.

Jeszcze większe zdumienie odbijało się na twarzy Boreasza, który stał po przeciwnej stronie placu i rozglądał się w poszukiwaniu posągu. Musiał tu gdzieś być, po prostu musiał, a Walters jeszcze do niego nie dotarł, ponieważ wciąż otaczała ich metropolia stworzona przez demona.

Wszędzie widział ogromne tablice reklamujące wszystko: od przedstawień na Broadwayu po kawę, papierosy, linie lotnicze i wiele innych rzeczy. Przyjrzał się im uważnie, mając nadzieję, że posąg może być ukryty wśród gigantycznych reklam lub na którymś z budynków.

Mac pomyślał o tym samym i zatrzymał się tuż przed placem, żeby się zastanowić. Przez sekundę bał się, że Abaddon go oszukał i wrócił do swojego świata, ale szybko porzucił tę nieprzyjemną myśl.

Boreasz pierwszy znalazł klucz do rozwiązania zagadki dzięki temu, że znajdował się trochę bardziej na południe. Trójkątny budynek wcinający się w plac od północy, dawniej siedziba Allied Chemicals, a później redakcja jednej z gazet, miał zamontowaną reklamę świetlną, która kiedyś przypuszczalnie wyświetlała

wiadomości. Neon nadal działał i w pewnym sensie spełniał teraz swoją pierwotną funkcję.

Wzdłuż trójkątnej krawędzi dachu zapaliły się litery:

„Mac Walters i Boreasz dotarli przed chwilą na plac. Spodziewana jest podniebna bitwa na szczycie budynku.”

Boreasz uśmiechnął się szeroko i spojrzał wyżej. Na dachu wznosił się słup, którego używano - choć czarnoksiężnik o tym nie wiedział - do sygnalizowania, że rozpoczął się Nowy Rok. Na wierzchołku słupa stała znajoma postać ubrana na czarno.

Boreasz rozejrzał się nerwowo. Nie dostrzegł nigdzie przeciwnika, ale gdyby wyeliminował ludzi z placu, również siebie wystawiłby na widok. Może on teraz wjeżdża windą na górę! Jeśli nie, jest gdzieś na ulicy. Trzeba działać!

Wybrał znowu postać wielkiego pająka, po pierwsze dlatego, żeby błyskawicznie wspiąć się po ścianie budynku oraz dlatego, że straszny widok mógł wywołać panikę w tłumie i w ten sposób odciąć rywala. Był to dobry plan, miał jednak poważną wadę. Zakładał, że Walters w tej chwili próbuje dotrzeć do posągu.

Prawda była taka, że Mac znajdował się pół przecznicy od placu i jeszcze nie zauważył elektronicznego napisu. Zobaczył natomiast gigantyczną tarantulę, która wyrosła jak spod ziemi.

Rozległy się krzyki i wrzaski przerażenia, a ludzie zaczęli się tratować, rozbiegając w panice we wszystkich kierunkach. Od Times Square odchodziło wiele ulic, ale istniała groźba, że potężna ludzka fala zmiecie Maca w ciągu następnych kilku sekund.

Boreasz nie ryzykował. Natychmiast skierował się do właściwego budynku i zaczął wspinaczkę. Mac od razu się zorientował, gdzie jest posąg.

Skoro Boreasz lubi filmy grozy, niech ma. W mgnieniu oka Mac Walters zamienił się w King Konga, o połowę wyższego od Centrum Rockefellera stojącego kilka przecznic dalej. Widział wszystko aż do Hudsonu, za którym zaczynała się szara pustka. Przez sekundę Mac zastanawiał się, czy dalej jest New Jersey, czy też wykreowany świat kończy się na rzece. Nie potrafił tego stwierdzić.

Spojrzał w dół na statwę ustawioną na dachu budynku i odpowiednio zmniejszył swój wzrost. W tej samej chwili gigantyczny pająk wszedł na dach od drugiej strony.

Boreasz był zajęty wspinaczką i dopiero teraz zobaczył ogromną małą rękę sięgającą po klejnot. Nie miał czasu do stracenia. Na niebie pojawiły się myśliwce,

które wystrzeliły rakiety w potwora.

Eksplodze wystraszyły Maca. Jedna z rakiet omal nie trafiła go w plecy. Wrzasnął z bólu. Ręka, która już miała chwycić klejnot, drgnęła odruchowo i straciła całą konstrukcję. Spadła na opustoszały Times Square i roztrzaskała się z hukiem. Sama statua oddzieliła się od masztu i wpadła przez okno restauracji.

Pająk błyskawicznie cofnął się na ścianę. Mac znajdował się zaledwie kilka kroków od celu.

Boreasz zauważył to i również zamienił się w King Konga. Teraz po obu stronach starego budynku stały dwie olbrzymie małpy.

Mac opadł szybko na cztery łapy i zmniejszył się. Sama zmiana pozycji sprawiła, że znalazł się dziesięć metrów od posągu leżącego w oknie restauracji.

Boreasz ryknął wojowniczo i sięgnął po statwę. Jednocześnie powietrze rozdarł huk i cztery rakiety wystrzelone z myśliwców trafiły go w zad.

Czarnoksiężnik zawył z bólu i wyprostował się odruchowo. Mac w tym czasie wdrapał się na posąg, nie zważając na potłuczoną szybę, i sięgnął po płonący klejnot, który demoniczna postać trzymała w prawej ręce. Odwrócił na sekundę głowę i zobaczył, że Boreasz, tym razem w ludzkiej postaci, znajduje się dziesięć kroków od okna i biegnie w jego stronę. Nie miał ochoty walczyć na koniec z czarnoksiężnikiem, więc zdobył się na ostatni wysiłek, żeby zyskać cenne sekundy.

Niebo poczerniało nagle od milionów latających stworzeń. Na pustym placu rozległ się łopot milionów skrzydeł, odbijając się echem od murów. W tym momencie wszystkie gołębie Nowego Jorku jednocześnie wypróżniły się z niezwykłą celnością, dosłownie zatapiając Boreasza w ptasich odchodach.

Mac Walters chwycił klejnot i triumfalnie wykrzyknął imię Mogarta.

Nowy Jork zniknął jak zdmuchnięty. Znajdowali się znowu na szarej równinie terenu treningowego. Boreasz siedział na ziemi, plując i czyszcząc się z gołębiego łajna. Między Makiem a jego pokonanym przeciwnikiem stał Abaddon.

- Nieźle. To uczciwe zwycięstwo, panie Walters - pochwalił demon. - Gratuluję. - Odwrócił się do nieszczęsnego Boreasza i spiorunował go wzrokiem, a na jego twarzy pojawił się prawdziwie demoniczny wyraz gniewu. - A jeśli chodzi o ciebie - powiedział szyderczo - mogłeś łatwo wygrać, a zepsułeś wszystko przez swój egotyzm! Zawiodłem się na tobie i powinieneś drogo za to zapłacić, Boreaszu!

Czarnoksiężnik tylko rzucił mu ponure spojrzenie i nic nie odpowiedział.

- Zaczekaj, Abaddonie! - zaprotestował Mac. - To nieuczciwe! Popęłił błędy i

przegrał, ale nie możesz go za to karać.

- Dlaczego nie? - warknął demon.

- Ze wszystkich ludzkich istot na mojej ziemi wybrałeś właśnie jego - zauważył Mac. - Znałeś jego słabości i wady, które są jedynie odbiciem twoich. Możesz obwiniać tylko siebie. Dziękuję, że dałeś mi szansę wygrania.

Demon milczał przez chwilę zaskoczony, a potem wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Przemyślę to do czasu rozpoczęcia następnego szkolenia. Może nauczę się czegoś, analizując wady moich wyznawców.

- Jesteś uczciwym i porządnym gościem pomimo - przeszkód, które mi postawiłeś na drodze - oświadczył Mac. - Życzę ci powodzenia.

Demon uśmiechnął się na to pochlebstwo.

- Dziękuję - odparł. - A teraz zabieraj swoją wygraną i uważaj na starego Asmodeusza! Dopilnuj, by dotrzymał umowy. W przeciwieństwie do mnie on nie jest porządny ani uczciwy.

- Będę o tym pamiętał - zapewnił go Mac i spojrzał na klejnot trzymany w dłoni. - Zabierz mnie do Asmodeusza Mogarta! - rozkazał i zniknął.

Abaddon westchnął i odwrócił się do Boreasza usmarowanego ptasimi odchodami. Rzucił mu mokrą szmatkę, która pojawiła się w jego ręce.

- Wyczyść się - warknął. - Może minąć dziesięć tysięcy lat, zanim się stąd wydostaniemy. Mam wobec ciebie pewne plany.

Boreasz nie wyglądał na wdzięcznego ani uradowanego.

GLÓWNA LINIA + 2076

Mac Walters zmaterializował się w pięciokącie narysowanym na podłodze baru w Reno.

Mogart leżał na środku lokalu. Trzymał w ręce szklankę i żłopał alkohol jak pies wodę.

- Hej, Mogarcie! Mam następny! - krzyknął Mac.

Mogart poruszył się i przesunął mętne spojrzenie w kierunku źródła hałasu. Wzrok mu się mącił. Całe pomieszczenie kręciło się wokół niego.

- Mogarcie! Otrząśnij się! Weź klejnot i wyślij mnie po następny! - zawołał nagle Mac.

- Już dobrze, dobrze... epp! - wymamrotał Mogart. Bezskutecznie próbował wstać. Zobaczył ośmiu wirujących Waltersów. - Potocz go... epp!... w moją stronę - powiedział i opadł na plecy.

Mac westchnął i spełnił polecenie demona. Klejnot zatrzymał się na wyciągnięcie dłoni od Mogarta, ale ten dosięgnął go dopiero za czwartym razem i przyjrzał mu się z ciekawością.

Nawet teraz nie był na tyle pijany, by nie móc myśleć, aczkolwiek robił to wolno.

- To już pięć! - stwierdził ze zdumieniem.

Macowi serce zabiło żywiej. Pięć! Jeszcze tylko jeden!

Nawet nie przejął się tym, że kobieta znowu go uprzedziła.

- Mogart! Gdzie jest dziewczyna... jak ona ma na imię?

Demon słyszał go jak przez mgłę.

- Żil McCul... Żil McCol... McCullow... co jest do diabła! - wybelkotał. - Ruszajmy do boju. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Jeszcze tylko jeden! - zaśpiewał, a na jego twarzy pojawił się głupi uśmiech.

- Poślij mnie jej na pomoc! - ponaglił Walters. - Tracimy czas.

Mogartowi udało się chwycić nogę stołka. Powoli, z wysiłkiem podciągnął się do poziomu baru. Przy drugiej próbie stanął prosto, podpierając się o ladę i spojrzał na mężczyznę. W tej pozycji poczuł się gorzej. Zobaczył ośmiu Maców zwisających z sufitu.

- Nie jestem w stanie ci towarzyszyć - oświadczył. - Ale to świat podobny do naszego. Sam sobie poradzisz. Poślę cię do niej i razem zdobędziecie klejnot. - Sięgnął ponad ladą, przy trzeciej próbie chwycił butelkę dżinu i rozlał alkohol po ladzie, starając się trafić do szklanki. - A, tak, chcę cię ostrzec - dodał. - Musicie być razem, jeśli chcecie wrócić dzięki klejnotowi. Pamiętaj!

- Zapamiętam - zapewnił go Mac. - Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

- Wysłałam cię do niej - powtórzył Mogart. - Ona ci powie. Ruszaj!

Mac Walters zniknął.

Asmodeusz Mogart dostrzegł kątem oka jakiś ruch i odwrócił się gwałtownie. Minęła chwila, zanim sobie uświadomił, że widzi własne odbicie w lustrze za barem.

Było tam jednak kilku wirujących Mogartów.

Podniósł szklankę z dżinem, próbując trafić do ust. Dokonał tej sztuki, gdyż zrobił to powoli. Wysączył alkohol i spojrzał na swoje odbicie.

- Asmodeusz, Król Demonów! - powiedział gorzko i rzucił szklanką w lustro. Powstałe pęknięcie można było dostrzec dopiero po trzech subiektywnych godzinach.

Na zegarze dochodziła pierwsza rano ostatniego dnia Ziemi.

GLÓWNA LINIA + 1076

Chicago

1

Panowała ciemność, ale to mu nie przeszkadzało. Kocim wzrokiem przenikał każdy kąt małego mieszkania, w którym się znalazł.

Czuł się świetnie. Nie odczuwał żadnego bólu ani najmniejszej dolegliwości, do których większość ludzi jest tak przyzwyczajona, że je ignoruje.

Znajdował się w jakimś salonie. Mieszkanie sprawiało dziwne wrażenie. Było przytulne i luksusowe, całą podłogę pokrywała wykładzina, meble wykonano z doskonałego drewna, ale we wnęce kuchennej stał piec i pojemnik z lodem zamiast lodówki. Co więcej, po sadzy i zapachu mógł stwierdzić, że gdzieś w budynku znajduje się duże palenisko służące do ogrzewania domu. Stylowe i nowoczesne z wyglądu lampy miały w środku zamiast żarówek szklane rurki wypełnione wodą i olejem, na powierzchni którego pływał knot.

Krótko mówiąc, wyglądało to na normalne, współczesne ziemskie mieszkanie, tyle że pozbawione, elektryczności, przykład ultranowoczesnego, całkowicie ekologicznego budownictwa. A jednak, a jednak... Zasłony były drobno tkane, podobnie jak dywany i wiele innych rzeczy. Zbyt drobno i równo jak na ręczne wykonanie. W tym momencie nie potrafił rozwiązać tej zagadki.

Jego wzrok przyciągnęła fotografia na stole. Wyglądała jak z dziewiętnastego wieku, ale wyraźnie ukazywała znajomą kobiecą twarz.

Ta kobieta... Jill... to była jej twarz.

Poczuł się rażniej. Przeszedł do sypialni, starając się zachowywać cicho. Nie chciał

zostać zastrzelony jako włamywacz.

W pokoju wisiał nieprzyjemny, duszący zapach. Mac powstrzymał odruch, by zakaszleć, i potarł łzawiące oczy.

Leżała na łóżku przykryta prześcieradłem. Nie mógł się pomylić. Dopóki nie zobaczył zdjęcia, prawie nie pamiętał jej rysów, ale teraz nie miał wątpliwości. To była z całą pewnością Jill McCulloch. Ruszył w kierunku łóżka, zamierzając ją łagodnie obudzić.

Poruszyła się, jakby usłyszała jego kroki. Uchyliła powieki i chwyciła przedmiot ukryty pod poduszką. Mac już wyciągał rękę, kiedy kobieta nagle przetoczyła się na drugą stronę łóżka, zerwała się i stanęła naprzeciwko niego, trzymając coś w dłoni.

- Hej! Zaczekaj! Ja... zawołał, ale zignorowała jego słowa. Uniosła przedmiot i wysunęła do przodu. Był w kształcie krzyża i jaśniał silnym blaskiem, rzucając iskry, oślepiając go i jednocześnie wydzielając żar, który palił jak ogień. Mac zasłonił oczy, ale niewiele to pomogło.

- Wyjdź z mojego domu, wampirze - powiedziała kobieta. - Rozkazuję ci na ten krzyż!

- Cholera jasna, Jill! To ja, Mac! Mac Walters! Od Mogarta! - krzyknął. Ból stawał się coraz silniejszy.

Zawahała się, a krzyż zadrżał jej w dłoni. Nie oślepił jej ani nie parzył, ale ona sama nic nie widziała w ciemności. Dostrzegła tylko niewyraźną postać.

- Zaczekaj chwilę i nie rób żadnych ruchów! - poleciła. - Zapalę lampę.

- Zostanę tutaj - obiecał - ale, na Boga, odłóż tę rzecz!

Nie opuściła krzyża, lecz wolną ręką sięgnęła po zapalki leżące na nocnym stoliku i zapaliła lojówkę. Dopiero wtedy przyjrzała się dokładnie gościowi.

- To ty! - szepnęła, wciąż trochę niepewna. Widziała tego mężczyznę tak krótko i według jej rachuby tak dawno temu. Jednak rzeczywiście wyglądał znajomo. - Jak do diabła stałeś się wampirem? - Opuściła krzyż, ale nadal trzymała go mocno, gotowa natychmiast się nim posłużyć.

Potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Ja... ja nie wiedziałem, że jestem wampirem, dopóki mi nie powiedziałaś. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem co powiedzieć.

- Od jak dawna tutaj jesteś?

- Właśnie zmaterializowałem się w twoim salonie.

- Zdobyłeś klejnot?

Skinął głową.

- Jeszcze został ostatni. - Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. - Hej! Mogart nie powiedział mi, jak tutaj płynie czas! Możemy nie zdążyć!

- Która godzina była w Reno, kiedy je opuszczałeś? - spytała równie zaniepokojona.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Pierwsza rano. A co?

- Cóż, jestem tutaj od prawie dwóch tygodni, a to tylko dwie godziny w naszym świecie. Mamy trochę czasu. Zresztą to bez różnicy. Tak czy inaczej musimy zdobyć klejnot.

Odchrząknął nerwowo.

- A... Mogart był pijany na umór, prawie nieprzytomny, kiedy go widziałem ostatnio. Powiedział, że ty mi wszystko wyjaśnisz.

Odprężyła się trochę.

- Kiedy ja tam dotarłam, też był w kiepskim stanie. Ale... wampir! To komplikuje sprawę!

Zgodził się z nią w myślach, ale nic nie powiedział.

- No dobrze. Znajdujemy się w Chicago. Ten świat jest bardzo podobny do naszego, z wyjątkiem paru podstawowych różnic. Przypuszczam, że jego twórcy chcieli sprawdzić jakieś teorie socjologiczne.

- Zauważyłem, że tu nie ma elektryczności - stwierdził.

- Nie ma elektryczności i żadnych większych maszyn. Istnieje za to magia. A także elfy, gnomy, chochliki i co tylko chcesz. Wytwarzają większość dóbr, zajmują się usługami. Jest wielu czarnoksiężników o różnych umiejętnościach i mocy, adeptów zarówno białej jak i czarnej magii. To kwestia wykształcenia i siły woli. Jeśli czegoś się chce, wystarczy to sobie wyobrazić. Im potężniejszy umysł, tym silniejszy czar.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- I wampiry.

- Tak - potwierdziła. - Nie ma ich wiele. Specjalny oddział policji zajmuje się wyłapywaniem, ale ofiar wampirów jest tyle samo, co, powiedzmy, kradzieży lub gwałtów. Ludzie się ich boją, ale bez przesady. - Zaczęła myśleć gorączkowo. Jako wampir, Walters powinien mieć moc, która mogła się przydać.

- A co z demonem i klejnotem? - spytał.

Westchnęła.

- Wiem, kto to jest. Nazywa się Theritus, ale nikt nie ma pojęcia, gdzie go znaleźć. To duży problem. Liczyłam na ciebie. Chociaż, jako wampir...

- Powiedz mi wszystko, co wiesz - zaproponował.

- Jest szef mafii nazwiskiem Constanza, który mieszka w Cicero. To specjalista od wymuszeń, znany nie tylko z posiadania wielkiego imperium przemytniczego i narkotykowego, ale również ze świadczenia pewnych nielegalnych usług magicznych i dostarczania zakazanych towarów. Jest znienawidzony przez innych bossów. Kilka lat temu uwięził Theritusa. Potężni czarnoksiężnicy potrafią chwycić demony, trzymać je w zamknięciu i zmuszać do robienia różnych rzeczy, jak w starych legendach. Wygląda na to, że Constanza wie, jak to robić, albo zatrudnia zdolnego czarnoksiężnika. Theritus przebywa gdzieś w mieście. Nasz mafioso jest właścicielem połowy Chicago, łącznie z wydziałem policji.

- I nie znalazłaś go?

Potrząsnęła głową.

- Jest dobrze ukryty. Zmaterializowałam się niedaleko Loop, więc to może być ślad. Jakiś tydzień temu udało mi się odkryć, gdzie trzymane są magiczne akta Theritusa.

- Ale nie dotarłaś do nich, prawda? - domyślił się.

Westchnęła sfrustrowana.

- O tak, dotarłam z pomocą niedoświadczonego, pozbawionego uprawnień czarownika. Gdy byłam w budynku, a mój głupi czarownik usiłował czarami otworzyć zamek, kto się zjawił? Główny Nekromanta FBI! Między federalnymi a paroma demonicznymi strażnikami doszło do konfrontacji, ale federalni zwyciężyli. Byłam piętro wyżej i słyszałam wszystko. Oczywiście zabrali akta. Kiedy próbowałam się stamtąd wydostać, złapali mnie ludzie z mafii.

Nie byli wobec niej zbyt łagodni. Początkowo sądzili, że jest z FBI. Dzielnie się wcześniej spisała jako znakomita szablistka, pokonując dwóch strażników z niższych pięter i neutralizując pomniejszego demona. Gangsterzy wyprowadzili ją tunelem, którego nie odkryli federalni, i zawieźli do Cicero. Nigdy więcej nie zobaczyła zaprzyjaźnionego czarownika.

Sprowadzono hipnotyzera i poddano ją przesłuchaniu. Hipnotyzer potrafił wyczuwać kłamstwa, więc wygadała całą prawdę.

Gangsterzy i tak jej nie uwierzyli - była to zbyt fantastyczna historia - i zatrzymali

ją jako więźnia do czasu powrotu Constanzy z Miami. Wiadomość o nalocie sprowadziła go po trzech dniach.

Okazało się, że jest zupełnie inny, niż się spodziewała. Nie wiedziała właściwie, jak powinien wyglądać - stary, brzydki, o złych oczach i poznaczonej bliznami twarzy. Nic z tego. Miał nie więcej niż czterdzieści lat i młodzięczy, zdrowy wygląd. Był niezwykle przystojny i bardzo uprzejmy.

Siedzieli przy kolacji, sącząc dobre wino i jedząc doskonałego bażanta.

- Jeszcze wina, moja droga? - zapytał. - To znakomity rocznik. Niewiele osób może w dzisiejszych czasach się nim rozkoszować.

- Dziękuję, nie - odparła grzecznie. - Doceniam propozycję, ale już mam dosyć. Muszę stwierdzić, że jest pan czarującym gospodarzem. Nie tego się spodziewałam po... - zająknęła się.

Uśmiechnął się.

- Gangsterze? Moja droga, korzenie tej organizacji sięgają czasów zjednoczenia Włoch w 1872 roku, kiedy to wielkie rody Królestwa Obojga Sycylii zostały wygnane przez Korsykan. Ich członkowie uciekli do kraju otwartego i rozwijającego się, i założyli królestwo będące odbiciem utraconego. Tutaj o pozycji decydowały pieniądze, a nie urodzenie. Tak więc moi przodkowie zajęli się handlem, dostarczając towary i usługi, których ludzie naprawdę potrzebowali, nawet jeśli publicznie domagali się ich zakazania. Nikogo pod groźbą pistoletu nie zmusza się do robienia nielegalnych zakładów, na ulice nie wychodzą brygady, żeby siłą prowadzić niewinnych młodych mężczyzn do domów publicznych, nikt nie pożyczka od lichwiarza, jeśli ma dobrą pracę i płaci rachunki na czas, że wymienię tylko trzy przykłady. Dostarczając tych usług, zarabialiśmy duże pieniądze; powstały armie żołnierzy, wielkie rody odbudowały się i dbały o własne interesy. Mamy swoje wewnętrzne spory, wendety, nawet wojny, ale wszystko pozostaje w rodzinie i nie dotyka niewinnych. Zapotrzebowanie na nasze usługi rosło tak szybko, że w skład rodziny wchodzi teraz Żydzi, Czarni, Polacy i Chińczycy. Nie widzę powodu, dla którego nie można by nas uważać za cywilizowanych ludzi. Jesteśmy przecież arystokracją!

W jego rozumowaniu tkwił błąd, ale Jill postanowiła na razie go nie szukać. Miała pilniejsze sprawy.

- Co pan ze mną zrobi? - spytała cicho.

Uśmiechnął się szeroko i pociągnął łyk wina.

- Jak pani wie, ostatnio w rezultacie rodzinnych sprzeczek zrobiono mi nalot.

Jeden z moich chciwych konkurentów przekupił albo zmusił torturami paru moich ludzi, żeby zdradzili, gdzie są pewne ważne dokumenty. Ponieważ mam swojego demona, nie mógł mnie zamordować, więc zrobił zamach w ten sposób. Zamierzam go przechytrzyć i zniszczyć. Mogę rządzić moim królestwem z daleka, ale nie z więzienia. - Przymrużył oczy i zrobił zawziętą minę. - Mam doskonałą bazę. Prywatne miasto-państwo w Chihuahua. Wiele lat temu przenieśliśmy tam sporą część działalności.

Próbowała sobie to wszystko poukładać w myślach. Na tej Ziemi Meksyk nie utracił północnych terytoriów. Chihuahua ciągnęło się na północ od Monterrey przez zachodni Teksas, południowy Nowy Meksyk i całą Arizone.

Twarz Constanzy zachmurzyła się.

- Jednak kilka miesięcy temu zaczęła się przeciwko mnie otwarta kampania. Miejscowi, głównie farmerzy, nigdy nie lubili mnie ani moich rządów. Zbudowałem wspaniały zamek nad rzeką, jedyny taki w promieniu setek kilometrów. Kupiłem zapórę na rzece i w ten sposób zdobyłem kontrolę nad zasobami wody. Byli ode mnie zależni, ale uważam się za dobrego władcę. - Jego twarz rozpromieniła się na to wspomnienie. - Ach, czułem się jak w dawnych czasach w Neapolu przed najazdem Korsykan! Rządziłem kilkoma tysiącami poddanych, sprawiedliwie, lecz surowo. - Znowu się nachmurzył i przybrał gniewną minę. - A mimo to wystąpili przeciwko mnie!

Jill powstrzymała złośliwy uśmieszek. Nietrudno było zauważyć, że tego rodzaju człowiek cieszyłby się z powrotu feudalizmu, i równie łatwo domyślić się, że pograniczni farmerzy nie chcieliby oddać swojej ziemi wydartej pustyni w pocie czoła.

- Dużą rolę w tym wszystkim odegrała CIA - kontynuował Constanza. - Teraz to widzę. Mój wróg, pozbawiony zasad łajdak Julius Goldfarb uzyskał potrzebne informacje i przeszkodził mi w wycofaniu się. Potem zabrali archiwa. Przyparli mnie do muru i nie mam czasu urządzić sobie innego bezpiecznego schronienia. Muszę albo uciec z kraju, przez co stracę kontrolę nad interesami, albo pójść do więzienia. Istnieje jeszcze jedno wyjście: przełamać ów nieszczęsny czar rzucony na moją posiadłość na południu.

- A co to ma wspólnego ze mną? - spytała zafascynowana opowieścią, ale zdziwiona.

Uśmiechnął się i zapalił cygaro.

- Cóż, czar broni dostępu do zamku. Rzucono go w pośpiechu i dlatego jest

obarczony błędami i dość prosty: „żaden mężczyzna nie przekroczy granicy tego terytorium” i dalej nazwa samego dominium oraz zapory. Ja i moi żołnierze nie możemy tam wejść, a ludzie wewnątrz są pozostawieni samym sobie, bez nadziei na wsparcie. Czar jest silny. Zatrudniono czarnoksiężnika najwyższej klasy oraz zastosowano pewne nowe procedury, które świadczą, że jest w to zamieszana CIA. Żaden z moich czarowników, nieludzi i mieszańców nie może sobie z nim poradzić.

- Dlaczego nie spróbować nieludzkiej armii? - rzuciła - pomyśl. - Przecież czar ich nie zatrzyma. I proszę nie mówić, że pański demon-jeniec jest bezradny.

Zachichotał.

- Nieludzie i mieszańcy podlegają innym prawom, jak pani zapewne wie. Nie stworzą armii dla kogoś spoza własnego grona. A jeśli chodzi o demona, to więzi go potężny czar, który działa jednak w określonym miejscu. Jeśli go stamtąd ruszę, uwolni się i raczej nie będzie miał ochoty dla mnie pracować. A na odległość nic nie zdziała. Odpada. Istnieje jednak sposób, by odzyskać tę ziemię. Można stworzyć grupę, której czar nie powstrzyma.

Jill wyraziła zdziwienie.

- Czar mówi: „żaden mężczyzna nie przekroczy” - przypomniał jej.

- Aha. Pan chce, żebym wstąpiła do pańskiej armii amazonek?

Roześmiał się.

- Nie, nie. Nie zrozumiała pani! Chcę, żeby ją pani poprowadziła.

- Po pierwsze, nie jestem generałem. Nigdy nikogo nie zabiłam. Po drugie, dlaczego pan sądzi, że bym się zgodziła?

W jego ciemnych oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Cóż, mogę stworzyć taki oddział siłą. Potężnymi czarami zmusić dużą grupę kobiet do posłuszeństwa. Jednak żadnej nie mógłbym powierzyć dowództwa nad tą armią i zaufać, że będzie wypełniała moje rozkazy. Większość kobiet mających odpowiednie kwalifikacje jest zbyt niebezpieczna. Dać im taką armię, a przejmą ją i założą własne królestwo. Problem był nie do rozwiązania, dopóki pani nie spadła mi z nieba. - Strzelił palcami.

Usłyszała nagle swój własny głos, senny lub odurzony narkotykami, relacjonujący przygody na innych światach.

- W kryształowej kuli doktora Lambetha obejrzałem całe pani przesłuchanie - wyjaśnił Constanza. - Wiele pani przeżyła. Jest pani odważna, bystra, pomysłowa. I, co ważniejsze, musi pani koniecznie zdobyć pewną rzecz, amulet demona.

- Obiecujecie mi pan klejnot? - spytała z niedowierzaniem. - I zrezygnujecie pan z usług swojego demona?

Constanza wzruszył ramionami.

- Jest teraz dla mnie bezużyteczny. Do tej pory moi prawnicy trzymali federalnych z dala od moich posiadłości, ale to kwestia tygodni. Włamią się któregoś dnia dzięki kontrczarom i ekspertom, którzy potrafią wypędzać demony. I tak go stracę, panno McCulloch. Jestem dość silny, by poradzić sobie bez niego. - Pochylił się do przodu i wpił w nią wzrok. - Poprowadzi pani moją żeńską armię, zmusi miejscowych do poddania się albo zabije wszystkich. Przełamawszy w ten sposób czar, przekaże mi pani dobrowolnie zamek i ziemię w zamian za klejnot. Jeśli nie, nie dostanie go pani. Theritus zostanie wygnany z tego poziomu, pani tutaj utknie na zawsze, a wasz świat zginie. Zrobi to pani, panno McCulloch. Nie ma pani wyboru. Nie musi pani znać się na strategii, będzie pani miała przy sobie doradców. Ani nie musi pani plamić sobie rąk krwią. Wystarczy, że wyda pani rozkaz zabijania. I zrobi to pani!

- Dał mi to mieszkanie - kontynuowała Jill. - Jutro wyruszam. Nie mam wyboru, Mac. Będę musiała wymordować spokojnych farmerów i zwrócić wszystko Constanzy. Muszę to zrobić w ciągu pięciu dni od dzisiaj, chyba że do tego czasu ty odnajdziesz demona i zdobędziesz klejnot. - W jej oczach ukazały się łzy. - Nie widzę wyjścia z tej sytuacji. To wybór między życiem naszej planety a życiem tutejszych niewinnych ludzi. Miałam nadzieję, że ty coś wymyślisz i wybawisz mnie z tego, ale jako wampir... sama już nie wiem.

- Posłuchaj, to, że jestem wampirem, ma swoje wady i zalety - stwierdził po chwili zastanowienia. - Największy problem to Oddział Zwalczania Wampirów, ale nie będę się nim przejmował, gdyż prawdopodobnie nie jest lepszy od innych policyjnych oddziałów. Po drugie mogę działać tylko w ciemności. Jaki mamy dzień i miesiąc?

Spojrzała zdziwiona.

- Czternasty września. A co?

Pokiwał głową z zadowoleniem.

- To oznacza, że dzień i noc są prawie równe. Poza tym trudno mnie zabić, mam dużą swobodę poruszania się i zapewne wiele innych możliwości. Mogę wejść tam, gdzie ty nie możesz, i zdobyć informacje. Chyba powinienem spróbować.

- Mam nadzieję, Mac. Nie chcę być zmuszona do podjęcia decyzji - powiedziała trochę podniesiona na duchu.

- Kiedy ruszasz?

- Rano. Dlaczego pytasz?

Mac przypomniał sobie ostrzeżenie Mogarta.

- Oboje musimy być w tym samym miejscu, jeśli chcemy wrócić do Reno - oznajmił. - Jak cię znajdę, kiedy zdobędę klejnot?

- To proste - uspokoiła go. - Rozkażesz klejnotowi, żeby cię przeniósł do mnie, a potem nas razem do Mogarta.

- Masz rację - przyznał Mac. - Abaddon powiedział mi, że każdy może użyć Oka Baala, czyli sześciu klejnotów. No dobrze. Od czego mam zacząć?

- Przejdź do salonu. Ja pójdę za tobą.

Zachichotał.

- Nadal się boisz wielkiego złego wampira?

- Nigdy za dużo ostrożności - odparła. - Jesteś silny, ale jednocześnie jak narkoman nie możesz się oprzeć pewnym pokusom. Najlepsi ludzie zamieniają się w wampiry. Nie mogę ryzykować.

Przyznał jej rację i oboje poszli do dziennego pokoju.

Na dowód, że można mu ufać, zapalił świece. Jill poszperała w szufladzie biurka i wyjęła z niej teczkę.

- Oddali mi to wszystko, nawet nie przeglądając - powiedziała. - Policyjne raporty, plotki, nazwiska ludzi na usługach Constanzy, listę jego nieruchomości w mieście. - Położyła teczkę na stoliku do kawy i cofnęła się wolno. Wziął ją do ręki.

- Bardzo się przyda - stwierdził. - Wiem, że czujesz się nieswojo, więc już pójdę. Jeśli to możliwe, zdobędę klejnot. Nie trać nadziei. Jesteśmy zbyt blisko celu, żeby teraz zawieść!

- Tak, zdobędziemy klejnot, Mac - odparła cicho - ale za jaką cenę? W tym rzecz.

2

Znalezienie trumny okazało się łatwe. Przed świtem poczuł silne przyciąganie, jakby włączył się wielki magnes, a on był ubrany w strój z żelaza. Stała w drenie na poboczu błotnistej drogi. Z zadowoleniem stwierdził, że jest mało prawdopodobne, żeby ją odkryto w ciągu kilku następnych dni.

Spał głęboko i bez snów.

Obudził się zgłodniały. Wyczołgał się z rury wiedząc, że musi zdobyć coś do jedzenia. Jednocześnie przypomniał sobie, co to za jedzenie.

Ku swojemu zaskoczeniu przekonał się, że nie jest sam. Zobaczył ładną młodą kobietę w modnej sukience i niskiego mężczyznę w garniturze i krawacie. Wyglądali równie zwyczajnie jak on. Żadnych strojów operowych ani peleryn. Zrozumiał teraz, dlaczego stworzono Oddział do Zwalczania Wampirów.

Obserwował zafascynowany, jak kobieta zamienia się w wilka i oddala susami. Mężczyzna natomiast zauważył go i przyjrzał mu się ze zdziwieniem. Podszedł do Maca, który zastanawiał się, co ma robić.

- Hej! Czy pan Mac Walters? - spytał wampir.

- Ee... Tak - wykrztusił Mac osłupiały.

- A niech mnie - powiedział mężczyzna. - No nie! Domyśliłem się, że będzie pan musiał uciekać z Denver. Zbyt wielu ludzi zna pańską twarz. Jednak nie spodziewałem się znaleźć pana w Chicago! - Wyciągnął rękę.

Mac potrząsnął nią.

- Eee, proszę wybaczyć... czy ja pana znam? - spytał z zakłopotaniem.

Wampir zachichotał.

- O rany! Nie! Oczywiście, że nie! Ale widzi pan, w czasie Wielkiego Pucharu dobrze mi się powodziło. Miałem ładny dom. Morey Kutz był za życia sprzedawcą nieruchomości i udało mu się ulokować trochę pieniędzy w bankach szwajcarskich. Miał cały kwartał domów na South Side dla ludzi w naszej sytuacji. Wynajął jasnowidza, żeby odtworzył dla nas tamten mecz. Wszyscy wiedzieliśmy, że stanie się pan jednym z nas. Biedny Morey. Oddział w końcu go dopadł. Dostali cynk od urzędnika podatkowego.

Mężczyzna był dziwny i mówił bez związku, ale Mac doszedł do wniosku, że można by spodziewać się czegoś gorszego. Przypomniał sobie filmy o Draculi. Poza tym mężczyzna mógł się okazać użyteczny.

- Ja... ja mam problemy z pamięcią od... odkąd umarłem - wyznał Mac. - Może mi pan wyjaśnić, co się stało? Dlaczego jestem wampirem?

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To niedobrze, ale proszę się nie przejmować. Zdarza się to najlepszym z nas. Cóż, w meczu przeciwko Dallas w L. A. przebiegł pan sto dwadzieścia dwa jardy i zdobył pięćdziesiąt punktów. Za panem i przeciwko panu było tyle samo kibiców. Gdy w czwartej kwarcie nie podniósł się pan po tym, jak Billy Thomson pana sfaulował,

wszyscy myśleli, że pan nie żyje. Tylko fani Denver modlili się, żeby pan żył, a kibice Dallas mieli nadzieję, że pan wykorkuje, gdyż uważali, że jest pan odpowiedzialny za ich porażkę. Ponieważ obie strony były mniej więcej równe liczebnie, spełniła się wola obu.

Mac przypomniał sobie, co mu powiedziała Jill, że magia opiera się przede wszystkim na sile woli i umysłu, podobnie jak na poziomie treningowym Abaddona, tylko że na mniejszą, indywidualną skalę. W tym wypadku zbiorowa wola dwóch dużych grup ludzi sprawiła, że stał się żywym trupem.

Westchnął zdziwiony, że w ogóle oddycha, i spojrzał na małego mężczyznę.

- Cóż, muszę stwierdzić, że czuję się trochę zagubiony. Może mi pan wyjaśnić, czym właściwie się zajmujemy?

Wampir wzruszył ramionami.

- Zwykłymi rzeczami. Niektórzy porywają się na wielkie zadania i zamieniają ludzi w swoich niewolników albo robią inne głupstwa, ale gliniarze są dobrzy w wyłapywaniu tych wariatów. Ja natomiast robię dobrą minę do złej gry i staram się jak najlepiej wykorzystać sytuację. Mam szczęście, podobnie jak pan, że nie zostałem stworzony przez innego wampira, więc nikt mi nie rozkazuje. Zdobywam dość krwi na własny użytek. Musi pan to robić, to jest jak opium. Znajduję sobie kilka ofiar i wysysam z każdej po jakieś pół litra. Zajmuje mi to więcej czasu, ale im nie dzieje się krzywda. Potem odpoczywam, chodzę do nocnych salonów gier, szukam sobie rozrywek. Traktuję wszystko na luzie i cieszę się z tego, co mam. Jeśli zrobi się gorąco, wyniosę się stąd, może pojedę do jakiegoś kurortu.

- A ofiary pozwalają wyssać z siebie krew? - zapytał Mac z niedowierzaniem.

Mężczyzna roześmiał się.

- Do licha, nie! Trzeba im spojrzeć w oczy i zahipnotyzować, najłatwiej kobiety albo dzieci. To proste. Tylko nie można wpaść w rutynę i grasować noc po nocy na tym samym terenie, bo dopadnie pana Oddział.

- Tamta kobieta zamieniła się w wilka. My też możemy? - wypytywał dalej Mac.

- Jasne - odparł mężczyzna. - Wystarczy tylko chcieć. Można też zamienić się w chmurę dymu albo nietoperza. Czasami się to przydaje. Tylko musi pan uważać, żeby nikt pana nie śledził do tej kryjówki, najlepiej też trzymać się z dala od krzyży, jeśli jest pan chrześcijaninem, albo od gwiazdy Dawida i pieczęci Salomona, jeśli jest pan żydem. Proszę też pamiętać, że może się pan utopić w płynącej wodzie. Poza tym, trudno się dostać do prywatnych domów, jeśli nie zostanie pan zaproszony, ale na

wszystko są sposoby, można na przykład zahipnotyzować kogoś przez okno, ale to trudne i często kłopotliwe. - Spojrzał na otaczające ich wysokie budynki. - W tak dużym mieście zawsze jest dużo spóźnionych przechodniów, niekoniecznie głupców, ale ludzi, którzy pracują w nocy. Proszę zachować spokój, nie zwracać na siebie uwagi, maskować się, a będzie dobrze.

Mac skinął głową oszołomiony i podziękował mężczyźnie. Na odchodnym jeszcze zawołał:

- Halo! Proszę mi coś powiedzieć! Skoro nie został pan stworzony przez innego wampira, musiał pan mieć przeżycie podobne do mojego. Równa liczba osób musiała pana kochać i nienawidzić. Co pan robił za życia?

Mężczyzna roześmiał się gorzko.

- Jak ulotną rzeczą jest sława - mruknął. - Cóż, kolego, byłem burmistrzem Filadelfii!

Wampiryzm istotnie nie był powszechnym zjawiskiem. Ludzie często ignorowali to zagrożenie, podobnie jak inne niebezpieczeństwa czyhające na nich nocą w mieście. Mieszkańcy tutejszego Chicago wystawali samotnie na rogach ulic, łapali autostop na pustych szosach, chodzili przez ciemne parki, nie zważając na ryzyko spotkania wampira.

Mimo że czas uciekał, Mac musiał tej jednej nocy pozwolić sobie na luksus. Pragnienie stało się przemożne. Sam nie wiedział jak, ale znalazł ofiarę, zahipnotyzował ją bez wysiłku i wypił trochę krwi, nie czując najmniejszego obrzydzenia. Był jednak ostrożny, tak jak go poinstruował poznany wampir. Wysysał tylko trochę krwi i chociaż ofiary później mdlały, zawsze układał je wygodnie, sprawdzając najpierw puls.

Krew miała na niego dziwny wpływ. Im więcej pił, tym silniejszy i odważniejszy się stawał. To było coś więcej niż pożywienie, to był środek pobudzający i łagodny trunek. Postanowił w przyszłości bardziej się ograniczać. Zbytńia pewność siebie mogła sprawić, że przestałby zachowywać ostrożność, co groziło schwyтaniem przez policję. Wiedział, że będzie miał do czynienia z ludźmi, którzy potrafią się bronić; zwłaszcza ci wtajemniczeni w sprawy Constanzy.

Poćwiczył również hipnozę i transformacje, aż potrafił wykonywać je automatycznie. Później zaryzykował kilka prób na mężczyznach. Jednego nie zdołał obezwładnić i musiał zdać się na swoją nadludzką siłę i zdolność transformacji, żeby

uciec. Drugiego mężczyznę złapał równie łatwo jak kobiety. Była to kwestia emocji i siły woli.

Przed świtem doszedł do wniosku, że opanował tyle sztuczek, na ile pozwolił czas. Jednocześnie snuł pewne refleksje. W swoim świecie zrezygnował z gry w ostatnim sezonie, chociaż uważał, że jego zespół dotrze do finału Wielkiego Pucharu i zwycięży. Stało się inaczej, a on był sprytny i wcześniej opuścił drużynę. Jego odpowiednik w tym świecie uległ pokusie i zginął na boisku. W drużynie Maca grał Billy Thomson. Gdyby on się nie wycofał...

Ta myśl kołatała mu się po głowie, kiedy zasypiał o świcie.

3

Jill McCulloch była pod wrażeniem. Pojechali na stację wystawnym powozem rzekomo wykonanym na zamówienie dla króla Anglii, zaprzężonym w ósemkę koni. Towarzyszył jej Constanza, jego ochroniarze i O'Malley, który wyglądał jak irlandzki polityk, choć wcale nim nie był.

Najlepsi czarnoksiężnicy tego świata nosili trzyczęściowe garnitury i starannie zawiązane krawaty.

O'Malleya zdradzały tylko oczy - stalowoszare, twarde i błyszczące inteligencją. Zdawał się nimi przeszywać człowieka na wylot. Były to również zimne oczy człowieka, który uważa się za lepszego od innych i dba o ludzi tak samo jak tępicieł szkodników o muchy.

Zapytała go, dlaczego pracuje dla Constanzy, a on tylko uśmiechnął się i odparł:

- Widzi pani, mam wszystko, czego potrzebuję, jeśli chodzi o sprawy materialne, a poza tym nie cierpię na nadmiar ambicji. Kocham swój zawód, a ludzie tacy jak pan Constanza dają mi okazję go wykonywać.

Kiedy powóz zajechał na Union Station i zatrzymał się przed wejściem dla pasażerów pierwszej klasy, Jill ze zdumieniem przekonała się, że na tym świecie są maszyny parowe i pociągi. Wyglądały jak z dziewiętnastego wieku, z tym że kotły parowe były zbyt pękate, a koła dziwnie rozstawione. Takie pociągi widywało się w starych westernach.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wynaleźliście elektrycznego albo przynajmniej gazowego oświetlenia w miastach, skoro macie to - powiedziała do Constanzy.

Uśmiechnął się.

- Cóż, tutaj jest inaczej. Elektryczność jest stosowana w drobiazgach. Gdybyśmy się od niej uzależnili, magicy mogliby przerywać dopływ prądu. Społeczeństwo uzależnione od czegoś, co można tak łatwo kontrolować siłą ducha, byłoby zniewolone. A jeśli chodzi o gaz... - westchnął - z nim jest jak z ropą naftową. Gnomy nie pozwalają na wiercenia, nie mówiąc o ułożeniu rurociągów. Większość z nich mieszka w twierdzach na zachodzie i południowym zachodzie, gdzie od tysiącleci mają sojusz z Indianami. Może któregoś dnia dojdziemy do porozumienia, ale nie teraz.

Jill skonstatowała, że jeszcze wielu rzeczy nie wie o tym świecie i prawdopodobnie nigdy się nie dowie.

Wysiedli z powozu i weszli na stację otoczeni przez ochroniarzy, którzy torowali drogę, a nawet otwierali przed nimi drzwi. Na Constanzę czekał prywatny wagon na końcu składu. Mężczyźni i kobiety w wiktoriańskich strojach wsiadali do normalnych wagonów. Niektórzy zerkali w ich stronę. Wzdłuż peronu biegali gońcy z gazetami, wykrzykując nagłówki. Jill dowiedziała się przy okazji, że alchemicy strajkują, domagając się reprezentacji w związkach zawodowych.

Chwilę później pociąg ruszył, kierując się na zachód. Jechało się całkiem wygodnie i bez wstrząsów. W prywatnym wagonie było wszystko: mała sypialnia, toaleta, pluszowe siedzenia, a nawet mały stół do bilarda zamieniony na stolik karciany. Jeden z ochroniarzy przygotował koktajle i przyniósł je Jill, Constanzy i O'Malleyowi.

- I co teraz? - zapytała Jill. Do tej pory Constanza nie podał zbyt wielu szczegółów, prawdopodobnie po to, by zminimalizować ryzyko przecieków. Jeszcze nie odkrył, skąd jego rywal uzyskał informacje o archiwach.

- Najpierw pojedziemy na zachód, a potem na południowy zachód - odparł. - W Kansas City skrećmy na - Dodge, gdzie jest końcowa stacja. Podróż będzie wygodna. Dwa wagony w przodzie również należą do mnie. Jeden to wagon restauracyjny, którego doskonały szef pracuje dla mnie, a drugi to wagon pierwszej klasy z sypialniami dla pani i pana O'Malleya i kwaterami dla mojego personelu. Od Dodge będziemy podróżowali dylizansem i konno do granicy meksykańskiej, gdzie rozbiję obóz i będę czekał na wieści. Dalej pojedzie z panią O'Malley. Reszta będzie należała do pani.

Nie spodobało się jej, że zostanie sama z O'Malleyem, ale nic nie mogła na to poradzić, o czym nieustannie przypominał jej wesołym tonem Constanza.

- Gdzie jest ta armia amazonek? - zapytała.

- Nie amazonek, tylko kobiet na mojej służbie - odparł gangster. - Dołączą do nas po drodze, a raczej do pani. Nie martwiłbym się o to. Pani rola jest całkiem prosta i nie wymagająca wysiłku.

Nie wymagająca wysiłku, pomyślała kwaśno. Może. Wydać rozkaz rzezi, upewnić się, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci z miasta i okolicznych farm zostali zabici, a następnie „dobrowolnie” oddać ziemię Constanzy, żeby w zamian otrzymać klejnot.

- Ma pan ze sobą klejnot? - zainteresowała się.

Constanza zachichotał.

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież pani wie, że to byłoby niebezpieczne.

- Więc jaką mam pewność, że mi go pan da, kiedy wykonam zadanie?

- Moje słowo, panno McCulloch - rozległ się niski, operowy głos O'Malleya. - Theritusa więzi rzucony przeze mnie czar. On musi mnie słuchać. Zawrzemy taką samą umowę, jaką zawarła pani z Asmodeuszem.

Gdy skinęła głową, kontynuował.

- Umowa to umowa. Pani odzyska twierdzę, a ja dam pani w zamian klejnot. Wręcę go pani u bram Cytadeli. Muszę dotrzymać słowa, gdyż inaczej Węglarze od razu porwaliby moją duszę. Don Constanza przystanie na te warunki, ponieważ będzie potrzebował moich usług, żeby ochronić zamek.

Zerknęła na Constanzę i zobaczyła, że próbuje ukryć irytację. Drażniło go, że potrzebuje kogoś, kogo nie może kupić, zastraszyć albo kontrolować.

A pociąg jechał i jechał.

Półtora dnia później dotarli do Dodge City w Kansas, miasta, które wyglądało podobnie jak w czasach zdobywania Dzikiego Zachodu, czasach Wyatta Earpa i Bata Mastersona. Nie zatrzymali się tam jednak, lecz od razu ruszyli dalej na zachód.

Na granicy, do której dotarli godzinę po zachodzie słońca, stał tylko znak. Jill była zaskoczona, że granicy praktycznie nikt nie strzeże.

- Nie ma takiej potrzeby - wyjaśnił O'Malley. - Czary są skuteczniejsze niż ogrodzenia i strażnicy. Przekraczanie jej jest dla przemytników i nielegalnych imigrantów trudne, wręcz śmiertelnie niebezpieczne. My mamy wizy meksykańskie. Możemy przejść na drugą stronę.

Kiedy mijali znak graniczny, Jill poczuła lekkie łaskotanie, jakby przechodziła przez ogromną pajęczą sieć. Musiała się tam znajdować jakaś bariera. Dobrze, że nie musieli się przekradać.

Po drugiej stronie Constanza rozbił obóz - dużą wioskę namiotów dla siebie, ochroniarzy i kucharzy - i wydał ostatnią kolację. O'Malley poszczący przez cały dzień odmówił jedzenia i picia i zabronił Jill jeść cokolwiek.

- Musimy ruszać - powiedział.

Jill rozejrzała się niespokojnie. Niezliczone gwiazdy świeciły bardzo jasno, ale poza tym panowała gęsta ciemność.

Constanza jednak nie zaprotestował. Wezwał ochroniarza, który przyprowadził dwa dorodne konie i muła objuczonego dwoma workami.

- Mam nadzieję, że umie pani jeździć? - zapytał O'Malley.

Skinęła głową. Zmieniwszy wiktoriańską suknię na koszulę i džinsy, poczuła się swobodniej.

- Chciałabym mieć to już za sobą - mruknęła i wsiadła na konia.

- Bóg z panią - powiedział Constanza i podał jej rękę.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie mówi tego poważnie, pomyślała. A jednak wcale nie żartował. I nie dostrzegła w tym żadnej sprzeczności. Nie przyjęła jego dłoni.

- Dokonam tej rzezi - powiedziała - ale nie dla Boga ani dla pana, lecz dla mojego świata. - Spojrzała na O'Malleya. - Wyośmy się stąd, zanim zrobi mi się niedobrze.

Constanza ani trochę nie wyglądał na obrażonego. Wzruszył ramionami i odszedł. O'Malley ruszył, prowadząc muła.

- Proszę się trzymać blisko mnie i nie zbaczać z drogi - ostrzegł ją.

Po paru minutach zniknęły światła obozu, a oni zostali sami wśród ciemności rozjaśnionej jedynie przez Drogę Mleczną. Jill mogłaby przysiąc, że słyszy za sobą śmiech Constanzy.

Jakby zrobił jej świetny kawał.

Jechali przez wiele godzin. Wkrótce rozboleły ją nogi. Poczła mięśnie, o których istnieniu dawno zapomniała. Umiała jeździć konno, ale ostatni raz miała po temu okazję ponad dwa lata temu i wyszła z wprawy. Dokuczał jej głód i pragnienie.

Już miała się poddać i powiedzieć O'Malleyowi, że nie może jechać dalej bez odpoczynku, ale właśnie w tym momencie czarnoksiężnik sam się zatrzymał.

- To dobre miejsce - stwierdził bardziej do siebie niż do niej i zsiadł z konia.

Poszła w jego ślady. Mimo zmęczenia *d razu poczuła błogosławioną ulgę. Usiadła na ziemi, z obawy przed wysoką trawą rosnącą po obu stronach bitego traktu, i czekała. Słyszała, że O'Malley najpierw grzebie przy jukach, a potem coś przygotowuje

przy drodze. Dziwiła się, jak może cokolwiek widzieć w takich ciemnościach.

Wreszcie podszedł do niej pewnym krokiem. Jego dziwne oczy odbijały skąpe światło jak oczy kota, a jednocześnie jarzyły się wewnętrznym blaskiem. Zmienił ubranie. Zauważyła to, kiedy stanął w odległości metra od niej. Zdjął szytą na miarę koszulę, spodnie i wypolerowane buty do konnej jazdy, a założył ciemną opończę i ściśle przylegającą do głowy czapczkę.

- Już czas, panno McCulloch - powiedział cicho. - Proszę wstać i iść za mną.

Jill spojrzała na niego, ale nie poruszyła się. Była śmiertelnie zmęczona.

- Proszę. Musimy to zrobić teraz - ponaglił ją.

- Dobrze, dobrze - mruknęła niechętnie i wstała, ujmując jego pomocną dłoń.

Ruszyła za nim w ciemność, zastanawiając się, co ją czeka.

Kawałek od drogi trawa zniknęła, ustępując miejsca twardej, nagiej ziemi. Kilkadziesiąt kroków dalej rozblęły nagle ogniska, oświetlając okolicę mieszaniną kolorów - niebieskiego, czerwonego, żółtego, pomarańczowego i zielonego. Strzelały iskrami prosto w niebo. Pięć kolorów, pięć płonących ognisk, które zapaliły się po przekroczeniu przez Jill granicy narysowanej na ziemi.

Pięciokąt.

O'Malley zbliżył się do małego składanego stolika stojącego pośrodku figury. Leżała na nim skrzynka. Skinął na Jill, żeby podeszła. Sam stanął z drugiej strony i wyjął ze skrzynki coś w rodzaju różdżki, która zaświeciła mu w dłoni. Machnął nią kilka razy i spojrzał na Jill.

- Proszę zdjąć ubranie - polecił.

Drgnęła. Nawet Constanza nie wykorzystał jej sytuacji.

- Nie zrobię tego - oświadczyła.

Westchnął.

- Proszę, panno McCulloch! Musimy usunąć stąd wszystkie obce przedmioty. Nie chcę pani zaczarować, tylko zawrzeć umowę. Zapewniam, że jest pani przy mnie bezpieczna.

Nie spodobał się jej sposób, w jaki to powiedział. Nie tylko jakby nie był nią ani trochę zainteresowany, ale jakby sam pomysł wydawał mu się niedorzeczny.

- Panno McCulloch, gdybym chciał, w ciągu paru sekund mógłbym panią zamienić w dyszącą z pożądania niewolnicę. Jednak zupełnie mnie to nie interesuje, podobnie jak mojego pracodawcy. Mamy jednak ważniejsze sprawy na głowie. Proszę po raz ostatni, żeby się pani rozebrała i wyrzuciła ubranie poza pięciokąt.

Westchnęła. Uwierzyła mu. Zrobiła, jak kazał. Dostrzegła, że czarnoksiężnik kiwa głową z aprobatą, choć wcale nie z powodu jej wyglądu. Był zaabsorbowany czym innym.

Nie czuła zimna, mimo że minęła połowa września. Albo klimat był cieplejszy na tym świecie albo zaczęło się babie lato.

O'Malley zamknął wieko kuferka i stanął twarzą do niej, trzymając w ręce różdżkę. Przypominała latarkę w kształcie długiej rurki z żółtego plastiku. Jill wiedziała jednak, że nie ma tutaj latarek ani baterii.

- Od tej chwili niech pani stoi w miejscu - polecił. - Proszę nic nie robić ani nie mówić, dopóki nie zadam pytania. Jasne?

Skinęła głową.

O'Malley zaintonował nabożną pieśń, która stawała się coraz głośniejsza, aż przeszła w wołanie, niemal błaganie. Język przypominał łacinę, ale Jill nie rozumiała ani jednego słowa.

- *Sirupis vergobum una toma maculum Tobit!* - śpiewał wymachując różdżką. Powtarzał wciąż tę samą zwrotkę.

Początkowo nic się nie działo. Po prostu jakiś głupiec stał nocą na polu i odprawiał czary. Nagle coś się zmieniło.

Płomienie ognisk wystrzeliły na wysokość kilkunastu metrów, sypiąc fontannami iskier. Nad pięciokątem zatańczyły niesamowite cienie. Jill dopiero teraz zauważyła, że tylko obszar wewnątrz granic jest oświetlony. Poza nimi panowała ciemność.

Różdżka rozjarzyła się, a O'Malley zaczął osobliwym głosem śpiewać inną pieśń w jeszcze dziwniejszym języku.

- *Ia! Ia! Yog - Sothoth! Upschar pfagn!*

Powietrze zdawało się wirować i gęstnieć wewnątrz pięciokąta. Wyczuwało się obecność niewidocznych potężnych sił, złych ponad wszelkie wyobrażenie. Zstępowały w dół, otaczały ich ze wszystkich stron. Jill stwierdziła, że pomimo chłodu nocy poci się ze zdenerwowania.

O'Malley nie wyglądał na przestraszonego, lecz raczej na zadowolonego. Zaintonował nową pieśń, tym razem po angielsku, chociaż to, co śpiewał, brzmiało jak bełkot.

- Najstarsi bogowie byli, są i będą - recytował litanie. - Nie w przestrzeniach, które znamy, lecz między nimi. Odwieczni i radośni, bezwymiarowi i dlatego niewidoczni dla nas. Yog-Sothoth zna bramę. Yog-Sothoth jest bramą. Yog-Sothoth jest kluczem i

strażnikiem bramy. Yog-Sothoth jest kluczem do bramy, gdzie stykają się sfery. Człowiek rządzi tam, gdzie Oni kiedyś rządzili; Oni będą rządzili tam, gdzie człowiek rządzi teraz. Po lecie jest zima, a po zimie lato. O wielki Kluczniku, przyślij nam Swojego sługę!

Jill wyczuła krążące wokół i wewnątrz pięciokąta nieznane istoty, zupełnie obcą formę życia, tak obcą, że umysł bronił się, nie chcąc zaakceptować samego faktu jej istnienia. Postrzegał je jako bańki mydlane. Istoty wydawały przenikliwy pisk: „*Tekeli-li! Tekell-li!*”

Przekonała się już, co potrafią inżynierowie z Uniwersytetu, doświadczyła siły słowa bożego, mocy czarów na zamku i w Gildii Złodziei, widziała demony i duchy na wieży. Wiedziała, że na tym świecie obok ludzi żyją elfy, gnomy i wróżki, a magia jest czymś normalnym, ale te istoty były niepodobne do niczego, obce i zupełnie niepojęte. Czują, że nie stworzył ich Wydział Prawdopodobieństw w jakiejś odległej linii czasowej. Były prawdziwe, a nie wymyślone. Stanowiły źródło mocy O'Malleya, największego czarnoksiężnika, który potrafił trzymać demona w niewoli. Te tajemnicze stworzenia mocą dorównywały demonom i zamieszkiwały przestrzeń pomiędzy poziomami rzeczywistości. Może to one jako poprzedni władcy wszechświata stworzyły rasę Mogarta i zostały przez nią później zdeponowane i wypędzone. Do kogo właściwie zwracał się O'Malley? Demony wykorzystwały wzmacniacze, żeby uciec spod władzy tych nieczystych istot. Zbuntowały się i przepędziły dotychczasowych panów z głównych poziomów do bezkształtnych rzeczywistości. Odparły ich dzięki połączonej mocy klejnotów. Ilu? Skoro sześć było w stanie zmienić tor planety, co mogło zdziałać sześć tysięcy albo sześć milionów? Istoty pozostawały na wygnaniu, dopóki nie ściągnął ich tutaj O'Malley ze swoją ambicją i żądzą władzy.

- Słuchajcie mnie, słudzy Wielkiego i Wszechpotężnego Klucznika Bram! - zawołał O'Malley, unosząc ramiona w geście błagania. - Dajcie mi moc, żebym za waszym pośrednictwem mógł służyć temu, Który Nie Ma Imienia! Potrzebuję Jego błogosławieństwa i siły, żeby wykonać zadanie, dzięki któremu wzrośnie wartość moich usług! Niech spłynie na mnie moc!

Wezwanie ożywiło „bańki”. Piszczwały coraz głośniejsze. Jill wyczuła siłę koncentrującą się w pięciokącie. Bariera trzymała istoty wewnątrz, ale ogromna moc przelewała się poza nią.

Róźdzka zakresliła w powietrzu skomplikowany symbol w kształcie

pięcioramiennej gwiazdy. Zawisł w powietrzu przed O'Malleyem jak jarzący się żółty neon. Spłynęła na niego moc. Pozornie nic się nie zmieniło, choć wchłonął potężną energię, którą Jill wyraźnie wyczuła.

Czarnoksiężnik podszedł do symbolu wiszącego w powietrzu i włożył weń głowę. Wyglądało to tak, jakby w miejscu głowy, która zniknęła, wyrósł na szerokich barkach dziwny neon.

- Jill McCulloch! - usłyszała głos O'Malleya. Rozpoznała go, choć wydawał się teraz głębszy i nie całkiem ludzki. - Oto umowa. Obejmiesz dowództwo nad armią, którą dam ci do dyspozycji. Poprowadzisz ją tam, gdzie wskażę, i otoczysz Cytadelę. Nie oszczędzisz ani jednego człowieka. Wydasz rozkaz zabicia wszystkich oblężonych i dopilnujesz, żeby został wykonany. Potem wezwiesz mnie, trzykrotnie wypowiadając u bram moje nazwisko. Ja natomiast dam ci klejnot, którego szukasz. Zgadzasz się na te warunki?

Mimo wszystko zawahała się. Nie była to umowa jak z Asmodeuszem Mogartem, lecz z zaprzysiężonymi i odwiecznymi wrogami całej ludzkości i demonów.

O'Malley wyczuł jej wahanie i w tym samym momencie w umyśle Jill pojawiła się wizja: wielka asteroida wypełniająca ziemskie niebo, oceany zalewające ląd, zniszczone miasta, miliardy ofiar, twarze wykrzywione przerażeniem, twarze jej przyjaciół i najbliższych. Temu obrazowi towarzyszył telepatyczny przekaz.

Wszystko to wydarzyło się naprawdę. Taki los spotkał twój świat. Ale po zimie nadchodzi lato. To, co w grudniu wydaje się zamierać na zawsze, odradza się wraz z kwietniowym ciepłem i majowymi deszczami. Można odwrócić bieg wydarzeń, jeśli się tego pragnie, Jill McCulloch. Nie obejdzie się jednak bez rozlewu krwi. Krew musi popłynąć, by uratować inną krew. Wybór należy do ciebie, Jill McCulloch. Tylko do ciebie. Wybieraj, Jill McCulloch, rozkazał głos wewnątrz jej umysłu. Czyje życie wybierzesz? Akceptujesz warunki umowy?

Nie miała wyboru.

- Akceptuję - wyszeptała powstrzymując łzy.

- Teraz rzucę na ciebie czar - oznajmił dziwnie zniekształcony głos O'Malleya. - Bądź silna i zręczna, najlepsza z najlepszych wojowników. Poczuj spływającą na ciebie siłę i moc, dar przywództwa! Prowadź, Królowo Kobiet, wszystkie przedstawicielki swojej płci, niezadowolone, zagubione, tęskniące i niezdolne do tęsknoty, mające nadzieję i pozbawione jej! Odrzucone, nieprzystosowane, pozbawione duszy i ducha! Przyciągnij je do siebie, jak magnes przyciąga żelazo, i rządz nimi siłą woli! Rozkazuj

im! Masz teraz władzę!

I poczuła, że wstępuje w nią moc. Poczwała się teraz silna i twarda, zdolna do poprowadzenia wielkiej armii. Pozostała dawną Jill McCulloch, ale była teraz kimś więcej - Królową Ciemności.

Obce istoty rozplynęły się w mroku, a w nieruchomym powietrzu rozbrzmiewało jeszcze słabe echo przeraźliwych głosów. Wielokolorowe ogniska przygasły, rozsiewając bladą poświatę. Magiczny symbol nakreślony w powietrzu zbladł i rozwiął się jak dym pośród ledwo świecącego pięciokąta i zniknął na dobre.

O'Malley ociekał potem i wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, jakby nagle opadł z sił, ale jego oczy zachowały nieludzki blask. Spojrzał nad nią ponad stolikiem, schował różdżkę do kufierka i zamknął wieczko.

- Musi pani dotrzymać umowy - powiedział słabym szeptem. - Nie można już się wycofać. Musi pani zdobyć klejnot i opuścić ten świat. Jest pani zbyt potężna, by tu zostać.

Osoba, do której się zwracał, zachowała tylko powierzchowne podobieństwo do Jill McCulloch. Pośrodku pięciokąta stała teraz wojownicza królowa, niewiarygodnie piękna, z długimi kruczoczarnymi włosami i płonącymi czarnymi oczami. Wysoka i smagła, promieniowała nieludzką siłą.

Sama to czuła. Wiedziała, że jest teraz potężną boginią. Rzuciła czarnoksiężnikowi zły uśmiech.

- Nie musisz mi przypominać o umowie - odparła ostro, z królewską pewnością siebie. - Sam powinieneś to wiedzieć. Żaden człowiek, ani nikt inny, nie może mi rozkazywać. Zrobię to, co zechcę, a nie to, co mi rozkażesz. Zwłaszcza ty, który zdradziłeś swoją rasę w zamian za władzę.

Na jego twarzy pojawił się znużony uśmiech.

- Nie będę się z tobą spierał. Już wiesz, kim są moi władcy. Wiesz, że nie może się im przeciwstawić żaden człowiek i że to dzięki nim zyskałaś moc. Nie mogę jej tobie odebrać, ale mogę ich wezwać ponownie.

Groźba nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia, ale zaciekawiała ją pewna sprawa.

- Powiedz mi, Czarnoksiężniku, dlaczego twoi przyjaciele, dysponując taką mocą, sami nie przełamują czaru? Dlaczego ja muszę to zrobić?

- Bo podobnie jak my nie zawsze potrafimy działać jednomyślnie, a łączy ich tylko jedno: umiłowanie władzy i strach przed potęgą innych - odpowiedział po chwili

zastanowienia...

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- Innymi słowy, walczą między sobą o to, kto będzie władcą, kiedy tu wrócą, a ludzie zapewniają sobie z góry różne przywileje. Ty także.

Pokiwał głową ze zmęczeniem i podniósł mały bukłak leżący pod stołem. Krztusząc się wypił kilka łyków wody.

- A więc dlatego to robisz? - Przeszywała go roziskrzonym wzrokiem. - Constanza nic dla ciebie nie znaczy. W Cytadeli jest coś, co interesuje twojego pana, a dostępu do niej broni czar rzucony przez twojego rywala. CIA nie ma z tym nic wspólnego! To ty zdradziłeś Constanzę! Czego tak bardzo pragniesz?

O'Malley z westchnieniem opadł na ziemię.

- To nie twoja sprawa. Kiedy wykonasz zadanie, opuścisz ten poziom. Powiem ci tylko, że nie chodzi o rzecz, lecz o pewne miejsce, przejście między światami. To dlatego skłoniłem Constanzę, żeby tutaj zbudował zamek. A jeśli chodzi o zdradę, czy zdradza się różę ścinając ją, albo mrówkę zabijając królową? Ja tylko wyczułem twoją obecność na naszym świecie, wyśledziłem cię i sprowadziłem tutaj. Zjawiałaś się tu, żeby ocalić swoją planetę, miejsce zupełnie dla mnie obce. Czy to dla ciebie ważne, co się stanie tutaj?

Poczuła wobec tego człowieka, który mimo swej wiedzy działał przeciwko własnej rasie, wściekłość zmieszana z pogardą. On i jego rywale-czarnoksiężnicy w jakiś sposób skontaktowali się z obcymi istotami i zawarli z nimi umowę, a teraz toczyli między sobą wojnę, w której reszta ludzi była tylko pionkami.

Zostawi teraz tego żalostnego osobnika. Pójdzie i przeleje dla niego krew w zamian za klejnot. Wiedziała, że to zrobi.

Jeśli jednak istnieje jakiś sposób, żeby pokrzyżować mu plany, skorzysta z niego, bo nadal jest człowiekiem i wrogiem jego tajemniczych sojuszników. O'Malley sam przyznał, że nie może jej odebrać mocy. Może Mac Walters zdobędzie klejnot, zanim ona wypełni swoją część umowy. Może on wróci, żeby ocalić ich świat, a ona zostanie tutaj ze swoją obecną mocą i wiedzą.

Była Królową Kobiet i dokuczała jej świadomość, że tak wiele zależy od jakiegoś mężczyzny.

Przez dwa dni Mac Walters studiował informacje zebrane przez Jill, a nocami wyruszał na poszukiwania. To było duże miasto. Zajmowało setki kilometrów kwadratowych nad brzegami jeziora Michigan. Demon mógł się znajdować wszędzie.

Krążyły jednak plotki, że szef mafii Constanza trzyma w niewoli prawdziwego demona, który wykonuje jego rozkazy i pożera dusze wrogów. Nawet bez informacji Jill Mac wiedział, że to musi być gdzieś w obrębie Chicago. Ale gdzie?

Wrogowie Constanzy również chcieliby to wiedzieć, podobnie jak rząd federalny. Wiadomo było tylko, że demon zamknięty w pięciokącie ma swobodę poruszania się i luksusowe warunki w swoim więzieniu. Ale o jaki pięciokąt chodziło?

„Luksusowe warunki” oznaczały, że chodzi o duży obszar, znacznie większy niż zakreślony kredą na podłodze baru. Jak duży musiał być ten pięciokąt? A może pytanie powinno brzmieć: jak duży mógł być pięciokąt, by nie rzucać się w oczy ani nie dawać demonowi zbytnej swobody ruchów?

Mac spędzał noce na sprawdzaniu znanych nieruchomości Constanzy, lecz nie znalazł nic. Konkurencyjne gangi i federalni przeszukali je wcześniej, poza tym Mac wiedział, że szef mafii nie jest głupcem. Istniały jednak należące do gangstera domy, formalnie będące własnością podstawionych osób. Te również należało wykluczyć. Szefowie mafii nie mogli zaufać nikomu, więc wynajmowali czarnoksiężników do ochrony.

Mac dowiedział się, że czarnoksiężnik Constanzy nazywa się O'Malley, ale na niewiele mu się to przydało. Mieszkał w wygodnym domu z liczną służbą na North Shore, ale nieruchomość należała do Constanzy. I na ile Mac mógł stwierdzić, O'Malley nie miał niczego oprócz rzeczy osobistych, gardził pieniędzmi i dobrami materialnymi. Bogactwo nie miało dla niego znaczenia, a Constanza mógł spełnić wszystkie jego zachcianki.

Musiał jednak być niezły w swoim fachu, skoro złapał demona i więził go. Constanza nie wydawał bezpośrednio rozkazów demonowi. Przekazywał je za pośrednictwem O'Malleya.

To oznaczało, że demon musi przebywać gdzieś w pobliżu miejsca zamieszkania czarnoksiężnika.

Mac Walters poleciał jako nietoperz do położonego nad brzegiem jeziora domu O'Malleya. Przelatywał nad nim już wiele razy, ale nic nie zauważył. Budynek był duży, lecz wzniesiony na płytkim fundamencie, żeby uniknąć kłopotów ze strony istot

podziemnego świata. Miał trzy piętra i dwadzieścia lub więcej pokoi, a na tyłach aż do samego jeziora ciągnął się zielony trawnik porośnięty drzewami. Na brzegu usypano sztuczną plażę i zbudowano pomost.

Federalni już przeszukali dom, ale on postanowił sam się rozejrzeć. Pod postacią mgły mógł spenetrować miejsca pominięte przez najlepszych agentów. Pozwolił unosić się prądom powietrza, które zwiały go w stronę domu. Ominął jezioro uważając, by nie dotknąć wody, gdyż wciągnęłaby go i pochłonęła. Lśniła niebezpiecznie w jego wampirzych oczach groźnym czerwonym blaskiem przyćmionym jedynie przez czarne plamki trzydziestu czy więcej jachtów i łodzi rybackich zakotwiczonych wewnątrz falochronu, na przystani dla bogaczy mieszkających w tej okolicy.

Dom nie był pusty. W nienagannym porządku utrzymywała go służba składająca się z trzydziestu mężczyzn i kobiet. Bliscy doskonałości, nie wyglądali na najemnych pracowników. Tyle dostrzegł, zerkając przez okna. Niezwykle przystojni i muskularni mężczyźni mogliby brać udział w wyborach Mister America, a kobiety odznaczały się niewiarygodną urodą. Zastanawiał się, czy w ogóle są ludźmi, czy też jakimiś nadprzyrodzonymi istotami stworzonymi przez najpotężniejszego z czarnoksiężników. Przez dłuższy czas obserwował przez okna, jak wypełniają obowiązki i przygotowują się do snu, i doszedł do wniosku, że jednak są ludźmi, aczkolwiek zmienionymi przez magię. Zachowywali się zbyt normalnie, nawet we własnym gronie, i zdradzali zwykle ludzkie uczucia znudzenia, irytacji, kiedy się potykali, i tym podobne emocje, by być istotami nadnaturalnymi.

Nie zaskoczyło go, że nigdzie nie widać przedmiotów kultu religijnego. Plotka głosiła, że O'Malley był kiedyś katolickim księdzem, który poświęcił się czarnej magii, kiedy pominięto go przy konsekracji. Krzyże i święte obrazy przeszkadzałyby mu podobnie jak Macowi.

Zaskoczył go natomiast brak zabezpieczeń, co świadczyło raczej o zbytnej pewności siebie O'Malleya niż istnieniu groźnych pułapek. Mac odkrył, że inne wampiry niechętnie zbliżają się do tego miejsca. O'Malley był niezwykle potężny, a jego zemsta dosięgłaby je na końcu świata. Nikt nie śmiał wchodzić mu w drogę.

Z wyjątkiem kogoś, kto nie zamierzał długo pozostać na tym świecie.

Nie mógł sam dostać się do środka. Wiedział, że ktoś musi go zaprosić. Sprawdził balkony na drugim i trzecim piętrze. Służba miała pokoje na górze. Szczególnie zainteresował go pokój, który zajmowały cztery boginie seksu w skąpych koszulach

nocnych. Trzy były pogrążone we śnie, ale czwarta przewracała się bezsenne z boku na bok.

Mac opuścił się na balkon i przybrał z powrotem ludzką postać.

Nie mógł wejść ani otworzyć okna, chociaż było uchylone. Równie dobrze mogłoby być otwarte na oścież. Musiał dostać zaproszenie. Istniały jednak sposoby, żeby wyłudzić je podstępem.

Ponieważ nie napił się krwi tej kobiety, nie miał nad nią prawdziwej kontroli, ale dysponował wielką siłą psychiczną. Zrezygnował z pukania do okna. W ten sposób mógł ją tylko przestraszyć albo obudzić pozostałe. Skoncentrował się na ofierze, przesyłając jej jedną prostą myśl.

Jest strasznie duszno. Potrzebujesz świeżego powietrza.

Przez minutę lub dwie nie był pewien, czy mu się uda. Potem zobaczył, że kobieta wzdycha, siada na łóżku i przeciera oczy. Nie przestawał wysyłać jej tej samej myśli.

W końcu kobieta wstała i niepewnie podeszła do okna. Wyjrzała, wdychając świeże powietrze. Stał przed nią szybko i spojrzał jej prosto w oczy. Nie zdążyła nawet zareagować. W jednej chwili uzyskał nad nią władzę.

Otwórz szybko okno i odsuń zasłonę, przekazał rozkaz bezpośrednio do jej umysłu.

Posłusznie wykonała rozkaz, odsunęła się od okna i spojrzała na niego wyczekująco, wyciągając ramiona w geście zaproszenia.

Wszedł cicho do pokoju i zerknął niespokojnie na pozostałe kobiety, które na szczęście spały mocno. Mógł zapanować nad wszystkimi czterema, ale tylko wysysając z nich krew. To wymagałoby czasu. Minęła północ. Miał zaledwie kilka godzin, żeby przeszukać dom. Potrzebował pomocnika, któremu mógłby w razie potrzeby wydać polecenie. Podeszedł do kobiety, objął ją i wgrzyłszy się w jej szyję, wypił trochę krwi.

Teraz była jego niewolnicą. Od ofiar, które dopadał w mieście, brał tylko krew, od niej natomiast również trochę sił życiowych. W ten sposób mógł czytać w jej myślach.

Nigdy jeszcze nie spotkał tak pustego umysłu. Nie była to wyemancypowana kobieta. Prawdopodobnie nie знаła nawet słowa „emancypacja”. Jej światem był dom, myśli obracały się wokół służby, a zainteresowania ograniczały do pastowania podłóg i ścielenia łóżek. Co gorsza, te obowiązki wcale nie były dla niej nudne, lecz stanowiły niemal wyzwanie i dawały satysfakcję.

Nie znalazł śladu czarów ani nadnaturalnej manipulacji. Najwidoczniej O'Malley lub Constanza starannie dobierali właśnie takich ludzi na służbę. Maca zaniepokoiło,

że istnieją osoby stanowiące skrzyżowanie wiernego psa i tresowanej małpy, a tak atrakcyjne z wyglądu.

Kobieta знаła dom. Wziął z jej umysłu rozkład pomieszczeń, potem kazał zamknąć okno, wrócić do łóżka i zasnąć. Szybko opuścił pokój. Wiedział, że nie będzie miał kłopotów z wydostaniem się stąd.

Przeszukał dom od góry do dołu, ale nie znalazł śladów wskazujących na obecność demona. Natknął się na wiele ukrytych przejść i jeden sprytnie zamaskowany pokój z ołtarzem ofiarnym, na którym widniały podejrzone plamy. Na półkach stały najróżniejsze wywary i dziwne przedmioty o tajemniczym przeznaczeniu. Było tam również dużo pięciokątów. Dostępu do niektórych broniły czary. Mac stwierdził jednak, że żaden nie jest dość duży.

Wprawdzie miał teraz większą możliwość penetrowania wszystkich kątów, lecz wiedział, że nic nie mogło umknąć uwagi federalnych czarnoksiężników. Z niechęcią doszedł do wniosku, że demona nie ma w domu ani na terenie posiadłości. Nic również nie wskazywało na to, że kiedykolwiek tutaj był. Mac nie natrafił na żadne archiwa.

Archiwa! pomyślał ponuro. Federalni zdobyli dokumentację wszystkich magicznych czarów użytych przez Constanzę. Mogli ją wykorzystać w przyszłości, żeby zadać mu ostateczny cios. Nie znaleźli jednak więzienia demona, więc nadal istniała szansa.

Przepląnął pod frontowymi drzwiami jako mgła, zmienił się w nietoperza i wrócił do swojej kryjówki na kilka minut przed świtem. Nie dawało mu spokoju wrażenie, że coś przeoczył, że nie dostrzegł jakiegoś śladu. Leżał w trumnie rozmyślając, ale o świcie zmorzyła go senność. W ostatnim przebłysku świadomości wydawało mu się, że już wie w czym rzecz, lecz pograżył się w zapomnieniu.

Ani przez chwilę nie pomyślał o Jill McCulloch.

5

W świecie Jill ruszyła na północ. Po drodze dołączały do niej kobiety. O'Malley wezwał je czarami na to pustkowie i uzbroił, a ona miała je poprowadzić.

Nadjeżdżały konno przez równiny, aż zebrał się pięciusetosobowy oddział. Podkowy wierzchowców stukwały głośno, odbijając się echem od odległych gór.

Kobiety pochodziły z różnych ras. Chociaż zachowywały się dumnie, wydawały się pozbawione własnej woli. Podążały za nią i słuchały jej rozkazów jak dzikie leśne stworzenia słuchają fletni Pana.

Różniły się strojami, zwyczajami i akcentem, ale ona wiedziała, kim są: wyrzutkami tego świata. Były wśród nich kobiety okrutnie traktowane i wykorzystywane, lesbijki i malkontentki. Znalazły się poza nawiasem społeczeństwa z powodu pochodzenia albo pod wpływem okoliczności. Miały miecze i sztylety oraz strzelby. Dwie jechały wozem wyładowanym amunicją i zapasami. Sama Jill miała tylko wielki srebrny miecz. Nie potrzebowała niczego więcej, nawet ubrania do ochrony przed żywiołami. Otaczająca ją aura siły i absolutnej władzy odsuwała wszelkie zagrożenia.

Jechały przez wsie podobne do amerykańskich osad. Nikt z nimi nie rozmawiał ani nie próbował ich powstrzymać. Wzbudzały strach, wydawały się nie do pokonania. W miastach nabierały tylko wody, a żywiły się skromnymi racjami z puszek wiezionych na wozach. Gdy powoli i dumnie przejeżdżały przez miasteczka, parę kobiet zwykle odrywało się od zajęć, wychodziło przed dom, brało konia i dołączało do nich. Czasami mężczyźni wołali za nimi w strachu lub udręce, czasami biegli za nimi, ale one nie zwracały na nich uwagi. Pod wpływem miazdzącego spojrzenia Jill rezygnowali z pościgu. Wzbudzała nabożny lęk lub strach. Zwykli ludzie nie mogli jej zatrzymać ani przeciwstawić się jej woli.

Jak obiecał O'Malley, posiadała moc, która miała zatrzymać te kobiety do czasu wykonania zadania. Była to ogromna moc. Nic dziwnego, że czarnoksiężnik czekał na kogoś, kto dobrowolnie opuści ten świat.

Po drodze dołączały do nich również samotne kobiety z odludnych farm i zapadłych wsi, przeważnie Indianki. Jill przyciągała je jak magnes.

Jeśli chodzi o nią, miała poczucie, że czas ucieka. Bała się, że nie zdąży zdobyć klejnotu. Hamowała ją natomiast niechęć do rozlewu niewinnej krwi, zwłaszcza w sprawie O'Malleya. Dręczyły ją sprzeczne pragnienia, żeby opóźnić wszystko i odkładać moment decyzji, a jednocześnie - żeby zakończyć misję. Mimo to czuła się wspaniale. Miała ochotę tu zostać, przemierzać tę krainę ze swoją armią, tropić i atakować te moce, którym służył O'Malley, niszczyć je. O zmierzchu droga skręciła na zachód w kierunku gór, które wyrosły jak lita ściana z Wielkiej Równiny. Jill postanowiła dotrzeć do płaskiego terenu, gdzie można by rozbić obóz. Na wzniesieniu zatrzymała się i zobaczyła dolinę między dwoma pasmami górskimi. Doskonale

widziała w nocy. Była przecież Królową Ciemności.

W dole zobaczyła samotny wiejski dom i małą stodołę. Oba budynki płonęły.

Patrzyła uważnie na tę scenę, na setki małych postaci czających się w ciemności wokół płonącej stodoły. Bardzo małych. Spięła wierzchowca ostrogami i razem z armią skierowała się do doliny. Nie musiała wydawać rozkazu, żeby kobiety trzymały broń w pogotowiu. I miała rację. Przekonała się o tym, kiedy podjechała bliżej. To nie był wcale atak Indian. Takie rzeczy skończyły się wraz z Dzikim Zachodem. Indiańscy farmerzy i leśnicy sami oczyścili równiny z barbarzyńskich koczowników.

Atakującymi okazały się gnomy.

W jednej chwili Jill zorientowała się, że strzelby nie przydadzą się przeciwko tym przysadzistym, metrowego wzrostu, brodatym istotom, które oblegały farmę. Napastnicy podpalili ją, wystrzeliwując z katapult zapalone pochodnie, ale sami nie mogli się do niej zbliżyć. Dlaczego?

I wtedy zobaczyła ogrodzenie wokół zabudowań. Było wykonane z żelaza i stali, więc gnomy nie mogły go sforsować. Postanowiły zatem wypłoszyć mieszkańców. Gdyby ludzie w panice uciekli za płot, napastnicy zabiliby ich lub wzięli do niewoli. Gdyby tak się nie stało, mogli wziąć ich głodem albo wystrzelać drewnianymi lub miedzianymi strzałami i włóczniami.

Kobieca armia była jednak wyposażona w żelazne i stalowe miecze. Jill zwolniła i odwróciła się. „Wyciągnąć miecze!” - wydała rozkaz, który przekazano dalej.

Rzucony na kobiety czar obejmował znajomość wojennego rzemiosła. Amazonki rozwinęły się w tyralierę, tworząc mur z dziesięciu szeregów, i ruszyły.

Na ich widok gnomy uformowały linię obrony w poprzek drogi prowadzącej do farmy. W ich oczach odbijał się szalejący ogień, a groźny wyraz determinacji na twarzach odwracał uwagę od niemal komicznego, bajkowego wyglądu.

Z bliska jeszcze mniej przypominały ludzi. Były jak wyciosane z kamienia.

Jill zatrzymała się. Nie bała się ich, gdyż jej armia miała przewagę liczebną i broń, której gnomy najbardziej się obawiały. One z kolei dysponowały nieznanymi magicznymi mocami. Intuicyjnie wyczuwała, że jej samej nie zagrażają, ale kobietom tak. Starcie mogło ją kosztować wiele rannych i zabitych, zanim jeszcze dotrą do celu.

- Co to ma znaczyć? - krzyknęła wyniośle do przywódcy.

- To nie twoja sprawa, Królowo Duchów - warknął gnom grubym, niskim głosem nie pasującym do jego mizernej postury. - Odejdźcie, a nie zrobimy wam krzywdy. Nie wtrącajcie się do nas! - W jego tonie brzmiała wyraźna groźba.

Spojrzała na dom. Cały stał w płomieniach, lecz wyczuwała, że w środku jest ktoś żywy i można go uratować, zanim ściany się zawalą.

- Tam jest żywy człowiek. Należy do mnie - oświadczyła. - Rozstąpcie się. Zabiorę go i odejdę.

- Nie masz prawa - warknął gnom. - Wszyscy, którzy przeżyją, należą do Gromady!

Jill wiedziała, że czas ucieka. Musiała podjąć pierwszą ważną decyzję.

- Gromady? Dlaczego atakujecie ludzi, gnomie? Czy nie uzgodniono dawno temu w traktacie podziału dominiów? Jak śmiesz łamać umowę?

Przywódca roześmiał się.

- Traktaty! Phi! Traktaty między burżujami, którzy korzystają z owoców pracy proletariatu, pasożytują na Podziemnych. Zbliża się czas rewolucji! Nie mamy nic do stracenia oprócz łańcuchów! - Wśród armii gnomów podniosły się okrzyki aprobaty.

Coś takiego! Radykalni komuniści! - Czy to ma być początek waszej rewolucji, mały? - odparła. - Jeśli tak, przekonamy się, jak jesteście do niej przygotowani. - Wyciągnęła miecz i uniosła w górę. Reszta kobiet poszła w jej ślady.

Gnomy zamarły z przerażenia. Nawet buńczuczny przywódca głośno przełknął ślinę na widok zimnej stali. Mieszkańcy podziemnego świata rozmnażali się raz na stulecie, a stal mająca w swym składzie żelazo była jedyną bronią, która mogła ich zabić. Nie mogli sobie pozwolić na wojnę - ani rewolucję - zwłaszcza taka garstka przeciw sporym siłom.

W oczach gнома pojawiła się nienawiść zmieszana ze świadomością klęski.

- To jeszcze nie jest rewolucja, ale ona się zbliża - oświadczył robiąc ostatnią próbę. - Ci ludzie otrzymali od nas towary, a odpłacili nam, wierząc bez pozwolenia dziury w głąb naszego terytorium, i to stała! Zabili jednego z nas!

Jill zrozumiała teraz, jak doszło do konfliktu. Farmerzy byli młodzi i głupi. Napis na bramie głosił: „Wspólnota Wysokich Drzew”. Miejskie dzieciaki żyjące mrzonkami, bawiące się w wolność, które zapomniały, że w nowoczesnym społeczeństwie panuje wzajemna zależność. Zapomniały o powiązaniach między ludźmi i gnomami i teraz za to płaciły.

- Została tam tylko jedna kobieta - powiedziała do gнома. - Niech do nas dołączy. Już wzięliście odwet. Odejdźcie! - Ruszyła naprzód.

Gnomy stały przez chwilę bez ruchu, a potem na znak dowódcy rozstąpiły się przed nią. Jill przeskoczyła przez płot i szybko zsiadła z konia, który nie spłoszył się

tylko dzięki sile jej woli.

Pomaszerowała dumnym krokiem w stronę domu, a płomienie cofnęły się przed nią. Było niewiarygodne, że część budynku ocalała, choć zapewne nie na długo. W kuchni, w korycie z wodą siedziała jedyna ocalała osoba z mokrym kocem zarzuconym na głowę. W środku panowało nieznośnie gorąco. Wszędzie kłębił się gęsty, duszący dym. Jill zjawiała się w ostatniej chwili.

Ściągnęła koc z koryta i zobaczyła nieprzytomną kobietę. Przestraszyła się, że jest już za późno, ale musiała spróbować. Wyciągnęła zaczadzoną z wody i ruszyła do tylnych drzwi.

Parę sekund później płonący dach zawalił się. Jill obejrzała się i odetchnęła głęboko.

Położyła kobietę na chłodnej trawie i zaczęła jej robić sztuczne oddychanie. Zauważyła przy tym, że ofiara jest w zaawansowanej ciąży. Ostrożnie wdmuchiwała powietrze do jej płuc. Wyraziła życzenie, żeby nieznajoma żyła, i tchnęła w nią iskrę życia, przekazując w oddechu energię.

Dziewczyna zakaszłała, jęknęła, a potem zaczęła łapczywie chwytać powietrze.

Kilka amazonek zbliżyło się do Jill.

- Zanieście ją do wozu! - poleciła. - Niech się nią zajmą te, które mają medyczne doświadczenie. Dzisiaj w nocy rozbijemy obóz na terenie farmy, tuż za płotem.

Pośpiesznie wykonały jej rozkaz, kłaniając się z szacunkiem. Jill wstała i podeszła do gnomów.

- Ile osób tutaj mieszkało? - zapytała.

- Dziesięć. Pięciu mężczyzn i pięć kobiet - odparł dowódca hardo. - Doszliśmy do wniosku, że dziewięciu za jednego to wystarczające zadośćuczynienie. A studnię zapieczętujemy i zniszczymy.

- Podziwiała jego tupet. Mówił tak, jakby miał jakiś wybór.

- Zgadza się - odparła pozwalając mu zachować twarz. - Teraz wróćcie do swojego dominium, a my będziemy trzymać się naszego.

Mały stwór skinął głową i już miał odejść, ale jeszcze odwrócił się do niej.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie. Oczywiście, jeśli zechcesz - poprosił dziwnym, pełnym respektu tonem. Skinął ręką w kierunku kobiet rozbijających obóz na polu. - Dokąd zmierza ta dziwna armia?

Uśmiechnęła się rozbawiona jego ciekawością.

- Powinam ci odpowiedzieć, że to nie twoja sprawa i żebyś ruszył w swoją stronę,

ale ja też chcę cię o coś zapytać. Jak daleko stąd jest zamek zwany Cytadelą?

Spojrzał na nią dziwnie.

- Jesteś wolna, nie należysz do nikogo - stwierdził. - Tamte są pod wpływem czaru, ale nie ty. Po co miałabyś napadać na takich spokojnych ludzi, skoro twoje zwycięstwo przyniesie korzyść złemu?

Dziwnie zabrzmiała w jego ustach ta umoralniająca uwaga, zważywszy, że właśnie zamordował dziewięciu ludzi, paląc ich żywcem.

- A czy ten czar nie został rzucony przez kogoś równie złego? - odbiła piłeczkę.

Spojrzał na nią szczerze zaskoczony.

- Naprawdę nie wiesz? Nie wszystkie nieziemskie siły są złe. Mówisz tak, jakby człowiek już je pokonał, ale tak nie jest. My - ludzie, gnomy, elfy, wszyscy mieszkańcy tej Ziemi - jesteśmy produktami ubocznymi toczącej się między nimi walki, jej spadkobiercami. Ten świat jest miejscem, gdzie bitwa została wygrana, niczym więcej. Tamci nadal panują w przestrzeniach między światami. Nie potrzebują Ziemi. Czar, który ty chcesz przełamać, rzucili ci, którzy rządzą światłem i ciemnością. Błagam cię, nie rób tego, ponieważ pod Cytadelą znajduje się brama do najbardziej nieczystych sił!

- Wezmę sobie twoje słowa do serca - obiecała - ale proszę, byś zapamiętał, że nawet wolne dusze nie są w pełni wolne, a łańcuchy bywają niewidoczne. Żegnaj. - Odwróciła się i ruszyła w stronę swoich oddziałów. Po paru sekundach obejrzała się.

Nie zobaczyła nikogo. Gnomy zniknęły.

Skierowała się do wozu z zaopatrzeniem, na którym leżała ciężarna kobieta, jeszcze dziewczyna. Zdjęto jej popaloną sukienkę i przykryto kocem. Nadal była w szoku. Opiekowała się nią starsza kobieta. Wycierała jej czoło i próbowała wlać odrobinę wody do gardła.

Wojowniczkki prawie ze sobą nie rozmawiały, lecz troskliwie zajęły się dziewczyną. Starsza kobieta ukloniła się z szacunkiem swojej Królowej.

- Jak z nią? - spytała Jill.

- Nie wiem. Oczywiście jest w szoku. Czasami woła mężczyznę o imieniu Michael, rzuca się, a potem uspokaja i leży tak jak teraz.

- A dziecko?

- Chyba jeszcze żyje - powiedziała kobieta, prawdopodobnie była pielęgniarka. - To zaawansowana ciąża, a po tych przeżyciach dziecko może urodzić się w każdej chwili.

- Można ją wieźć?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Pani. Wolałabym jej nie ruszać. Taka długa podróż może zabić ją i dziecko.

- Ona nie umrze - powiedziała Jill z mocą. - Opiekuj się nią. Będzie mi potrzebna.

- Odwróciła się i odeszła żałując, że wcale nie jest tak pewna siebie.

Gnom nie odpowiedział na jej pytanie, jak daleko leży zamek, ale musiał być już niedaleko, skoro tyle o nim wiedział.

Nic nie zmyje krwi niewinnych z jej rąk, ale nieprzytomna dziewczyna mogła przyczynić się do odniesienia choć częściowego zwycięstwa.

Do ziem wokół Cytadeli dotarły przed południem następnego dnia. Nie można się było pomylić. Przed nimi leżała rozległa, głęboka i żyzna dolina z bogatymi farmami i małym miasteczkiem na niskim wzniesieniu pośrodku. Nad okolicą dominował zamek w stylu mauretańskim.

Droga prowadziła dalej pod ogromnymi kamiennymi bramami, pozostałościami po dawnym murze obronnym. Obecni mieszkańcy już nie potrzebowali obwałowań.

Od głównej drogi odchodziła boczna, która okrążała górę i biegła przez całą dolinę na drugą stronę zapory. Wydział dróg najwyraźniej znalazł się w kłopotcie, kiedy okazało się, że żaden mężczyzna nie może wejść do doliny, ale wybrnął z trudnej sytuacji. Ogromny znak wiszący na drzewie głosił po hiszpańsku i angielsku, że należy zapłacić myto.

- Zostańcie tutaj - rozkazała Jill. - Pójdę z nimi porozmawiać.

Ostrożnie podeszła do bram. Mimo zapewnień Constanzy nie była pewna, że czar na nią nie podziała.

Okazało się, że szef mafii mówił prawdę. Co prawda jej koń wyraźnie się spłoszył, ale udało im się przejść. Jill stwierdziła, że to wałach, i postanowiła sprawdzić przed atakiem, czy wśród pozostałych wierzchowców są jakieś ogiery. Nawet gdyby się tak okazało, piechota również będzie potrzebna.

Duchy i inne nieludzkie istoty również nie miały wstępu do doliny.

Wszystko wskazywało na to, że istnieje tutaj rozbudowany system wodociągowy, a jeden z budynków wyglądał na gazownię.

Do miasteczka dotarły już wieści o nadciągającej armii. Najprawdopodobniej przekazały je gnomy. Mieszkańcy zebrali się tłumnie na głównym placu i patrzyli na nią z nabożnym lękiem, kiedy zbliżała się wolno. Niektórzy byli naprawdę

wystraszeni.

Przyjrzała się im z litością. Sprzedawcy, farmerzy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Żadnego wojownika. Tu i ówdzie zobaczyła strzelby, miecze, a nawet stare rapiery, ale wiedziała, że ci ludzie nie są w stanie odeprzeć ataku.

Oni również zdawali sobie z tego sprawę. Widziała to w ich oczach. Jej armia stała na górskiej drodze, czekając na rozkaz.

Jill zaskoczył widok mężczyzn, ale domyśliła się, że czar dotyczy tylko tych, którzy próbują wejść do doliny.

Z tłumu wystąpił ubrany odświętnie stary mężczyzna z krzaczastymi siwymi wąsami, wysoki i prosty pomimo wieku, i zerknął na nią przez grube okulary. Na twarzy miał wyraz powagi i strachu.

- Dlaczego? - zapytał drżącym głosem.

Obawiała się tego pytania, ale nie mogła go zostawić bez odpowiedzi. Ci ludzie na nią zasługiwali.

- Nie pochodzę z waszego świata - oznajmiła. - Moja planeta ginie. Wkrótce obróci się w pył, trafiona przez zblakany księżyc. Mój lud ma tylko jedną nadzieję na ratunek, magiczny kamień, który znajduje się w rękach czarnoksiężnika O'Malleya. Ceną za ocalenie pięciu miliardów istnień jest wasze życie.

Na placu zapanowała śmiertelna cisza. Nawet dzieci przestały się wiercić. Wreszcie starzec westchnął ze smutkiem.

- Cóż, więc to tak. Musisz zrobić to, co musisz. Podobnie jak my.

- Nie możecie zwyciężyć - stwierdziła Jill. - Sami o tym wiecie. Żadna ziemia nie jest warta przelewu krwi.

- Odejdźcie stąd, a czar zostanie przełamany. Po co walczyć?

Stary mężczyzna odwrócił się i spojrzał na milczący tłum, a potem na nią.

- Wiesz, kim jesteśmy? - zapytał z przejęciem. - Biedakami i dziećmi biedaków. Z dziesięciu tysięcy została nas garstka. Zabijani, paleni, gwałceni, grabieni i przepędzani z miejsca na miejsce, dotarliśmy w końcu tutaj, do doliny, której nie chcieli nawet Indianie i Mali Ludzie. Była to jałowa, nieurodzajna ziemia. Brakowało nam jedzenia i pieniędzy. Nasze nędzne krowy wyzdychały, konie połamały nogi. Nie mogliśmy iść dalej. Zostały nam tylko dusze.

Urwał i zdjął okulary. Przetarł je dużą czerwoną chustką, chcąc ukradkiem wytrzeć załzawione oczy. Nasadził okulary na nos i kontynuował:

- Zbudowaliśmy tę tamę z ziemi i skał, bez pomocy magii. Przeprowadziliśmy się

przez góry i zwoziliśmy darń. Sami ciągnęliśmy wozy, dopóki nie dorobiliśmy się zwierząt. W ciągu dwóch pokoleń zbudowaliśmy to miejsce bez żadnej pomocy, kosztem życia dwóch trzecich z nas. Kochaliśmy je i pielęgnowaliśmy, a ono nas żywiło. Moja rodzina jest pochowana w tej ziemi, a także ojcowie, matki, siostry i bracia wszystkich, których tu widzisz. Kiedy zjawił się Constanza, próbował się nas pozbyć, ale mu się nie udało. Zbudował ten potężny zamek. Nie mogliśmy go powstrzymać, ale znienawidziliśmy go. Nie miał prawa do tej ziemi. Nie zrosił jej swoją krwią. Chcieliśmy się od niego uwolnić i nasze modlitwy zostały wysłuchane. Gdy Constanza i jego ludzie wyjechali, pojawiła się istota z Nieba, jaśniejąca światłem, które przyćmiewało gwiazdy. Rzuciła czar, a reszta służby z tego zamku, który on nazwał Cytadelą, zmieszała swoją krew z ziemią tej doliny. Pod wzgórzem są uwięzione złe moce. Nie wchodzimy tam, zostawiamy je po prostu w spokoju. - Znowu zrobił przerwę i rozejrzał się po placu. - Prosisz, żebyśmy stąd odeszli, ale my nie możemy. Jesteśmy na zawsze związani z tą doliną. Nie mamy dokąd pójść, a poza tym nie chcemy. Stworzyliśmy to miejsce. To nasz cały świat. Równie dobrze możesz nas prosić, żebyśmy opuścili planetę. Jeśli trzeba, umrzemy. Wszyscy kiedyś muszą, ale my umrzemy tutaj! Miała ochotę się rozpłakać, lecz powstrzymała się.

- To prawda. Rozumiem was. Ale młodszy ludzie i ich dzieci powinni żyć. Dajcie im szansę.

Starzec spojrzał jej w oczy. Oprócz strachu zobaczyła w nich siłę. Tę wewnętrzną siłę mieli wszyscy mieszkańcy doliny. Ona czyniła ich wielkimi.

- To są owoce tej ziemi. Nie da się ich łatwo przesadzić - stwierdził starzec.

- A jednak rozważcie swój wybór - nalegała. - Wszyscy. Nie możecie zwyciężyć. Tym razem nie będzie cudów z nieba. Zaczekam do jutra rana. Tylko tyle czasu mogę wam dać. Błagam was, niech odejdą przynajmniej rodzice dzieci, które są za małe, żeby same podjąć decyzję. Nie będziemy was zatrzymywać i obiecuję, że zrobimy wszystko, żeby się zaopiekować tymi, którzy odejdą. Zastanówcie się. Macie czas do świtu. Potem decyzja nie będzie należała do mnie.

Stary mężczyzna uśmiechnął się ciepło i wyciągnął do niej rękę. Jill wyczuła, że przemawia w imieniu wszystkich.

- Tak mi przykro, że musisz to zrobić - powiedział ze współczuciem. - Tak mi ciebie żal.

Spojrzała na niego oszołomiona. Litował się nad nią!

- Co masz na myśli? - zapytała.

Uśmiechnął się uprzejmie i poklepał ją po dłoni.

- Dla nas to będzie chwila. Dla ciebie całe życie.

Spięła konia ostrogami i pognąła w stronę bram, oddalając się szybko od miasteczka. Po chwili zwolniła, żeby się opanować. Nie chciała, by kobiety zobaczyły, że ich bogini płacze.

Obejrzała się na spokojną zieloną dolinę i ruszyła w stronę obozu rozbitego na zboczu. Podjechała do wozu, na którym leżała nieprzytomna ciężarna dziewczyna. Wyjrzała z niego pielęgniarza.

- Dziecko jeszcze się nie urodziło? - spytała Jill.

- Były dwa fałszywe skurcze, ale już niedługo.

- Posłuchaj mnie uważnie i wypełnij moje rozkazy co do joty. Wiele od tego zależy - powiedziała Jill z naciskiem. Coś w niej krzyknęło: Och, Mac, znajdź klejnot i wybaw mnie!

6

Zapadła kolejna noc i znowu krążył wokół posiadłości O'Malleya, próbując coś wymyślić. Theritus musiał przebywać gdzieś w pobliżu, po prostu musiał. Ale gdzie? Nie pod ziemią. Mac to sprawdził. Przeszukał również domy stojące wzdłuż brzegu jeziora, ale nie nadawały się na kryjówkę. Były to w większości rezydencje milionerów, zbyt rzucające się w oczy.

Utwierdził się w tym przekonaniu, wypytując przypadkowe osoby, które wcześniej zahipnotyzował. Nikt nie widział w okolicy żadnego demona.

A jednak coś przeoczyłem, stwierdził Mac, fruując bez celu wzdłuż plaży. Gdzieś istniał ślad, coś ważnego. Gdyby tylko potrafił go znaleźć.

Nagle zatrzymał się w powietrzu i omal nie spadł. Nie chodziło o to, co widział, lecz o to, czego nie widział!

W domu O'Malleya znajdował się ukryty pokój, gdzie odprawiano czary, i ołtarz, na którym składano ofiary. Panowała w nim atmosfera magii i ciemnych mocy. Nie było tam jednak żadnych czarnoksięskich przedmiotów, żadnych wywarów, tajemnych ksiąg z magicznymi znakami i formułami. Czarnoksiężnik, nawet najpotężniejszy, nie mógł wszystkiego mieć w głowie, a w tym zawodzie nie można sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Musiał potrzebne rzeczy trzymać gdzieś pod ręką.

Mac czuł, że jest bliski znalezienia odpowiedzi. Gdyby tylko potrafił zrobić ostatni mały kroczek. Przydałby się teraz Sherlock Holmes.

Gdzie więc znajdowały się pomoce i akcesoria? Zakopane w ziemi? Nie, to wykluczone. Musiałyby być przechowywane w metalowym pojemniku, a mieszkańcy Podziemnego Świata nie pozwoliliby na to. Zresztą O'Malley nie mógłby im zaufać. Nie w domu. Nie na terenie posiadłości. Nie w bezpośrednim sąsiedztwie. A jednak na pewno były gdzieś blisko...

Pod wodą? Popatrzył na spokojne jezioro. Nie, pod wodą także nie, ponieważ O'Malley musiałby zaufać duchom wodnym i rusalkom, nie mówiąc o żywiolach. Nie odważyłby się zatopić pojemnika. Zgodnie z prawem i postanowieniami traktatów pojemnik stałby się własnością podwodnych istot.

Łodzie! Mac zaklął w myśli. Ależ był głupi! Przystań. Ponad trzysta zakotwiczonych jachtów i łódź wyścigowa O'Malleya przywiązana do mola. Doskonałe miejsce na ukrycie dokumentów, ksiąg i wszystkich magicznych przedmiotów, których używał czarnoksiężnik. Łatwo dostępne i bezpieczne. W razie odnalezienia kryjówki ładunek wybuchowy zniszczy wszystko i pośle na dno.

Starannie przeszukał łodzie, żałując, że nie może się teraz dostać do archiwum, żeby sprawdzić, które łodzie są zarejestrowane na O'Malleya, Constanzę lub jego ludzi. Jednak na niewiele by się to zdało. Straciłby wiele dni, zdobywając tylko nazwiska podstawionych osób.

Jezioro lśniło niesamowitym blaskiem, na którego tle doskonale rysowały się kształty łodzi. Mac sfrunął jak najniżej, w jednym miejscu sunąc nad wodą na wysokości zaledwie pięciu metrów. Wyraźnie czuł ubytek sił, ogólne osłabienie. Wiedział, że nie przeprawi się przez wodę.

Ale dokąd? Miał teraz pewność, że na jednym z trzystu statków znajdują się Theritus i klejnot. Problem polegał na tym, że nie wiedział na którym. Zresztą z pewnością demon był dobrze strzeżony.

Mac uważnie przyjrzał się łodziom. Po raz pierwszy stwierdził, że jako wampir jest w niedogodnej sytuacji. Przypomniawszy sobie służącą, ale odrzucił ten pomysł. Oczywiście wykonałaby jego rozkaz, lecz pozostawała jeszcze kwestia, jak wydostać klejnot od demona, a tego nie zrobiłaby za niego.

Wyteżył pamięć. Kiedyś widział w telewizji *Draculę*. Próbował sobie teraz przypomnieć, czy słynnego wampira powstrzymała woda? Jeśli dobrze pamiętał, księżę pochodził z Rumunii, ale akcja filmu rozgrywała się w Anglii. Jak dotarł na

wyspę? Jak wrócił?

Oczywiście! W ładowni statku! Zabił załogę i osadził okręt na mieliźnie! Podróżował morzem!

Mac zbliżył się do łodzi wyścigowej. Oczywiście nie znalazł w niej kluczyków. I natychmiast postukał się w czoło. Przecież na tym świecie nie mogły istnieć łodzie motorowe, gdyż nie znano tutaj silników spalinowych.

Nie była to również łódź wiosłowa. Miała koło sterowe, siedzenie pilota, ale...

- Niech będę podwójnie przeklęty! - zaklął na głos. - Pedał!

Okazało się, że jest to coś w rodzaju roweru wodnego. Szybko nauczył się go obsługiwać dzięki niezwyklej sile. Wprawdzie woda osłabiła go, ale i tak był silniejszy od przeciętnego człowieka, a za życia uprawiał sport. Bał się jednak, że jakiś strażnik zauważy zniknięcie łodzi albo że ktoś go zobaczy. Przerażała go również możliwość, że wypadnie lub zostanie wypchnięty za burtę. Oznaczałoby to pewną śmierć.

Musiał jednak oddalić od siebie ponure myśli i znaleźć najpierw właściwy jacht.

Okazało się to dość łatwe. Zlokalizował kryjówkę demona po tym, że na pokładach sąsiednich jednostek kręcili się ludzie z pistoletami maszynowymi. Upewnił się jeszcze, gdy prawie najechał na linę utrzymującą się na wodzie dzięki bojom. Łączyła ona łodzie, na których znajdowali się strażnicy i tworzyła pięciokąt. Pięciokąt na wodzie, pośrodku którego stał wielki luksusowy statek z dwoma masztami i kominem. Był to jednocześnie parowiec i żaglowiec.

Strażnicy nie zauważyli Maca pomimo rozwieszonych pochodni. Zachował ostrożność i miał szczęście. Pilnowanie jest jednym z najnudniejszych zajęć. Ci mężczyźni nie mogli być tak tępi jak domowa służba, ponieważ musieli w razie konieczności przyłapać sprytnego złodzieja lub intruza, a z drugiej strony mieli takie same emocje jak dziewczyna pastująca podłogi, jeśli nie mniejsze. Zatracili czujność.

Mac podpłynął do jednej z łodzi i ocenił odległość. Wykonał długi skok, odpychając jednocześnie rower wodny, i zawisł jak pajak na kadłubie. Wdrapując się na pokład narobił trochę hałasu. Miał nadzieję, że strażnicy uznają, że to skrzypienie łańcuchów kotwicznych, ale miał pecha. Jeden z mężczyzn zatrzymał się tuż nad nim, z latarnią w jednej ręce, a pistoletem maszynowym w drugiej. Niespokojnie wyjrzał przez burtę, dostrzegł dryfującą łódkę i nabrał podejrzeń.

Nagle jego szyję otoczyło silne ramię i ścisnęło jak w imadle. Nie mógł krzyknąć. Oczy wyszły mu z orbit, język spuchł. Mężczyzna bezwładnie osunął się na pokład. Mac nie wiedział, czy go zabił, i wcale go to nie obchodziło. Ruszył ukradkiem przez

pokład, aż nazbyt świadomy płonących pochodni, które jasno oświetlały basen portowy.

Zastanawiał się, czy nie pofrunąć, ale postanowił nie ryzykować. Wiedział, że czekają go jeszcze trudne chwile. Miejsce było strzeżone nie bardziej niż zwykle skupisko luksusowych jachtów, żeby nie zwracało niczyjej uwagi. A jednak... Na trzech sąsiednich łodziach były strażę, a może i na zakotwiczonej pośrodku, odległej od tamtych o dziesięć metrów. Dziesięć metrów! Nie dałby rady przefrunąć tej odległości, nie odważyłby się ryzykować. Utracił również łódź. Bałby się ruszyć tą, na której się znajdował, gdyż stanowiła część pięciokąta. Nie miał zamiaru uwolnić demona, zanim dostanie to, po co przyszedł.

Statki, nienaturalnie stabilne, były prawdopodobnie umocowane na betonowych słupach wbitych w dno płytkiego jeziora. Nie zagroziłby im sztorm ani kra.

Sprytnie pomyślany pięciokąt miał nie tyle trzymać intruzów z daleka, co więzić tych, którzy znajdowali się w jego środku. Strażnicy zapewne znali specjalny czar, który pozwalał im się stąd wydostać. To niedobrze. Mac miał cztery godziny, żeby wykonać zadanie. Jeśli nie zdąży przed świtem, utknie tutaj i nie będzie mógł wrócić do trumny.

Musiał zrezygnować ze skomplikowanych planów. Założył, że pięciokąt ma odstraszać nie ludzi, a strażników - ludzi. Miał jednocześnie nadzieję, że nie wzięto pod uwagę wampirów.

Rozejrzał się nerwowo. Żaden ze strażników najwyraźniej nie zauważył ani nie usłyszał niczego niezwykłego. Mac musiał dostać się na główny jacht w pełnym świetle pochodni i bez osłony. Wiedział, że pistolety maszynowe nie wyrządzą mu krzywdy, ale impet pocisków mógł strącić go do wody. Przeszukał łódź. Była pusta. Zapewne służyła jako kwatera dla strażników. Sprawdził pod pokładem i znalazł ślady świadczące, że mieszkały tutaj jeszcze co najmniej dwie osoby, prawdopodobnie członkowie załogi, którzy mieli teraz wolne. Gdy zszedł do ładowni, poniżej linii wodnej, przekonał się, że miał rację. Przez dno łodzi przechodziły dwa grube stalowe pale zatopione w betonie. Zobaczył kapiącą wodę, więc czym prędzej stamtąd uciekł. Nie miał ochoty się w niej znaleźć, choćby i płytkiej.

Utwierdził się w domysłach, kiedy zobaczył potężne ładunki dynamitu. Nie było wątpliwości. Statek pośrodku pięciokąta wytyczonego przez linę stanowił miejsce ukrycia demona.

Trójmasztowy, luksusowo wyposażony szkuner był mocno przytwierdzony do

podłóża. Mac pogodził się z tym, że nie zdoła pokonać niepostrzeżenie dziesięciu metrów dzielących go od celu, i doszedł do wniosku, że musi narobić jak największe zamieszanie, by odciągnąć uwagę pozostałych strażników. Miał zdobyczny pistolet. Gdyby udało mu się wywabić wszystkich na pokład i skosić serią... Ale jak później pokonać te dziesięć metrów?

Przez całą godzinę próbował wymyślić jakiś sposób, a kiedy znalazł rozwiązanie, żałował, że nie zna się lepiej na fizyce albo przynajmniej na ścinaniu drzew.

Jeszcze więcej czasu zabrały mu przygotowania. Dynamit, który znalazł w ładowni, był powiązany rzemieniami w wiązki po sześć lasek, połączone miedzianym drutem. Drut odgałęział się w kilku miejscach, prowadząc prosto do detonatorów, które przyparty do muru strażnik mógł odpalić z dowolnego miejsca statku, a dzięki niewielkiemu opóźnieniu pozostawało mu kilka sekund na ucieczkę.

Wyglądało na to, że system nie jest wyposażony w pułapki. Mac ostrożnie przeciął rzemień i drut, a potem usunął jedną laskę. Sporo czasu i wysiłku zabrało mu dotarcie do mechanizmu bezwładnościowego i odcięcie drutu. Gdy mu się to wreszcie udało, stanął przed drugim poważnym zadaniem, którego wymagał jego plan.

Spodziewał się, że umieszczenie pojedynczego ładunku powinno być łatwe, choć nie miał pojęcia, jaką siłę będzie miał wybuch. Sądząc po starych filmach, należało oczekiwać dużo hałasu. Zamierzał wysadzić maszt - miał nadzieję, że uda mu się to bez rozrywania pięciokąta lub zatopienia jachtu - i wykorzystać zamieszanie, żeby dostać się na główny statek. Nie wiedział jednak, gdzie umieścić ładunek, żeby maszt spadł w pożądanym kierunku, a siła eksplozji nie rozłożyła się jednakowo we wszystkich kierunkach, lecz ścięła szesnastometrowe drzewce.

Przynajmniej nie musiał się martwić, że strażnicy złączą szukać koleżkę. Wołali go parę razy, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, doszli widocznie do wniosku, że zszedł pod pokład i ucina sobie drzemkę. Z ich zachowania wynikało, że jest to normalna praktyka. Czuli się tutaj bezpieczni. Jedyne zagrożenie stanowiła policja albo konkurencyjny gang.

Nie spodziewali się samotnego intruza.

Wokół podstawy masztu był wystarczająco duży otwór, żeby zmieściła się tam laska dynamitu. Gdyby tylko wiedział, gdzie ją założyć. Przypomniawszy sobie, że ścinane drzewo spada w kierunku największego nacięcia. To oznaczało, że powinien umieścić dynamit między masztem a jachtem. Tak też zrobił, amortyzując go od spodu poduszkami, pościelą i wszystkim, co miał pod ręką.

Zadowolony z siebie poprowadził miedziany drut na zewnątrz i schronił się na rufie. Nie chciał, by siła eksplozji zdmuchnęła go za burtę. Wziął pistolet maszynowy. Był gotowy.

Uruchomił mechanizm bezwładnościowy. Urządzenie zaczęło piszczeć. Mały wskaźnik zbliżał się szybko ku czerwonemu polu. Kiedy dotarł tam, Mac puścił urządzenie i skulił się.

Szczotki detonatora zetknęły się ze sobą, po paru sekundach wycie zaczęło cichnąć, a wskaźnik opadł. Macowi przemknęła myśl, że nie zrozumiał zasady działania mechanizmu, że drut odczepił się, ładunek odpadł... że z jakiegoś powodu nie dojdzie do wybuchu.

Sekundy wlokły się w nieskończoność. Maca ogarniał coraz większy strach, lecz nie zamierzał się ruszyć, dopóki ze skrzynki wydobywał się jakikolwiek dźwięk. Znał opowieści o ludziach rozdartych na kawałki, kiedy próbowali sprawdzić, dlaczego ładunek nie wybucha. Najbardziej się bał, że mógłby wpaść do wody. Nawet przebicie serca kołkiem osinowym wydawało się lepsze od utonięcia.

I wtedy huknęło. Eksplozja była o wiele głośniejsza i silniejsza, niż się spodziewał. Cały statek - zatrzęsł się pomimo betonowego słupa, a mostek rozpadł się. Sam maszt pękł jak gałązka. Upadł do przodu, zgodnie z oczekiwaniami Maca, ale nie dosięgnął celu. Znalazł się o jakiś metr od rufy jachtu. Okazał się nie dość długi.

Mac doszedł do wniosku, że to musi wystarczyć. Huk eksplozji odbijał się echem od brzegu. W okolicznych domach zaczęły się zapalać światła. Strażnicy na sąsiednich łodziach wypadli na pokłady. Wstał i otworzył do nich ogień, potem wskoczył na dach nadbudówki i strzelał do każdej ruszającej się postaci. Nawet nie przyszło mu do głowy, że robi coś złego. Zresztą to byli tylko gangsterzy.

Jednemu ze strażników udało się ukryć. Otworzył do niego ogień. Kule trafiły Maca. Nie zrobiły mu krzywdy, ale zwały z nóg. Upuścił pistolet. Leżał przez chwilę, potem ostrożnie podczołgał się w kierunku broni i chwycił ją.

Na brzegu rozległy się krzyki, a z jachtu dobiegło wołanie:

- Co się tam dzieje? Co się dzieje? - To był kobiecy głos.

Strażnik, który go trafił, uznał, że ofiara nie żyje. Sprawdziwszy, czy w pobliżu jeszcze ktoś się nie czai, wstał i spojrzał na drugi statek.

Mac poderwał się i strzelił do niego. W chwili śmierci strażnik miał na twarzy wyraz absolutnego zdumienia.

Mac domyślał się, że pomoc jest już w drodze, więc miał niewiele czasu. Spojrzał

na przewrócony maszt, który nie sięgał do głównego jachtu, i zamienił się w nietoperza. To była najlepsza postać, jaką mógł przybrać, żeby wykonać to zadanie. Jednak jako nietoperz stanowił niemal niewidoczny cel, a ponadto miał doskonałe poczucie równowagi i orientację przestrzenną.

Zdezorientowane posiłki dopiero wsiadały na łódzie przy brzegu, kiedy dotarł do najdalszego punktu masztu. Wiedział, co musi zrobić. Zamienił się w wielkiego szarego wilka. Nie tracąc czasu, by ocenić kąt i wziąć rozbieg, skoczył na dolny pokład jachtu, niemal nadziewając się na poręcze.

Usłyszał kobiecy krzyk. Natychmiast przybrał z powrotem własną postać i pobiegł do najbliższych drzwi. W środku ujrzał oszalamiająco piękne kobiety, które mierzyły do niego z pistoletów maszynowych.

- No dobrze, koleś, nie ruszaj się - warknęła rudowłosa.

- Bo cię skosimy - dorzuciła blondynka.

Nie miał wątpliwości, że by to zrobiły. Czas uciekał. Mac spojrzał w oczy rudej, zahipnotyzował ją i wydał myślą rozkazy. Druga nawet się nie zorientowała.

Następnie zwrócił się do blondynki.

- Odłóż pistolet - polecił spokojnie, starając się opanować podniecenie i zdenerwowanie.

Wyglądała na zdziwioną. Idąc za jego wzrokiem zobaczyła, że koleżanka celuje teraz w nią.

Musiał przyznać, że była bardzo opanowana: nie rzuciła broni.

- Co to za sztuczki... ? - zaczęła patrząc mu prosto w oczy.

Popelniła błąd. Żałował, że nie ma czasu, by przeszukać ich umysły i dowiedzieć się czegoś o statku. Minął je. Miały stać na straży. Nie chciałby być w skórze następnej osoby, która spróbuje się tutaj dostać.

Na jachcie przebywało dużo osób. Kiedy Mac maszerował przez korytarz pewnym krokiem, z kajuty wysadził głowę ubrany na białą mężczyznę, który mógł być szefem stewardów, i próbował go zatrzymać. Nie miał szans w pojedynku z wampirem. Ciśnięty z powrotem do kabiny, osunął się bezwładnie po ścianie.

Mac dotarł do schodów, zrzucił z nich dwóch wystraszonych mężczyzn i wszedł na pokład. Przypuszczał, że główna sala znajduje się na śródkręciu.

Istotnie. Była urządzona jak sułtański pałac, przeładowana luksusem. O'Malley zapewnił Theritusowi komfortowe warunki.

- Theritusie! Demonie! Jesteś tutaj? - krzyknął.

W drugim końcu pomieszczenia pojawiła się kobieta z pistoletem i wystrzeliła w niego cały magazynek. Drgnął, kiedy trafiły go kule, ale utrzymał się na nogach i ruszył na nią. Próbowwała uciekać, ale był szybki. Złapał ją, obrócił i spojrzał w przestraszone oczy.

- Gdzie jest demon? - zagrzemiał. - Powiedz mi!

- W... kabinie kapitana - wykrztusiła.

- Zaprowadź mnie tam! - Trzymał ją jak tarczę, w nadziei, że nie odważą się do niego strzelać. Ciągłe ataki zabierały cenny czas.

Nie musieli iść daleko i po drodze nie mieli żadnych kłopotów. Kobieta wskazała na dębowe drzwi tuż pod mostkiem.

- Jest tam - powiedziała.

Nie miał wątpliwości, że mówi prawdę. Miał nad nią hipnotyczną władzę. Odwrócił ją do siebie i zajrzał głęboko w oczy.

- Znajdziesz broń i nie pozwolisz, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał - polecił.

- Tak, panie - odpowiedziała posłusznie i odeszła.

Bez wstępnych ceremonii pociągnął klamkę z taką siłą, że wyrwał drzwi z zawiasów.

Była to naprawdę luksusowa kabina. Na łóżku w kształcie serca siedział demon w koszuli nocnej, obejmując dwie nagie kobiety. Spojrzały z przerażeniem na intruza.

- Co to znaczy? - syknął Theritus raczej zaskoczony niż przestraszony.

- Przysłała mnie Asmodeusz Mogart - odparł Mac. - Mój świat jest zagrożony. Potrzebujemy twojego klejnotu, żeby go uratować!

Theritus roześmiał się. Brzmiało to jak szczekanie małego pieska.

- A dlaczego sądzisz, śmiałku, że ci go dam? - zapytał wyniośle.

- Wiesz, że to już koniec - zauważył Mac. - Dobrze ci się żyło, ale O'Malley obiecał klejnot mojej partnerce. Zresztą po tej eksplozji i strzelaninie federalni lada moment znajdą to miejsce. Dobre życie się skończyło.

- Więc gliny przerwą pięciokąt i uwolnią mnie - odpalił demon, nie puszczając swoich towarzyszek. - Nie zdołają mnie zatrzymać.

- Dlatego O'Malley weźmie twój klejnot i da mojej partnerce - powiedział wampir.
- Nie ma nic do stracenia. Daj mi kamień i uratuj wielu ludzi! - Łącznie ze mną, pomyślał Mac ponuro.

- Nawet sam O'Malley nie może wziąć klejnotu bez mojego pozwolenia, chyba że...
- zawiesił głos, jakby coś przyszło mu do głowy, i powiedział bardziej do siebie niż do

Maca: - Chyba że przyśle szogoty, żeby mnie - zabiły! - wykrzyknął przerażony. Puścił obie kobiety i zepchnął jedną na podłogę. - Nic nie rozumiesz. Pan O'Malleya jest wrogiem mojej rasy i wszystkich ludzi - wybełkotał. Zachowywał się jak osoba oszalała ze strachu. - W ten sposób mnie złapał! Teraz też przyśle szogoty! Muszę stąd uciekać!

Mac nie rozumiał, ale wiedział, że musi wykorzystać sytuację.

- Więc daj mi klejnot. Nie możesz sam się stąd wydostać, ale jeśli ja wypowiem życzenie, może nam się uda!

Demon wyglądał jak rażony piorunem.

- Oczywiście! Oczywiście! Ciebie czar nie dotyczy! - Pogrzebał w jednej z szuflad i wyjął małe pudełko. Podeszedł do Maca, lecz w ostatniej chwili zawahał się.

- Nie zostawisz mnie, kiedy ci go dam? - zapytał niespokojnie.

- Daję ci słowo - obiecał Mac.

Demon wręczył mu pudełko. Mac otworzył je i rozwinął przedmiot owinięty w satynę. Na zewnątrz rozległy się krzyki, odgłosy bieganiny i huki wystrzałów.

- Szybko! Weź mnie za rękę! - zawołał Mac. Demon posłuchał go, ale na pożegnanie obrzucił ostatnim spojrzeniem kobiety i kabinę. - Szkoda - mruknął. - To było niezłe więzienie.

- Klejnocie! Zabierz nas do mojej kryjówki! - rozkazał Mac.

W drzwiach stanął uzbrojony mężczyzna i wymierzył w nich z pistoletu.

- Nie! Nie! - krzyknęły przerażone kobiety.

Mac i Theritus zniknęli.

Padło. Kopyta Theritusa grzęzły w błocie. Demon powoli otrząsnął się z szoku.

- No dobrze, a teraz oddaj mi klejnot! - zwrócił się do wampira.

Mac Walters spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Żartujesz? Powiedziałem ci, że go potrzebuję.

- Oddaj go! - zaskrzeczał demon ze złością i skoczył na niego.

Mac z łatwością zrobił unik, a Theritus upadł twarzą w błoto i znieruchomiał.

Przez chwilę Mac myślał, że go zabił albo przynajmniej znokautował. Ostrożnie schował klejnot do kieszeni i podeszedł do ubrudzonego demona. Pod przemoczoną nocną koszulą wyraźnie rysował się ogon.

Theritus nie był martwy ani nieprzytomny. Płakał. Jego rysy wykrzywiała wściekłość zmieszana ze strachem.

- Proszę! Błagam cię! Bez klejnotu utknę tu na zawsze, bez żadnej ochrony, blisko Odwiecznych. To beznadziejne miejsce! Nic nie rozumiesz!

Mac nie rozumiał, ale widział, że demon jest wręcz sparaliżowany strachem.

- Masz na myśli, że nawet tobie grozi tutaj śmiertelne niebezpieczeństwo - stwierdził.

Demon skinął głową.

- Tak, tak, właśnie.

Mac Walters zamyślił się. Czas! Tracił tyle czasu! I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Theritusie, mógłbym cię podrzucić na przykład na teren treningowy i wrócić tutaj?

Wyraz rozpaczki zniknął z twarzy demona.

- Tak, oczywiście, jeśli znasz numer poziomu.

Mac skinął głową.

- Niedawno byłem u Abaddona na terenie treningowym. Chyba mogę cię tam podrzucić. Ale jak mam potem wrócić, żeby zabrać stąd partnerkę?

Demon rozpromienił się. Najwyraźniej nie miał ochoty spotkać się z tymi, których tak bardzo się bał.

- Dobrze, dobrze, zabierz mnie tam! Gdziekolwiek! Kiedy będziesz chciał tutaj wrócić, powiesz klejnotowi, żeby cię przeniósł na Główną Linie plus tysiąc siedemdziesiąt sześć.

- Tysiąc siedemdziesiąt sześć - powtórzył Mac. - W porządku, wynośmy się z tego deszczu. - Chwycił Theritusa za rękę. - Zabierz nas na poziom treningowy, ale co najmniej kilometr od Abaddona! - rozkazał.

Znaleźli się pośród tej samej szarej pustki, jaką Mac zapamiętał. Na horyzoncie rysowało się miasteczko z westernu.

Tym razem jednak byli tutaj ludzie. Mnóstwo ludzi, nieludzi i demonicznych istot. Całe tłumy. Jako żywy trup Mac mógł widzieć innych umarłych. Miał ochotę jak najszybciej stąd uciec.

Ile czasu minęło? Kiedy znikali, zbliżał się świt. Nie mógł dłużej zwlekać.

- Klejnocie! - powiedział. - Zabierz mnie do mojej trumny na poziomie tysiąc siedemdziesiąt sześć!

Podróżując przez szare przestrzenie, zastanawiał się, co mogło tak wystraszyć demona. Jednocześnie uświadomił sobie z przerażeniem, że uwierzył mu. A Theritus oszukał go mówiąc, że to jest poziom tysiąc siedemdziesiąty szósty. Chwilę potem leżał w swojej kryjówce. Na zewnątrz switało. Poczł ogarniającą go senność.

Gdyby nie Jill, natychmiast wróciłby do Mogarta, ale nie mógł jej tu zostawić, nie mógł opuścić po tym, czego dokonała. Od Asmodeusza wiedział, że na tym poziomie czas płynie dużo szybciej niż na poprzednich, więc był pewien, że zdąży.

Obudził się o zmierzchu i zorientował, że nie może od razu wprowadzić w życie swojego planu. Nie wiedział, gdzie jest Jill McCulloch. Gdzieś w Ameryce Północnej, lecz raczej nie na Alasce. Nie mógł jednak ryzykować. W Chicago zmierzchało, ale na zachodzie jeszcze nie. Postanowił odczekać dwie godziny, żeby mieć pewność.

Nie wiedział poza tym, czego się może spodziewać. Najpierw musiał się posilić, a to wymagało czasu.

O wpół do ósmej stwierdził wreszcie, że może spróbować. Wyjął klejnot.

- Zabierz mnie do Jill McCulloch! - rozkazał i czekał w napięciu, gotowy wydać inne polecenie, jeśli poczuje palące promienie. Miał jednak szczęście. Za górami widać było jeszcze lunę, ale słońce już zaszło.

Jill siedziała na dużym głazie przed ogromną i starą bramą. Patrzyła przed siebie tępo, jakby wszystko się w niej wypaliło. Mimo to promieniowała mocą. Wyglądała jakoś inaczej. Była wyższa, silniejsza, uderzająco piękna. Najwyraźniej rzucono na nią potężny czar.

- Jill! - krzyknął podniecony. - To ja, Mac! Mam klejnot! - Uniósł go w górę. Kamień zajaśniał jak żywy, pulsując w wieczornej zorzy.

Powoli podniosła wzrok, jakby nie dowierzała własnym uszom. Jej oczy spoczęły na klejnocie.

- Więc jednak go zdobyłeś - powiedziała cicho.

- O co chodzi? - spytał zdziwiony.

Skinęła głową za siebie. Podeszedł do bramy i spojrzał na dolinę, miasto i zamek.

- O mój Boże! - jęknął.

To była prawdziwa rzeź. Miejscowi stawili tylko symboliczny opór. Gdzieś tam leżały ciała kobiet, które najwyraźniej nie pochodziły stąd, ale podobieństwo pozostałych rzucało się w oczy.

Młodzi mężczyźni i starcy, chłopcy, dziewczynki, młode i stare kobiety, nawet niemowlęta. Po całym polu wały się trupy.

W dolinie płonęły ogniska. Obozowała tam spora armia złożona w całości z kobiet, które przeszukiwały okolicę.

Jill wstała i podeszła do Maca.

- Dałam im czas do świtu - powiedziała drewnianym głosem. - Później

przedłużyłam termin do południa. Nie odeszli. Nie potrafili walczyć. Mieli tylko strzelby i parę starych mieczy. Stawili niewielki opór. Tamten stary mężczyzna był przywódcą. - Wskazała na ciało leżące obok bramy jak szmaciana lalka. - Przywitał nas przy bramie. Spojrzał mi w oczy i wiesz, co powiedział? „Wybaczamy wam!” Wybaczamy wam!

Szlochając osunęła się powoli na ziemię. Mac uznał, że najlepiej będzie, jeśli zostawi ją w spokoju. Próbował sobie wyobrazić, co tu się działo.

- Dlaczego nie zdobyłeś go wcześniej? - wybuchnęła nagle Jill. - Dlaczego zajęło ci to tyle czasu?

Nie wiedział, że wampir może czuć mdłości.

- Bo się bałem - szepnął w odpowiedzi. - Chodziło mi tylko o zdobycie klejnotu. O włos uniknąłem tylu niebezpieczeństw, że w decydującej chwili przestałem myśleć. Nazwij mnie słabeuszem, nazwij mnie głupcem i obwiniaj mnie, a nie siebie, Jill.

- Nie, Mac. Dziękuję ci, ale muszę sama stawić temu czoło. Ja... nie potrafiłam uwierzyć, że zdobędziesz klejnot, skoro ja nie zdołałam. Nie sądziłam, że ci się uda, więc nie czekałam na ciebie. Powinnam pamiętać, że możesz działać tylko w nocy. Powinnam pamiętać, że już zdobyłeś dwa, podobnie jak ja. Powinnam była> zaczekać. - Spojrzała na niego. - Musiałeś wrócić do trumny, prawda? Rozumiem.

Otoczył ją ramieniem i pomógł wstać.

- Wina spada na nas oboje - powiedział łagodnie. - Nie bardzo wiedziałem, do czego cię zmuszają. Kiedy wróciłem do kryjówki, był już dzień. Nie miałem pojęcia, która godzina jest tam, gdzie ty się znajdujesz. Jesteśmy na zachodzie, prawda?

- Gdzieś koło naszego Denver.

Skinął głową ponuro.

- Więc weź winę na siebie i żyj z nią. Ja też muszę to zrobić. Powinienem być zaryzykować. Kazać się przenieść nie do Chicago, lecz do ciebie. Może jeszcze bym zdążył przed świtem. Westchnęła.

- Nigdy się tego nie dowiemy, prawda? Będziemy musieli z tym żyć.

Skinął głową.

- Myślę, że lepiej będzie, jak się stąd ruszymy. Jeśli śmierć tych ludzi ma mieć jakiś sens, musimy uratować nasz świat.

Zawahała się na moment.

- Nie, muszę jeszcze coś zrobić. Dwie rzeczy. - Odwróciła się i krzyknęła w stronę bramy: - Zbiórka na polu! Wszystkie oprócz sanitariuszek!

Zagrzmiały rogi, odpowiedziały im inne, a potem ich echa. Ze wszystkich stron doliny zaczęły się schodzić wojowniczkę z armii utworzonej przez O'Malleya.

- Co... ? - Mac był zdumiony.

Jill uśmiechnęła się gorzko.

- Zakończyliśmy bitwę o drugiej po południu, wytropiliśmy i zabiłymi ostatnimi ludzi przed czwartą. Jednak nie wezwałam od razu O'Malleya, żeby przekazać mu tę ziemię i zażądać zapłaty. Wiesz dlaczego?

Potrząsnął głową, zbity z tropu.

- Czar rzucony na to miejsce sprawiał, że żaden mężczyzna nie mógł przejść przez bramę, jak długo żył ktokolwiek urodzony w tej dolinie. - Wskazała na zamek, prawie niewidoczny w gęstniejącej ciemności. - Tam mieściła się kwatera Constanzy i wrota strasznego zła, obcej inteligencji, która jest wrogiem całej ludzkości. O'Malley jest zdrajcą. Służy wrogom. Próbował otworzyć te wrota, wpuścić obce istoty, ale go okpieno. Został wywabiony z doliny, a kiedy chciał wrócić, zadziałał czar. Chciał wykorzystać mnie, żeby dostać się do wrót, otworzyć je i wpuścić złe moce, które zaatakowałyby ludzi. Nie można mu na to pozwolić.

Oślupiały Mac zrozumiał teraz, skąd się brało przerażenie Theritusa.

- Nadal nie rozumiem... - zaczął.

- Wezwałam O'Malleya tuż przed twoim przybyciem - przerwała mu Jill. - Sądę, że już nadjeżdża. Widzisz te pochodnie i wozy? To banda Constanzy. Ukryj się w ciemności i pozwól mi zrobić to, co muszę.

Czuł się zupełnie dezorientowany i bezradny. Radość z odniesionego sukcesu zgasła na widok masakry. Zrodziło się w nim natomiast poczucie winy. Szykował się, żeby wrócić do swojego świata z ostatnim zdobytym klejnotem i ogłosić ostateczne zwycięstwo, a stał się bezsilnym obserwatorem toczących się wokół niego wydarzeń.

Uratowaliśmy świat, nasz świat! Więc dlaczego czuję się, jakbym przegrał?

Grupę prowadził O'Malley. Na jego twarzy malowała się satysfakcja. Constanza jechał za nim na wspaniałym wierzchowcu. On również wyglądał na zadowolonego. Jill stanęła pośrodku drogi, kilka metrów od starożytnej bramy. Zatrzymali się przed nią.

- Przekazuję wam tę ziemię - oświadczyła. - Wszyscy mieszkańcy zostali zabici.

O'Malley skinął głową.

- Wiem. Jestem dziwnie... hmm... wyczulony na tych ludzi. Wypełniłaś swoją część umowy. Nie pozostał tu ani jeden wojownik Starych Bogów, tylko kobiety, które

ze sobą przyprowadziłaś.

Jej twarz wykrzywił zły uśmiech, a w oczach odbiła się nienawiść i pogarda.

- A teraz odbiorę nagrodę! - oznajmiła.

O'Malley wyglądał na zdziwionego i zmieszanego.

- Przecież już ją dostałaś! - odparł. - Twój człowiek, czy kimkolwiek on jest, wziął go ostatniej nocy! Jest tutaj. Wyczuwam jego obecność i klejnot.

- Ty mi nie zapłaciłeś. On sam go wziął! - zauważyła Jill. - Nie taka była nasza umowa!

Czarnoksiężnik zaniepokoił się nagle. Na twarzy Constanzy widniał taki sam wyraz całkowitej dezorientacji jak na twarzy ukrytego Maca. Nie wiedzieli, co się tutaj dzieje, ale obaj wyczuwali, że coś ważnego.

- Pamiętasz warunki? - naciskała Jill. - Powtórzę je: „Obejmiesz dowództwo nad armią, którą dam ci do dyspozycji. Poprowadzisz ją tam, gdzie wskażę, i otoczysz Cytadelę. Nie oszczędzisz ani jednego człowieka. Wydasz rozkaz zabicia wszystkich obleżonych i dopilnujesz, żeby został wykonany. Potem wezwiesz mnie, trzykrotnie wypowiadając u bram moje imię.” - Urwała i wbiła w niego wzrok. - Wypełniłam zadanie co do joty - stwierdziła. - Ty natomiast powiedziałeś: „Ja dam ci klejnot, którego szukasz.” Tak brzmiała umowa. Dotrzymałam jej. Teraz ty musisz wypełnić swoją część! Domagam się tego!

O'Malley wyglądał na lekko przestraszonego. Pogmerał przy kołnierzyku, jakby chciał go rozpiąć, a na czoło wystąpił mu pot.

- Zaczekaj chwilę! - zaprotestował. - Oszukałaś mnie! Dobrze wiesz!

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, w którym nie było wesołości, tylko satysfakcja.

- Umowa jest umową - oświadczyła. - Ile ich zawarłeś, a potem wyłgałeś się, zarzucając drugiej stronie oszustwo lub błędy formalne, co, O'Malley? Założę się, że setki. Może tysiące! Kiedy się podpisuje pakt z diabłem, lepiej zwracać uwagę na to, co jest napisane drobnym drukiem!

Mac popatrzył na czarnoksiężnika i dostrzegł w jego oczach prawdziwy strach, to samo skrajne przerażenie, które widział na twarzy Theritusa.

- Dotrzymaj umowy albo płać karę! - zażądała Jill McCulloch.

- Nie mogę! Wiesz o tym, ty dziwko! - wrzasnął czarownik. - Zostaw mnie! Dam ci wszystko! Co tylko zechcesz! Mów! Już jesteś boginią. Uczynię cię królową świata! Tylko powiedz! Będziesz miała nieograniczoną władzę! - bełkotał jak oszalały. Nagle spojrzał w ciemność, jakby widział tam setki ciemnych, bezkształtnych postaci.

I rzeczywiście coś tam było. Konie zaczęły wierzgać i parskać. Powietrze zgęstniało. Wszyscy wyczuli czyjąś obecność, jakieś obce istoty.

Mac wyteżył wzrok, próbując dojrzeć w ciemności to, co widział czarownik, ale na próżno. Otaczała go głęboka czerń, nieprzenikniona nawet dla jego wampirzych oczu.

- Daj mi klejnot! - krzyknęła Jill. - Wypełnij umowę! Domagam się teraz zapłaty!

Mac był pewien, że widzi jakieś kształty. Znowu wyteżył wzrok, ale dostrzegł tylko niewyraźne zarysy jakby baniek mydlanych, które nie pozostawały w polu widzenia na tyle długo, by się dało określić, czym naprawdę są.

Constanza i reszta bandy odsunęli się od czarnoksiężnika.

Z ciemności dobiegły głosy, dziwne piski, które nie mogły pochodzić z żadnego znanego źródła. Setki... nie, tysiące obcych istot wołało przeraźliwie:

- *Tekeli-li! Tekeli-li!*

Otaczały O'Malleya, który nadal siedział na koniu, sparaliżowany nieludzkim strachem.

Ciemne kształty otoczyły go ze wszystkich stron, a on wytrzeszczył oczy z przerażeniem i krzyknął:

- Nie! Nie! Panie! *la! la! Yog-Sothoth!* Broń swego sługę! O nie! Proszę! Nie! Czy twój honor musi kosztować życie sługi! Nie! Proszę!

Kształty dotknęły go. Nawet koń znieruchomiał. Wyglądał jak posąg. Człowieka i zwierzę otoczyło nagle niebieskie światło. Wyglądali przez chwilę jak negatyw, a potem zniknęli.

Wróciła ciemność. Niesamowite, drwiące okrzyki umilkły, a istoty wycofały się do przestrzeni między światami, gdzie mieszkały. Zapadła cisza. Po koniu i jeźdźcu zostały tylko rozkładające się resztki pośrodku drogi, nic więcej.

Wszyscy zaniemówili, wstrząśnięci dramatem, który się przed nimi rozegrał. Wszyscy z wyjątkiem Jill. Na jej twarzy pojawił się wyraz satysfakcji, stanowiący odbicie myśli: W porządku. Dzisiaj zginęło wielu dobrych ludzi, ale ich śmierć pozwoliła usunąć z tego świata potworne zagrożenie.

Mac był oszołomiony. Jill nie mogła wiedzieć, że on zdobył klejnot, a jednak wezwała O'Malleya przed jego przybyciem.

Constanza otrząsnął się pierwszy. Odetchnął głęboko i zagwizdał.

- I tak nigdy nie ufałem temu draniowi - powiedział spokojnie. Spojrzał na Jill stojącą na drodze w wojowniczej pozie. - Wygląda na to, że oboje wygraliśmy - stwierdził niemal wesoło. - Ja dostałem z powrotem swoją ziemię i pozbyłem się

niebezpiecznego człowieka, a pani ma swój cenny klejnot.

- Oboje przegraliśmy - odparła z takim samym spokojem, lecz bez śladu wesołości.
- Zrobiłam dobrym i łagodnym ludziom coś, co mnie będzie prześladować do końca życia. A pan nie odzyska ziemi.

Twarz, na której do tej pory malowało się zadowolenie, stężała z gniewu.

- Myślisz, że możesz mnie powstrzymać? - zapytał wyniośle. - Moi ludzie już tutaj są. Przybyli parę dni temu. Mam dobrze wyszkoloną armię. Wy, kobiety, byłyście dobre przeciwko tym farmerom - niemal wypluł ostatnie słowo - ale co zdziałacie przeciwko pięciuset doświadczonym facetom z pistoletami maszynowymi? Nie rozśmieszaj mnie. Odsuń się.

Z twarzy Jill nie zniknął uśmiech satysfakcji.

- Odsunę się. Nikt nie będzie wam przeszkadzał. - Cofnęła się, mijając Maca ukrytego w ciemności. - Zostań tu i nie pokazuj się! - szepnęła. - Przyjdę do ciebie za minutę!

Wzruszył ramionami i westchnął. W dalszym ciągu nie rozumiał, o co jej chodzi.

Constanza ruszył naprzód. Jego koń ominął plugastwo leżące na drodze. Za nim ruszyli jego ludzie. Przy bramie, zaledwie kilka metrów od Maca, ściągnął wodze i zsiadł z wierzchowca. Zamierzał wkroczyć na swoją ziemię jako pan i zwycięzca.

Podszedł do bramy i zrobił krok.

Choć niczego tam nie było, wydawało się, że natrafił na szklaną płytę. Zmarszczył brwi i znowu próbował wejść. Nie udało mu się. Wyjął pistolet i uderzył. Nie rozległ się żaden dźwięk, choć Constanza poczuł opór, jakby trafił w litą ścianę.

Wpadł we wściekłość.

- Co zrobiłaś, ty dziwko! - warknął. - Nie wiem, co próbujesz osiągnąć, ale nie z tego! Wiem, że wszyscy nie żyją. Sam słyszałem, jak przekazujesz ziemię. Co zrobiłaś?

- Posłuchaj uważnie - powiedziała z uśmiechem. - Usłyszałbyś to wcześniej, gdybyśmy nie robili tyle hałasu. Teraz jest cicho. Posłuchaj!

Zbity z tropu i wściekły Constanza wyteżył słuch, jak wszyscy obecni. Z początku nic nie usłyszał oprócz szmeru wiatru w górach, gwaru wokół obozowych ognisk i skwierczenia pochodni. Wreszcie wyłapał jeden dźwięk. I zrozumiał.

To był płacz dziecka.

- Słyszysz, Constanza? - spytała Jill z nutą satysfakcji w głosie. - Potrzebowałeś armii kobiet. Tylko że tak to z nimi bywa, że czasami zadają się z mężczyznami i mają dzieci, Constanza. Znalazłyśmy ją w czasie marszu. Była bliska rozwiązania.

Czekałyśmy i modliłyśmy się, żeby nie urodziła za wcześnie. Dziecko przyszło na świat tuż po bitwie. Chłopiec, Constanza. Wypełniłam swoją część umowy. Zabiłam wszystkich mieszkańców tej ziemi. Ale czar działa znowu. Chłopak żyje i daje znak krzykiem. Zabieraj się stąd, Constanza! Nie ma tu dla ciebie wstępu, nie możesz się tu schronić. Twoja armia nie przejdzie przez bramę i nie masz już O'Malleya. Precz! Na wygnanie, na które nie zasłużyłeś, albo do więzienia, co z pewnością cię czeka. Wygnanie to dla ciebie zbyt łagodna kara.

Constanza zrozumiał, że poniósł porażkę, i cofnął się od niewidocznej bariery. Wycelował w Jill stojącą po drugiej stronie i strzelił, zanim Mac zdążył zareagować.

Nie upadła. Stała tam i śmiała się z niego.

Znowu nacisnął spust i znowu. Strzelał jak szalony, aż zabrakło mu kul. Opuścił broń zdruzgotany.

- To wcale nie takie proste, Constanza - zawołała do niego. - Gdyby tak było, mógłbyś odbić tę ziemię, wynajmując snajperów. Czar znowu działa. Żaden mężczyzna nie może tutaj wejść. Nawet ty.

Gangster stał przez chwilę, wpatrując się w nią z wściekłością. Potem, nagle zrezygnowany, schował pistolet i wsiadł na konia.

Ruszył w stronę swoich ludzi, minął wozy i odjechał w noc. Jego armia wahała się przez chwilę, a potem podążyła za nim.

Jill podeszła do swoich oddziałów zebranych na polu.

- Posłuchajcie mnie uważnie. Muszę was teraz opuścić. Muszę wrócić, żeby ocalić swój świat. To jest teraz wasza ziemia i żaden mężczyzna nie może wam jej odebrać. Jesteście tutaj, ponieważ nie pasujecie do społeczeństwa urządzonego przez mężczyzn. Możecie stworzyć własne. Załóżcie tu swoje królestwo. Uprawiajcie ziemię, brońcie jej i kochajcie, jak kochali ją ludzie, których zabiłyśmy. Stwórzcie coś nowego i wspaniałego, jeśli macie odwagę! Wyjeżdżajcie stąd czasami, ale dzieci rodźcie tutaj! Ta ziemia należy do was! Uwalniam was od wszelkich czarów, ale rzucam wam wyzwanie! - Zawahała się.

Związane czarem kobiety milczały do tej pory, wypełniając jej życzenia jak roboty. Bez żadnych emocji zabijały tego dnia. Ich jedynym celem było słuchanie rozkazów Królowej!

Wiele teraz płakało.

- Żegnajcie - dokończyła, czując ściskanie w gardle. - Inni mnie potrzebują. - Odwróciła się i przeszła przez starożytną bramę. Nie obejrzała się ani razu, ale Mac to

zrobił.

Zapłakane kobiety stały na baczność. Jill również łkała. Wziął ją za rękę i próbował pocieszyć.

- Wracajmy do domu - powiedział łagodnie i wyciągnął klejnot z kieszeni.

- Zabierz nas oboje do Asmodeusza Mogarta! - rozkazał.

Świat zniknął.

GLÓWNA LINIA + 2076

Mac Walters nie mógł się powstrzymać, by nie wyjrzeć przez drzwi baru. Otworzył je ze skrzypnięciem, a potężna siła omal nie wyrwała mu ich z rąk. Zamknął je z wysiłkiem. Zdążył jeszcze rzucić przelotne spojrzenie, ale to wystarczyło.

- Jezu! - wyrzucił z siebie. - Chyba jest za późno! To już koniec świata!

Jill McCulloch rozejrzała się niespokojnie, szukając Asmodeusza Mogarta. Małego człowieczka nie było nigdzie widać. Zniknęli również inni goście i barman.

Oboje wyglądali dokładnie tak jak wtedy, gdy weszli do baru zaledwie kilka godzin obiektywnego czasu temu.

- Zdaje się, że masz rację - odparła ponuro. - Nie widzę tu nikogo.

Mac potrząsnął głową.

- Na pewno gdzieś tu jest. To miejsce przetrwało tylko dzięki pięciu klejnotom. A więc on też musi tutaj być.

Zaczęli przeszukiwać wszystkie kąty. Jill obeszła ladę i stanęła jak wryta.

- Mac! Jest tutaj! O mój Boże!

Walters błyskawicznie wskoczył na bar. Mogart leżał na podłodze, zupełnie nagi, a kozi ogon sterczał niemal pionowo.

- Nie żyje? - zapytała Jill z niepokojem, bojąc się potwierdzenia najgorszych obaw.

Walters ukląkł przy demonie i łagodnie go odwrócił na plecy. Mogart jęknął i głośno zachrapał.

- Cholera! Sztwywny! Zalany w trupa! Spójrz. Ściska w ręce szklanekę whisky!

Jill znalazła kurek od zimnej wody i pośpiesznie napełniła dzbanek.

- Musimy go ocucić! - krzyknęła niemal histerycznie i wylała zawartość naczynia na głowę demona.

Mogart otrząsnął się i zachrapał przeraźliwie, ale nie obudził się.

Walters chwycił go.

- Mogart! No dalej, draniu! Obudź się! - wrzasnął mu do ucha i potrząsnął gwałtownie.

Demon trochę otrzeźwiał, do połowy otworzył nieprzytomne oczy, ukazując rozszerzone źrenice, wymamrotał coś niezrozumiale i opadł z powrotem na podłogę.

- Więcej wody! - zawołał Mac, a Jill pośpiesznie napełniła dzbanek. Wziął naczynie i wylał jego zawartość na głowę demona, potrząsając nim jednocześnie. Oboje wrzeszczeli, żeby oprzytomniał.

O mój Boże! myślała Jill z rozpaczą. On musi się obudzić! Po tym wszystkim, co przeszliśmy!

Walters kilka razy uderzył demona w twarz. Mogart poruszył się, otworzył zamglone oczy i rozejrzał się. Miał wyraźne trudności ze skupieniem wzroku.

Dopiero teraz Jill zauważyła na ladzie baterię butelek po whisky. Doliczyła się dwunastu. To wystarczyłoby, żeby zabić normalnego człowieka. Określenie „alkoholik” było zbyt łagodne w odniesieniu do Asmodeusza Mogarta.

- Jeszcze wody! - polecił Mac. - Chyba otwiera oczy!

Omam nie upuściła dzbanka ze zdenerwowania. Potężny podmuch wiatru zatrzęsł budynkiem. Czy to rzeczywiście wiatr? Miała wrażenie, że Ziemia rozpada się na kawałki.

Mac polał Mogarta i tym razem demon wrzasnął i próbował odtrącić dzbanek.

- Dość! Dość! - krzyknął piskliwym głosem. - Precz, nieczyste diabły! Te usta nie tkną wody nie wymieszanej ze szkocką!

- Mogart! - ryknął na niego Walters, przysuwając twarz do jego twarzy. - To my! Mamy piąty klejnot, Mogart! Mamy piąty klejnot! Musisz uratować świat!

W jego oczach pojawił się przeblysłk zrozumienia.

- O, tak, tak. Katastrofa. Muszę powstrzymać katastrofę - wymamrotał. - Ale najpierw muszę się dobrze wyszpać - oznajmił. Zamknął oczy i próbował się przewrócić na bok.

Jill stanęła nad nim i wylała mu na głowę kolejną porcję wody. Ich usiłowania doprowadziły go do wściekłości. Zachowanie demona zmieniło się. Otworzył oczy i rzucił jej piorunujące spojrzenie:

- Och, wy nieczyści. Nie dawajcie mi tego wstrętnego płynu! - krzyknął ochryple. - Zamienię was za to w ropuchy!

Wyciągnął rękę do półki za barem, strącając przy tym kilka szklanek. Roztrzaskały

się z hukiem, który sprawił mu wyraźną przyjemność. Tak spodobał mu się ten dźwięk, że zaczął strącać pozostałe szkło. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął kolejno wszystkie klejnoty.

Popatrzył na nie z fascynacją i podniósł gniewny wzrok na swoich dręczycieli. Próbował wstać, ale był to dla niego zbyt wielki wysiłek.

Mac odwrócił się z niepokojem do Jill.

- Gdzie jest ten cholerny klejnot? Musimy mu go pokazać !

Wytrzeszczyła oczy.

- Ty go masz! Nawet go nie widziałam!

Na moment zbaraniał. Sięgnął do kieszeni, do której wsunął klejnot, gdy zmaterializowali się w barze.

Mogart otworzył usta na ten widok. Spojrzał na pozostałe kamienie i zaczął liczyć.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć! Pięć i jeden to sześć! - Spojrzał na Maca z wyrazem dziecinnego oczekiwania na twarzy. - Daj go!

Mac Walters z niepokojem podał klejnot demonowi. Wiedział, co można zdziałać z sześcioma, a Mogart był w takim stanie, że nie mógł niczego zrobić dobrze.

Demon wlepił wzrok w iskrzące się kamienie i zamyślił się głęboko. Potem złożył dłonie i potrząsnął klejnotami. Nagle mocno je ścisnął, aż poczerwieniał z wysiłku. Spomiędzy złączonych dłoni wydobył się dym. Jill i Mac usłyszeli ciche skwierczenie. Choć na twarzy Mogarta odmalowało się cierpienie, nie zważał na ból. Następową w nim zmianą. Oboje cofnęli się, obserwując demona z rosnącym zdumieniem.

Z twarzy biło mu ekstatyczne uniesienie. Wydawało się, że demon rośnie, nabiera ciała i sił. Transformacja była zdumiewająca. Cherlawy, załamany pijak przeistoczył się w straszego diabła o ogromnej mocy.

Wyszedł zza baru, całkowicie panując nad ciałem i umysłem. Uniesienie zmieniło się w zadowolenie kogoś, kto ma władzę i możliwość jej używania. Rozejrzał się, zignorował dwoje ludzi, a potem powoli i z namysłem podszedł do drzwi w drugim końcu baru. Z każdą sekundą jego metamorfoza stawała się wyraźniejsza. Mierzył teraz ponad dwa metry wzrostu. Wcześniej chudy i słaby, miał teraz potężną klatkę piersiową i muskularne ramiona. Przy każdym ruchu mięśnie prężyły się, nabrzmiewały żyły. Skóra nabrała błękitnawego odcienia. Ciało poniżej pasa porastały gęste kręcone czarne włosy wyglądające jak para futrzanych spodni. Nogi były teraz bardziej zwierzęce, niby-kozie, lecz grube i silne, z wielkimi kopytami. Podobny do bicia ogon kończył się trójkątną błoną, która przypominała kaptur kobry.

- Mogart! - zawołała Jill. - Planetoida! Musisz powstrzymać kolizję!

Dziwna istota, która zaledwie parę chwil wcześniej była żalonym pijaczkiem, odwróciła się powoli w ich stronę. Wielkie oczy płonęły dziwnym czerwonym ogniem, nozdrza były spłaszczone. Uśmiech ukazał zęby drapieżnika. Mogart patrzył na nich jak na tresowane zwierzęta, a nie ludzi.

Przypomnieli sobie ostrzeżenia innych demonów, że mając klejnoty w ręku Mogart stanie się niebezpieczny. Mac chwycił mocno dłoń Jill i oboje pomyśleli o tym samym, zadali sobie to samo pytanie. Co my najlepszego zrobiliśmy? Czy postąpiliśmy właściwie?

- Pamiętam o asteroidzie - oświadczył głosem co najmniej o dwie oktawy niższym od głosu dawnego Mogarta. - Zastanawiałem się, jak rozwiązać ten problem. - Uniósł w górę przedmiot utworzony przez połączenie sześciu klejnotów, ogromny kamień płonący żywym ogniem na krawędziach i jarzący się granatowo na ściankach. - Oto Oko Baala - oznajmił patrząc na nie z mieszaniną podziwu i ekscytacji. - Dużo czasu upłynęło, odkąd je widziałem ostatnio, nie mówiąc o posiadaniu.

- Okłamałeś nas! - zawołała Jill oskarżycielsko. - Nic cię nie obchodzi ten świat! Potrzebowałeś tylko kogoś, kto wykona za ciebie czarną robotę!

Wyszczrzył się złośliwie.

- Bystra jesteś. Tak, właśnie o to chodziło. Uważam jednak, że powinniście docenić pełnię mojego geniuszu. Wiele razy w ciągu tysiącleci próbowałem odzyskać Oko Baala, które odebrano mi dawno temu. Powiedzieli, że źle wykorzystuję moc, robiąc z siebie boga, który pobłaża samemu sobie. Jakby sztuczne twory bujnej wyobraźni, wytwory wyższej inteligencji i nauki posiadały jakiegokolwiek prawa! Nie miałem szczęścia. Służba bezpieczeństwa działała zbyt dobrze. Zawsze udawało się im mnie wysledzić, a kiedy posyłałem innych, okazywali się niekompetentni. Doszedłem do wniosku, że moim wysłannikom brakuje motywacji. Ponieważ pracowali dla mnie, a nie dla siebie, przeciwności i problemy osłabiały ich wolę, nie potrafili się z nimi uporać. - Uśmiechnął się szerzej i kontynuował: - Myślicie, że znaleźliście się tutaj tylko zbiegiem okoliczności, akurat kiedy byliście najbardziej potrzebni? Sądzicie, że wykonaliście zadanie dzięki swoim zdolnościom? Planowałem to od dawna! Odkąd dwadzieścia lat temu wykryłem zaburzenia grawitacyjne. Wybrałem ludzi, wielu ludzi na swoich agentów. Oczywiście nie wiedzieli o tym. Korzystając z mocy, którą miałem, obdarzyłem ich doskonałymi ciałami i jeszcze lepszymi umysłami. Ambicje zaszczipione rodzicom, nauczycielom i wszystkim ludziom, z którymi się stykali,

kształtowały ich zainteresowania, ich osobowości, przygotowały do udanych działań na Alternatywach. Były tysiące takich ludzi, nie tylko wy dwoje!

Mogart zrobił przerwę, rozkoszując się ich minami.

- Bardzo mnie to wszystko wyczerpywało. Moc klejnotu jest ograniczona. Doprowadziłem się do tego żałosnego stanu, w jakim mnie widzieliście. Historyjka, że byłem pijany w decydujących tygodniach, kiedy powinienem zbierać i wysyłać agentów, to prawda. Wszystko jest prawdą, z wyjątkiem powodu, dla którego mnie tutaj zesłano. Nie z powodu alkoholizmu, ale nieuleczalnej megalomanii, jak to określili. - Wzruszył ramionami. - Prawdopodobnie mieli rację. Odmawiałem leczenia, ponieważ megalomania to taka cudowna rzecz. Pozbyto się mnie. Ziemia to tylko produkt uboczny wprawionych w ruch sił. Jak już wam powiedziałem, inne prace badawcze prowadzi się dopiero w Galaktyce Andromedy. Zgodziłem się na wygnanie, ponieważ alternatywą było wykasowanie umysłu, zniszczenie całej osobowości i pamięci. Nadal byłbym tutaj więźniem, gdyby nie szereg pomyślnych wydarzeń.

- Asteroida - szepnęła Jill.

Skinął głową.

- Problemem było podsuniecie właściwym ludziom myśli, żeby spróbować ją przechwycić. Wiązałoby się to z ogromnymi kosztami! Na szczęście odkryto, że asteroida naprawdę zawiera bogactwa naturalne, więc miałem ułatwione zadanie. Istotnym warunkiem był odpowiedni poziom rozwoju techniki, by można wprowadzić plan w życie. Później do głosu doszła duma i chciwość, które są odbiciem moich cech w waszej rasie.

- Jesteś Bogiem? - szepnął Mac.

- Oczywiście, że nie, ty idioto! - syknęła Jill. - Bogiem jest Wydział Prawdopodobieństw na Głównej Linii. On jest kim innym.

Mogart złożył jej uprzejmy ukłon.

- Do waszych usług - powiedział drwiąco. - Szatan, Belzebub, Czart, Diabeł, Asmodeusz, jak chcecie. - Wyszczrzył się. - Megalomania to taka cudowna przypadłość!

- Więc klejnoty, nawet każdy z osobna, mają większą moc, niż twierdziłeś - stwierdził Mac. - Przypominam sobie teraz demoniczny pokaz Abaddona i jego komentarz, że dzięki klejnotowi kieruje kultami na setkach światów. Powinienem się wtedy wszystkiego domyślić.

- Nie przejmuj się - odparł Mogart. - Przecież czas cię naglił i miałeś większe problemy do rozwiązania. I nie czuj się źle z tego powodu, że zdobyłeś dla mnie klejnoty. Przecież istniało prawdziwe niebezpieczeństwo i tylko jedno rozwiązanie. Nie miałeś wyboru.

- I co teraz? - zapytał Mac.

Mogart skinął imponującą szatańską głową, wskazując na dziwny przedmiot, który trzymał w prawej dłoni.

- Widzicie? To jest Oko Baala. Pojedynczy klejnot jest bardzo potężny. Sześć blisko siebie zwiększa jego moc o minimum dziesięć do szóstej potęgi. Jeszcze wydajniejsza jest fuzja, która daje wzmocnienie dziesięć do dziesiątej, czyli około miliarda razy. Mając Oko, można zrobić prawie wszystko. To moc czystej myśli. Zamienia materię na energię i odwrotnie na dowolną skalę, a gdy się podłączy do komputerów Głównej Linii, nie trzeba nawet znać budowy ani wzorów. Wystarczy o czymś pomyśleć i ma się to. Potrzeba tylko dziesięciu kamieni, żeby stworzyć nowy poziom. Wyjdźcie ze mną na zewnątrz! Pokażę wam!

Wydawało się, że bar za chwilę się rozleci. Mac i Jill spojrzeli na siebie z przestachem, kiedy demon wyrwał drzwi z zawiasów i odrzucił jak zapalkę.

Na zewnątrz ujrzeli obraz całkowitego zniszczenia. Miasto wyglądało, jakby przeszła przez nie wojna. Z budynków zostały tylko szkielety, a autostrada międzystanowa była w gruzach. Neony kasyn i hoteli leżały na ulicach roztrzaskane w drobny mak. Silny wiatr wzbijał tumany kurzu. Wszędzie ziały wielkie pęknięcia, które mogłyby pochłonąć całe domy. Panowało polarne zimno.

Był dzień, ale na granatowym niebie, jak w czasie całkowitego zaćmienia, świeciły gwiazdy. Mogart pewnym krokiem wyszedł na ulicę, a oni ruszyli za nim z wahaniem. Wiedzieli, że ich bezpieczeństwo zależy wyłącznie od niego. Nie chroniony przez klejnot bar mógł w każdej chwili zniknąć z powierzchni ziemi.

Wyjący wiatr omal ich nie porwał, kłusując zimnem. Góry wokół zdawały się drżeć.

Jill chwyciła Maca za ramię. Spojrzała w górę. Niemal jedną trzecią nieba wypełniał ogromny obiekt, zimny i czarny jak najgłębsza noc.

Mogart zatrzymał się i zwrócił w stronę majaczącej na niebie zjawy. Jego ciemna postać rysowała się równie niesamowicie na tle ponurych ruin Reno.

Tylko Oko Baala świeciło jasno w jego dłoni. Wyciągnął przed siebie ramiona, ściskając je mocno. Potem uniósł ręce w górę, jakby wzywał jakiegoś mrocznego boga. Wpatrując się prosto w wielki obiekt, zaintonował grzmącym głosem, przekrzykując

wiatr:

- Precz!

I tak się stało.

Niebo nagle zrobiło się jasne. Pojawiło się słońce w zenicie, zniknęły gwiazdy, a wiatr i wstrząsy ustały. Nadal było przejmująco zimno, ale ciepłe promienie już zaczęły ogrzewać Ziemię.

Mogart opuścił ramiona i odwrócił się do nich.

- Widzicie? Z drobnymi problemami można uporać się szybko - powiedział z satysfakcją.

- Tak, ale co teraz? - zapytał Mac ponuro. - Ocaliłeś świat, lecz przy życiu została pewnie garstka ludzi, może tylko my. Wszystko leży w gruzach. Twierdzisz, że przygotowałeś setki, może tysiące ludzi do tego zadania. Jednak kiedy wysłałeś wezwanie, zjawiliśmy się tylko my dwoje. Nie wiadomo, co się stało z resztą.

Mogart pokiwał głową twierdząco.

- Tak, chyba niewielu ocalało. No i dobrze. Stara cywilizacja została zmieciona. Teraz można zbudować coś nowego, według moich wskazówek, na mój obraz. - To ostatnie powiedział tonem zadowolenia z siebie i groźby, która wywołała u nich dreszcze.

Demon spojrział na szkielety budynków i rozbite neony. Potem przeniósł wzrok na Oko Baala i wtedy rozległo się dudnienie, jakby zatrzęsała się ziemia. Ruiny zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się pusta równina na tle nieruchomych gór.

Potem rozległ się następny dźwięk, jakby odległego chińskiego gongu, i na równinie wyrósł ogromny budynek, wysoki na dziesięć pięter i lśniący od złota. Przez otwarte wrota zobaczyli wielki tron inkrustowany drogocennymi kamieniami, obity czerwonym atłasem i gronostajowym futrem.

Jill McCulloch spojrzała na Maca.

- Jak długo jeszcze wytrzymasz te bzdury? - zapytała z niesmakiem.

- Z półtorej sekundy - odparł tym samym tonem. Odczuwał podobne rozgoryczenie na myśl o tym, przez co przeszli, żeby ten szaleniec mógł dojść do władzy. Strach ustąpił miejsca wściekłości.

Mogart zbliżył się do pałacu, przyglądając mu się z podziwem i chichocząc pod nosem.

Jill podeszła do niego z lewej strony. Mac zobaczył leżącą na ziemi pękniętą belkę, którą Mogart przeoczył podczas transformacji. Podniósł ją i zaszedł demona z prawej

strony.

Ten nie zwracał na nich uwagi. Zachwycony zdobyciem absolutnej władzy, zupełnie zapomniał, że nie jest sam.

Jill znalazła duży kamień i zważyła go w dłoni. Na jej twarzy malował się wyraz determinacji. Spojrzała na Maca, który skinął głową.

- No dobrze, Mogart, tego już za wiele! - krzyknęła i z całej siły cisnęła w niego kamieniem. Trafił go w lewe ramię. Na twarzy demona pojawił się gniew, a oczy zapłonęły pogardą.

- Więc to tak! - warknął. - Kimże jest wobec mnie ten mały robak? - Uniósł Oko Baala.

Jill spojrzała z przerażeniem, a Mac rzucił się na Mogarta i zdzielił go deską w prawą rękę. Mogart krzyknął zaskoczony, a Oko Baala wyśliznęło mu się z dłoni i spadło na ziemię. Demon był tak rozwścieczony, że nic nie zauważył. Odwrócił się w stronę napastnika. Chwyił go za ramię i przyciągnął do siebie gwałtownie. Mac nie mógł równać się z nim siłą.

Jill nie czekała, aż wielkie, sękaty palce zacisną się na gardle mężczyzny. Skoczyła po Oko Baala i chwyciła je.

Przeszył ją prąd. Każdą komórką ciała poczuła ogromną, niemal nieograniczoną moc. Trochę przypominało to przeżycie w pięciokacie O'Malleya, ale tutaj wrażenie było nieporównanie silniejsze. Była to moc przekraczająca zdolność rozumienia. Wydawało się, że świat spowolnił bieg. Odwróciła się do Maca i Mogarta złączonych w powolnym tańcu śmierci.

Zastanawiała się, jak zmusić do działania ten przeklęty kamień.

Mogart chyba wyraził życzenie, podszeptęła jej racjonalna część umysłu. Jill spojrzała na walczących i z całą mocą przesłała myśl, żeby się rozdzielili.

Nic się nie wydarzyło.

Przez chwilę nie mogła zrozumieć dlaczego. Wyraźnie czuła moc pulsującą w wielkim klejnocie.

W tym momencie Mogart uświadomił sobie, że nie ma Oka. Odepchnął Maca i ruszył w stronę Jill.

Mac doszedł do siebie i natychmiast zorientował się w sytuacji.

- Jill! Spójrz na klejnot, nie na Mogarta! - Z obolałego gardła wydobył się ochrypły głos.

Jill zrozumiała, o co mu chodzi, i od razu się uspokoiła. Wysiłkiem woli oderwała

wzrok od zbliżającego się demona i skupiła spojrzenie na Oku. Udało się jej przesłać prostą myśl. Nie poczuła nic, więc przygotowała się na to, co nieuniknione.

- Jill?

Omam nie krzyknęła ze przestachu. Cofnęła się odruchowo i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to Mac. Rozejrzała się oszołomiona.

Pałac stał na swoim miejscu, ale nigdzie nie było Asmodeusza Mogarta. Osunęła się na ziemię bez sił. Mac westchnął ze zrozumieniem i usiadł obok niej.

- Ja... ja chciałam, żeby sobie poszedł - powiedziała - i chyba tak się stało.

- Nie wiem, gdzie się podział. Po prostu zniknął. Biegł w twoją stronę, a w następnej chwili już go nie było. Puff!

Podniosła na niego pusty wzrok.

- Chyba wiem, dokąd poszedł. Kazałam mu iść do piekła.

- Hmm. Wątpię, czy można stworzyć Alternatywę, nawet mając Oko Baala - powiedział. - A skoro piekło już istnieje, dobrze byłoby stworzyć też niebo. Nie sądzę, żebyśmy się tak łatwo pozbyli naszego diabła.

Jill myślała przez chwilę, aż w końcu wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się opanować przez kilka minut. Łzy ciekły jej po policzkach. Wreszcie westchnęła i położyła się na ziemi.

Mac spojrział na Oko Baala, które wciąż ścisnęła w ręce.

- Mogę obejrzeć? - spytał z ciekawością.

Ogarnęło ją dziwne, irracjonalne uczucie.

- Nie! - warknęła. Zerwała się i zaczęła się cofać przed nim, przyciskając do siebie stopione klejnoty.

- Och, przestań - zawołał zdumiony.

Patrzyła na niego dziwnie, jakby widziała go po raz pierwszy. W oczach miała niedobry błysk, a na twarzy lekko zdziwioną minę, jakby również zauważyła w sobie zmianę. Wyglądało na to, że toczy się w niej wewnętrzna walka. Wreszcie podjęła jakąś decyzję i spojrziała na klejnot.

Mac obserwował ją, czując ściskanie w żołądku. Na jego oczach dokonywała się transformacja.

Jill stała się znowu Królową Ciemności, a ponadto Wenus i Afrodytą, królową Amazonek, prawdziwą boginią, promieniejącą mocą, wzbudzającą nabożny lęk i zachwyt.

Mac Walters stwierdził, że wzbierają w nim wszystkie pierwotne uczucia związane

z widokiem bogini: lęk, podziw, zdumienie, strach, uwielbienie i, tak, miłość. Odruchowo i padł przed Nią na twarz, najważniejszą, najwspanialszą istotą, panią stworzenia.

Jednak została w nim resztką zdrowego rozsądku. Gdzieś w zakamarkach umysłu pojawiła się spontaniczna myśl: O nie! Tylko nie to!

Bogini, Istota Najwyższa i jedyna władczyni zniszczonej Ziemi, spojrzała z satysfakcją na Swojego sługę. Przepęniała ją ogromna, nie znana wcześniej radość. Widok uwielbienia ze strony choćby tylko jednego czciciela podsycał w niej przyprawiające o zawrót głowy poczucie wszechmocy. Zrozumiała teraz, co czuł Mogart, czego pragnął i na tak krótko osiągnął, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Megalomania to rzeczywiście cudowna choroba, zwłaszcza jeśli chory naprawdę zdobywa władzę. A może jest zupełnie inaczej? Czyż władza absolutna nie psuje do cna? Może dlatego tyle demonów uwięziono na wieki, wypędzono z Głównej Linii, pilnowano, żeby nie ukradły klejnotów? Czy ci, których poznała na innych światach, byli tak dotknięci chorobą, że nie mogli wrócić do domu?

Odsunęła od siebie te myśli. To był Jej dom i tutaj miała władzę.

Odwróciła się i spojrzała na zamek Mogarta. Jaki surowy. Zwyczajny. Bogowie nie powinni mieszkać w fortecach. Oni żyją pośród piękna.

Zmieniła budowlę. Wyczarowała wysokie kolumny, tryskające fontanny, marmurowe chodniki, kuszące sadzawki otoczone kwiatami. Znowu przekonała się o mocy Oka. Pomyśleć znaczyło mieć.

Zerknęła na Waltersa. Lepiej nie popełniać błędu Mogarta. Ruszyła majestatycznie przed siebie, zastanawiając się, co z nim zrobić. Wymazać mu pamięć, żeby nigdy nie wątpił w moc Bogini. Zaczęła snuć plany. Doskonały świat jak w tamtej dolinie, szczęście, dobro, żadnego strachu i Ona jako jedyna władczyni. Doskonały świat, gdzie nie powtórzą się błędy przeszłości.

Była tak głęboko pogrążona w myślach o raj, który zamierzała stworzyć, że nie zauważyła deski, którą wcześniej Mac uderzył Mogarta. Nastąpiła na nią.

I Jej Wysokość, Bogini Ziemi Jill McCulloch upadła na dostojną pupę.

Mac usłyszał krzyk i ośmielił się podnieść wzrok. Królowa nie zdążyła użyć Oka Baala, żeby powstrzymać upadek. Wielki klejnot wypadł jej z ręki i potoczył się do niego.

Chwyił go, nie dowierzając własnym oczom. Jill natychmiast zerwała się na równe nogi. Walcząc z pierwotnymi emocjami, Mac spojrzał na jarzącą się kulę i

pomyślał: Nie pragniesz Oka Baala. Chcesz, żebym ja je miał.

Jill zatrzymała się zbита z tropu. W tym samym momencie Mac Walters poczuł to, co wcześniej czuli Mogart i McCulloch, kiedy wzięli do ręki Oko Baala - nagromadzoną energię, niemal nieograniczoną moc.

Spojrzał na nią twardo. Była wciąż jeszcze niewiarygodnie piękna, a on nadal żywił wobec niej silne uczucia.

Królowa! pomyślał triumfująco. Królowa odpowiednia dla mnie!

On również zaczął się zmieniać. Wyglądał teraz jak grecki ideał męskości. Mimo woli Jill poczuła nabożny podziw.

Uśmiechnął się, widząc po jej minie, że transformacja udała się. Odwrócił się w stronę greckiego pałacu. Może być, doszedł do wniosku. Wielki i wspaniały, siedziba najwyższej władzy.

- Co teraz zrobisz? - zapytała głosem równie cudownym jak jej wygląd.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Razem odbudujemy świat! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Uczynimy go lepszym, niż był! I póki będziemy rządzić, ludzie na Ziemi nie zazną niedostatku i strachu.

Tyle się nauczyliśmy, że tylko my mamy prawo decydować, jaki będzie ten nowy świat!

Podeszła do niego i razem spojrzeli na wspaniały pałac.

- Od czego zaczniemy? - zapytała.

- Od początku, jak zwykle robią amatorzy, którzy muszą wszystko spartaczyć - odezwał się za nimi obcy głos.

Obejrzeli się i stwierdzili, że już nie są sami. Na równinie stało dziewięć istot, ogromnych i imponujących, jak z pradawnych mitów. Wszystkie wyglądały jak Mogart, kiedy wszedł w posiadanie Oka Baala. Jednak było w nich coś, czego jemu brakowało: poczucie godności i spokojna mądrość.

Każda istota miała na szyi gruby złoty łańcuch, na którym wisiało Oko Baala.

Pięć istot było męskich, cztery żeńskie, choć na pierwszy rzut oka nie dostrzegało się wyraźnych różnic.

Mac pomyślał o przechwałce Mogarta, że potrzeba tylko dziesięciu klejnotów, żeby stworzyć cały poziom, cały wszechświat!

I było tu dziesięć klejnotów.

- Kim jesteście? - zapytał, chociaż domyślał się odpowiedzi.

- Tworzymy Radę Bezpieczeństwa Głównej Linii - odparł stojący pośrodku, który

przemówił pierwszy. - Jesteśmy szefami dziewięciu wydziałów Uniwersytetu. Wydajemy pozwolenia na użycie klejnotów, na tworzenie i niszczenie Alternatyw. Tobie na to nie pozwoliliśmy.

Mac Walters próbował opanować strach.

- Oko należy teraz do mnie! Do nas! Sami je zdobyliśmy! Zasłużyliśmy na nie!

- Nie sądzisz, że te boskie targi zaszły już za daleko? - westchnął demon. - Ze swoich doświadczeń z pewnością wyciągnęliście wniosek, że żaden człowiek nie jest zdolny dysponować taką mocą.

- A wy tak - odparł Mac buntowniczo.

- Nie - powiedział demon. - Póki piastujemy swoje stanowiska, mieszkamy i wszystko robimy razem. W ten sposób zabezpieczamy się przed nadużyciami władzy. - Spojrzał na Oko Baala wiszące na złotym łańcuchu. - To nie tylko władza, lecz odpowiedzialność. Wy jej nie macie. Oddacie nam więc Oko, a my zwrócimy klejnoty właścicielom, którzy będą musieli udowodnić, że na nie zasługują. - Wyciągnął zakończoną pazurami rękę.

Walters cofnął się o krok.

- Nie! Ono należy do mnie!

Demon potrząsnął głową.

- Dlaczego do ciebie? A nie do niej? Czy do Mogarta? Albo do okradzionych właścicieli klejnotów?

- Należy do mnie, bo mam je w posiadaniu - odparł Mac wyzywająco. - Nikt nie ma prawa mi go zabrać.

Przywódca westchnął.

- My możemy. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Choć potężne i boskie, Oko Baala nie ma nieograniczonej mocy, zwłaszcza przeciwko dziewięciu naszym. Twoje zachowanie dowodzi, że nie jesteś godzien go używać. Z pewnością została w tobie odrobina rozsądku, więc musisz wiedzieć, że ogromna władza psuje tego, kto ją posiada. Tak się stało z naszym bratem Asmodeuszem i kobietą stojącą obok ciebie. Zastanów się, przeciwko czemu się buntujesz. Dziewięć Oczu Baala to pięćdziesiąt cztery klejnoty, czyli niewyobrazalna moc. Mając jedno Oko, można rządzić galaktyką. Przy dziewięciu można ją stworzyć.

Zapadła martwa cisza. Słyszeć było tylko szum łagodnego wiatru wiejącego od gór. Jill McCulloch delikatnie wyjęła Oko z ręki Maca Waltersa, który stał jak wmurowany. Nie zaprotestował, choć wyczuła, że nie jest pod wpływem żadnego

czaru czy hipnozy. Po prostu wiedział, że nie ma najmniejszej szansy przeciwko tym istotom.

Podeszła do nich i wręczyła Oko Baala przywódcy. Potem spojrzała w jego mądre i bardzo zmęczone oczy i zadała najważniejsze pytanie.

- Co się stanie z naszym światem... i z nami?

We wzroku demona pojawiło się głębokie współczucie i zrozumienie, z którymi nie zetknęła się wcześniej u jego pobratymców. Zdawał się mówić: Wiemy. My również jesteśmy tylko ludźmi.

- Kiedy wyraziłaś życzenie, żeby Asmodeusz poszedł do piekła, pojawił się natychmiast w sali przesłuchań Rady Etycznej Uniwersytetu - wyjaśnił. - Piekło to coś subiektywnego. Dla niego było to miejsce, którego najbardziej się bał. Nie mieliśmy trudności z wydobyciem z niego całej prawdy. Przedstawił ją dość jednostronnie, ale nasze komputery zdołały ją uporządkować i oddzielić to, co istotne. On nie jest złym człowiekiem mimo swoich wad. Podobieństwo między tym, co zamierzał zrobić z Okiem, a waszymi planami jest uderzające. On jest po prostu bardzo ludzki. Wszyscy musimy się z tym borykać.

Wiedziała, że oni rozumieją. Zdają sobie sprawę, co to znaczy być zwyczajną jednostką, wiedząc, że istnieje taka moc.

- On był nauczycielem filozofii - kontynuował przywódca, jakby czytał w jej myślach. - Obracał się w naszym gronie i widział, jaką mocą dysponujemy. Odgrywaliśmy role bogów, zwykli ludzie tacy jak on. Znalazł więc pięciu kolegów, którzy czuli to samo, którzy pożąдали władzy i uważali, że będą lepszymi bogami. Jak wszyscy dumni ludzie byli idealistami, utopistami o dobrych intencjach. W swojej zarozumiałości naprawdę wierzyli, że będą lepsi od nas. Podobnie jak wy pragnęli władzy, ale nie zrozumieli, że wiąże się z nią odpowiedzialność. Dostali klejnoty, przypuszczalnie po to, by prowadzić badania na pewnych zaniedbanych lub opuszczonych poziomach. Mieli spotkać się później i stworzyć Oko Baala, a następnie zrealizować własne wizje. Cała dziewiątka westchnęła zgodnie.

- Było ich jednak sześciu, a ich wizje różniły się. Znalezli się w sytuacji bez wyjścia. Nie odważyli się połączyć sił, bo nie ufali sobie nawzajem. Nie mogli wrócić na Uniwersytet, gdyż ich intryga zostałaby zdemaskowana. Stali się niewolnikami własnych ambicji i żądzy władzy. Utknęli na peryferiach wszechświata. Poznaliście ich wszystkich i oczywiście Asmodeusza. Od dziesiątek tysięcy lat próbują się nawzajem przechytrzyć.

Mac Walters otrząsnął się.

- A to jest nasz świat - powiedział, zakreślając ramieniem duży łuk. - Zniszczenie. Ruiny. Śmierć.

- Można jednak cofnąć bieg wydarzeń - odparł przywódca. - Oczywiście nie będzie dokładnie tak, jak było, ale z dużym przybliżeniem. Chcecie, byśmy przywrócili ten poziom, to znaczy tę planetę, do dawnego stanu. To jest możliwe. Powiedzcie nam jednak, jak wy użylibyście mocy dziewięciu klejnotów.

Jill spojrzała na Maca i dostrzegła w jego oczach tę samą odpowiedź, jakiej ona chciała udzielić.

- Walczyliśmy i zabijaliśmy, żeby uratować nasz świat. Aby te działania miały sens, trzeba go teraz odbudować.

- Jednak wasz świat miał wady. Żyliście w cierpieniu i ciągłym strachu. Czy takie społeczeństwo chcecie odtworzyć?

- Byliśmy głupcami - wtrącił się Mac. - Marzyliśmy o raj. Jednak nie można go narzucić z góry i utrzymać dzięki dyktatorskiej władzy, choćby i sprawiedliwej.

- Wstydzę się, kiedy sobie przypomnę, jak się zachowywałam parę minut temu - wyznała Jill. - W pierwszym świecie, w jakim się znalazłam, panowała boska moralność i był to ponury, martwy świat. Powinam - o tym pamiętać. Niemal doskonale społeczeństwo spotkałam w dolinie, którą musiałam zniszczyć. Stworzyli je sami mieszkańcy. To znaczy, że takie rzeczy są możliwe, jeśli ludzie naprawdę ich pragną. Tylko taka utopia może się ziścić.

Mac Walters skinął głową.

- Ja również widziałem stworzoną sztucznie społeczność. Nie spodobała mi się. Nienawidziłem was za narzucone tamtym ludziom ograniczenia. Teraz widzę, że ja też byłem gotowy zrobić to samo na swoim własnym świecie. Podobnie jak Jill, czuję wstyd za siebie.

Przywódca uśmiechnął się dobrotliwie.

- Nie wstydzcie się, gdyż zdobyliście wielką mądrość. Wyciągnęliście nauki ze swoich doświadczeń, co stawia was ponad innymi ludźmi. Bądźcie dumni, ponieważ okazaliście się więksi od Asmodeusza, który jest niepoprawny. W ciągu paru dni nauczyliście się tego, czego on nie zdołał przez tysiąclecia. Wasze słowa radują nas i ułatwiają decyzję. Lekceważono wasz świat jako głęboką prowincję, ale niesłusznie, skoro żyją na nim takie istoty jak wy. Naprawimy to.

- Mogart twierdzi, że nas ukształtował i wyszkolił - zauważyła Jill.

- To kłamstwo - wykrzyknął przywódca. - Nie można nauczyć idioty czytania, ślepeca rozpoznawania kolorów, a głuchego słuchania symfonii. Mogart jest jednym, drugim i trzecim. Wy zaś jesteście uczniami, którzy przerośli nauczyciela.

- A wrogie istoty mieszkające między poziomami? - zaniepokoiła się Jill. - Trzeba je powstrzymać.

- Już się nad tym zastanawialiśmy. Dowiedzieliśmy się o nich bezpośrednio z waszych umysłów. Sprawdziliśmy pięć poziomów, które odwiedziliście. Okazuje się, że te istoty są wszędzie, nawet tutaj. Nie można się ich pozbyć. Bądźcie* jednak spokojni. Czuwamy. Czytając wasze umysły, stwierdziliśmy też, że macie zadatki na prawdziwą mądrość. Ty, Jill McCulloch, odczuwasz irytację z powodu stagnacji panującej w jednym ze społeczeństw i straszliwe wyrzuty sumienia z powodu śmierci niewinnych ludzi, których musiałaś zabić. Ty, Walters, złościsz się na nas, że opóźniamy rozwój świata, który nic dla nas nie znaczy. Straciłeś cenny czas, żeby przenieść jednego z nas, którego nie miałaś powodu lubić ani mu pomagać, na bezpieczny poziom. Ta cecha to współczucie. Demon rozejrzał się po okolicy.

- Robi się późno. Ta sprawa zabiera nam zbyt dużo czasu. Istnieje ponad sześć tysięcy Alternatyw i ponad siedemdziesiąt trylionów projektów badawczych. Nie możemy tutaj dłużej zabawić. Chodzi o czas. Doszliśmy już do porozumienia.

Mac i Jill spojrzeli z wyczekiwaniem na Radę Bezpieczeństwa.

- Posłuchajcie. Co by się stało, gdyby zmieniono trajektorię obiektu i nie doszłoby do kolizji? Spłonąłby przechwycony przez Słońce. Wróćmy więc do tego momentu i dokonajmy poprawek!

Nic się nie wydarzyło, tylko cała dziewiątka znieruchomiała, jakby nagle obróciła się w kamień. Trwało to przez kilka sekund.

- Minie parę tygodni, zanim dotrze do was fala czasowa i wprowadzi zmiany - wyjaśnił przywódca. - Obawiam się, że będziecie musieli spędzić je tutaj sami i nadzy. Niestety nie zamieszkacie w zamku. - W chwili gdy wypowiedział te słowa, pałac z kolumnami, fontannami i kwiatami zniknął.

Demon rozejrzał się.

- W tych ruinach znajdziecie schronienie i dość jedzenia do czasu, kiedy nastąpi korekta.

- Więc będzie tak jak przedtem - westchnęła Jill.

Przywódca skinął głową.

- Tak, ale wy nie będziecie tacy, jak kiedyś. Jeśli te ciała się wam podobają,

możecie je zatrzymać. Jediną cenną rzeczą w ludziach jest ich umysł i dusza.

Mac roześmiał się.

- Nikt nas nie rozpozna. Sądzę jednak, że z takim wyglądem nie będziemy mieli kłopotów ze znalezieniem jakiegoś miłego miejsca do zamieszkania.

- Już je macie - odparł demon. - I pracę również. Ponieważ Asmodeusz jest niepoprawny, traci prawa do klejnotu. Pozostali zaś... cóż, musimy się zastanowić. To jest zbyt cenny i interesujący świat, żeby go zaniedbać. Istnieją tu ogromne możliwości. Wykazaliście się odwagą i pomysłowością. Zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństw i znacie prawdziwego wroga. Wiecie, jak używać klejnotu. Zostaniecie naszymi przedstawicielami. Będziecie prowadzili obserwacje i przekazywali nam raporty. Czeka was dużo pracy. Zaczną się tu do was zjeżdżać naukowcy, zwłaszcza socjologowie. Będą potrzebowali waszej pomocy.

Oboje wytrzeszczyli oczy.

- Dajecie nam klejnoty?

- Tylko jeden. Jeden na was dwoje. Klejnot Asmodeusza. Najpierw jednak musimy rozbić Oko i przestroić kamień. Za jakiś miesiąc waszego czasu jeden z nas wróci tutaj z nim. Tak go dostroimy, że będziecie go mogli używać wyłącznie razem, nigdy osobno. To wielka odpowiedzialność. Zgadzacie się?

Jill chwyciła Maca za rękę i spojrzała mu w oczy.

- No? Jak myślisz? Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Ale zespół stworzymy!

I w tym momencie stwierdzili, że demony zniknęły. Widzieli przed sobą tylko ruiny Reno ogrzewane ciepłymi promieniami słońca i omiatane łagodnym wietrzykiem.

Mac spojrzał na bar, który jakimś cudem przetrwał katastrofę.

- Mam ochotę na drinka - rzucił lekkim tonem. - Uczymy to?

Jill roześmiała się i wzięła go pod ramię.

- Chodźmy! Mamy niewiele czasu, żeby się lepiej poznać!

Czekało ich parę pomniejszych kłopotów. Fala czasowa dotarła do nich po trzech tygodniach, lecz przedstawiciel Uniwersytetu zjawił się dopiero po trzech miesiącach.

Demony nigdy nie miały wyczucia czasu.

EPILOG

Naga para aresztowana na 1-80

Michael Walsh, korespondent *Sun Times*, Reno

Reno, 4 października.

Dzisiaj rano na środkowym pasie międzystanowej autostrady 1-80 przy zjeździe na Sparks zauważono dwoje nagich ludzi: mężczyznę i kobietę. Świadkowie przysięgają, że para „pojawiła się znikąd”.

„Wyglądali na równie zaskoczonych jak my”, opowiada Joe Mayhew, były seminarzysta. „Wyrośli jak spod ziemi na środkowym pasie i rozglądali się jak nieprzytomni. Potem zaczęli się śmiać, ścisnąć i całować jak szaleni. Nie muszę mówić, że uciekłem stamtąd w pośpiechu. Zaraz jednak utknąłem. Korek ciągnął się na mile.” Potwierdza to policjant L. Fred Ramsey, który w tym czasie wystawiał Mayhew mandat.

Ekshibicjonistyczna para spowodowała co najmniej siedem stłuczek.

Nie potrafili wyjaśnić, jak się tam znaleźli. Podali tylko imiona, Mac i Jill. „Wyglądali na pijanych”, powiedział nam Ramsey.

Mężczyzna i kobieta są podobno uderzająco piękni, jak rzeźby bogów dłuta Michała Anioła. Wasz reporter może to poświadczyć, gdyż brał udział we wstępnym przesłuchaniu.

Testy dały negatywne wyniki. Parę zatrzymano w celu zbadania przez psychiatrów. Kilku właścicieli kasyn zaproponowało wpłacenie kaucji i pracę. Mac i Jill odpowiedzieli, że rozważą oferty.